



Danecka Aleksandra

Tajemnica królowej Saby

Już tylko trzy miesiące zostały do ślubu Anny i Krzysztofa, gdy nieoczekiwanie pojawia się Mike. Dawny szkolny kolega proponuje Krzysztofowi udział w wyprawie archeologicznej do Jemenu, na co ten bez chwili namysłu przystaje. Jeszcze tylko czułe pożegnanie z Anną na lotnisku i Krzysztof wyrusza na spotkanie przygody. Co jednak okaże się bardziej frapujące: odkrywanie tajemnic i skarbów starożytnych, czy rywalizacja z angielskim lingwistą o względy jedynej w ekipie badaczy kobiety? Kogo ostatecznie wybierze blondwłosa piękność? Jak potoczą się losy Anny, która wiedzioną tęsknotą zjawi się w Jemenie i odkryje romans Krzysztofa?

1

Dom wypełnił się słońcem i zapachem kwitnących lip. W szeroko otwartych oknach powiewały białe firanki. Porządki robione pospiesznie, ale z serdeczną troską o każdy drobiazg, sprawiały Annie przyjemność. Przystanąła na chwilę w drzwiach tarasu i położyła rękę na mosiężnej klamce.

- Zapamiętaj tę chwilę - powiedziała do siebie półgłosem. - Kiedyś będziesz mogła do niej wrócić i odnajdziesz ten nastrój niefrasobliwej radości, jaka przepelnia człowieka po trudnych przeżyciach i zmaganiach z losem. Masz dwadzieścia dwa lata, nazwisko po bohaterze narodowym, testament słynnego przodka w schowku pod podłogą, złote monety na czarną godzinę i wspaniałego chłopaka, który zaraz przyjedzie do ciebie i zostanie na zawsze. Za trzy miesiące poprowadzi cię do ołtarza i zawsze już będziecie razem, na dobre i złe. Za tobą śmierć ukochanej babci, jedynej bliskiej osoby po tragicznym wypadku rodziców, i napad szaleńca, który chciał zdobyć testament przodka, żeby pozbyć się prawowitej spadkobierczynie. To był koszmar. Wszystko minęło. Szaleniec jest już zamknięty w zakładzie dla obłąkanych, a dom posprzątany po bitwie, jaka się tu rozegrała. Najważniejsze, że twój ukochany Krzysztof okazał się człowiekiem godnym zaufania, chociaż przez długi czas nie można było mieć takiej pewności.

Anna wyszła na taras, zmiotła z posadzki kurz i zbiegła ze śmietniczką na parter do kuchni.

- No tak - znów zaczęła mówić do siebie. - Głośne monologi to dramat ludzi samotnych, ale to już ostatnie chwile mojej samotności. Jestem panią tego maleńkiego skrawka świata. Tu jest moja kuchnia pełna skarbów niezbędnych do życia, obok gabinet dziadka, którego ledwie pamiętam, sypialnia ukochanej babci i salonik, na piętrze mój pokój i ogromna łazienka, a na zewnątrz ogród ze starymi drzewami i parkan, który stanowi granicę między moim królestwem i resztą świata. Komorów też należy do mnie na swój sposób, Warszawa i...

Po schodach powoli schodziła bura kotka, pomrukując stanowczo. Na podeście stały trzy rozkoszne maleństwa, które za nic nie chciały podejść do stromej krawędzi. Kocia mama delikatnie wzięła za kark jedno z dzieci i zniosła na dół, nie zwracając uwagi na głośne protesty. Maluch rytmicznie uderzał dolną częścią ciała o kolejne stopnie. Anna przygotowała w miseczce świeże mleko i drobno pokrojone mięso. Po chwili wszystkie koty buszowały po kuchni, poznając nowy teren, wyraźnie zdumione tym, że świat jest większy od pokoju Anny, gdzie się niedawno urodziły.

Dziewczyna stanęła przed lustrem w przedpokoju. Zanurzyła rękę we włosach i wzburzyła je niecierpliwym gestem. Naturalne afro było nie do okiełznania. Jasna czupryna tworzyła aureolę wokół jej głowy.

Jak to będzie? - myślała gorączkowo Anna. Krzysztof pojechał po swoje rzeczy. Zamieszkamy razem przed ślubem. Czy to w porządku? Czy popełniam błąd? Co się wydarzy wieczorem? Czy mam mu pościelić w gabinecie dziadka? Nie wiem, jak się zacho-

wać w takiej sytuacji. Kocham go, ale to nie znaczy, że już teraz chcę być traktowana jak żona. Samo słowo „żona” brzmi trochę staroświecko i pejoratywnie. Żona to gruba pani domu, zrzędcząca i złośliwa, a przede wszystkim nieszczęśliwa. Czy ja chcę takiego życia? Z pewnością nie. Przede mną studia, dalekie podróże, ciekawa praca. Czy ja na pewno wiem, co robię? Wiem na pewno. Kocham go i wierzę, że nam się uda.

Dzwonek do drzwi przerwał jej rozmyślenia. Radośnie pobiegła na spotkanie chłopaka. Rzuciła mu się w objęcia, przywierając do niego całym ciałem. Uniósł ją do góry i przytulił do siebie jak największy skarb.

Po chwili Anna zauważyła, że Krzysztof nie ma przy sobie żadnego bagażu.

- A gdzie walizki? Gdzie twoje rzeczy? - zapytała z niepokojem.

- Usiądźmy, Aneczko. Musimy porozmawiać.

Weszli razem do kuchni. Na stole pysznił się przygotowany z ogromną pieczołowitością podwieczorek. Woda nastawiona na herbatę zaczęła szumieć w imbryku. Dziewczyna błędziła wśród sprzętów jak w transie. Wpadła w panikę.

- To znaczy, że nie zostaniesz tu ze mną? Co się zmieniło? Mów wreszcie. Nie trzymaj mnie w niepewności.

- Aneczko, muszę wyjechać na dwa miesiące. Zaraz po moim powrocie weźmiemy ślub i nigdy więcej nie będziemy się rozstawać. Ale teraz muszę wyjechać.

- To znaczy, że nie podejmujemy żadnych decyzji razem. Ty decydujesz o sobie, a przy okazji bez najmniejszych skrępułów skazujesz mnie na samotność. Świetny początek wspólnego życia.

- Zrozum, nie mogę inaczej.

- Nie chcę się skarżyć, ale dobrze wiesz, że jeszcze nie doszłam do siebie po nieszczęściach, jakie na mnie spadły.
- Wiem i bardzo mnie to niepokoi. Ale chcę, żeby na nasze wspólne życie nie padał żaden cień. Jesteś ostatnią z rodu Połońskich. To zobowiązuje. Zaczniemy nasze życie tak, jak należy.
- Stop. Wygląda na to, że jesteś bardziej papieski niż sam papież. To ty chciałeś tu zamieszkać przed ślubem, nie zwracając uwagi na żadne względy i normy obyczajowe. Jeszcze wczoraj nic nas nie obchodziło, ani sąsiedzi, ani znajomi, ani plotki. Byliśmy tacy piekielnie nowoczesni. Najpierw konkubinat, na próbę oczywiście, potem do ołtarza. No cóż, samotna dziewczyna z dużym domem, ze wspaniałym przodkiem w tle - trudno się oprzeć pokusie, żeby bez żadnych ograniczeń dysponować jej życiem. Wiesz, ile dla mnie znaczysz. Jestem bezbronna. Potrzebuję wsparcia i opieki. Ofiarowałeś mi to wszystko i teraz beztrąsko odbierasz. Co się stało?
- To była po prostu podjęta decyzja. Wszystko przemyślałem spokojnie i doszedłem do wniosku, że nie mogę narażać twojego dobrego imienia...
- Więc już mnie nie kochasz?
- Nie mów tak. Dobrze wiesz, że kocham cię bardzo i chcę być z tobą przez całe życie, ale teraz.... Krzysztof stał przy oknie kuchennym, opierając się o parapet. Był wysokim, szczupłym blondynem o niebieskich oczach. Emanowała z niego energia i radość życia. Annie wydawało się zawsze, że jego obecność wypełnia przestrzeń jasnym światłem. Kiedy wychodził, wszystko stawało się szare nawet w słoneczny dzień. Lubiła patrzeć na zarys jego głowy-

wy i niesforne włosy odrzucane do tyłu niecierpliwym gestem. Był najważniejszy, najbliższy, oczekiwany i pożądaný. Nazywała go w myślach nieustającą niedzielą, która powinna trwać wiecznie. Teraz poczuła się zagrożona. Była pewna, że Krzysztof coś ukrywa. Podeszła do niego, wzięła go za rękę, podniosła głowę, bo była od niego dużo niższa, i zapytała spokojnie, patrząc mu uważnie w oczy: - Powiedz mi, o co tu chodzi. Przecież widzę, że nieporadnie szukasz wyjścia z niezręcznej dla ciebie sytuacji.

Krzysztof milczał, więc przejęła inicjatywę.

- W takim razie chodźmy na podwieczorek Razem zanieśli do saloniku filiżanki, konfitury, owoce i maślane bułeczki, za którymi przepadali oboje. Teraz leżały nietknięte, a Krzysztof siedział z niepewną miną, jak mały chłopczyk przyłapany na kłamstwie.

- Zacznę od początku, jeśli pozwolisz. Wczoraj wpadł do mnie Michał Orłowski. To mój przyjaciel jeszcze z podstawówki. Zawsze mówiliśmy na niego Mike i tak już zostało. Kiedyś łączyło nas wspólne rozrabianie w klasie, potem lektury i poważne filozoficzne rozmowy. Po maturze wyjechał z rodzicami do Stanów i kontakt się urwał. Kartki wysyłane z wakacji przychodziły coraz rzadziej. Studiował archeologię w Waszyngtonie i zamierzał zrobić oszałamiającą karierę.

- Ale co to ma do rzeczy?

- Słuchaj dalej. Po tylu latach od naszego rozstania przyjechał do Polski specjalnie z mojego powodu. Od rodziców dowiedział się, gdzie mieszkam, i zastał mnie szczęśliwie wczoraj wieczorem w mojej warszawskiej kawalerce. Zadzwoił do drzwi w chwili, kiedy pakowałem manatki przed przeprowadzką do ciebie.

- I ten Mike, jak mówisz, okazał się ważniejszy ode mnie? Twoje plany natychmiast uległy zmianie?
- Ale skąd. Pozwól mi skończyć. Mike został asystentem słynnego profesora Roberta Morrisona. Ten wielki uczony kompletuje właśnie ekipę badawczą, która ma prowadzić wykopaliska w Jemenie. Mike od razu pomyślał o mnie. To jest szansa, o jakiej nikt w Polsce nie może nawet marzyć. Załatwienie pozwolenia na wykopaliska graniczy niemal z cudem. Wprawdzie w tym kraju jest kilka stacji archeologicznych, ale tu chodzi o ruiny legendarnego miasta Marib, gdzie nikt jeszcze nie miał możliwości przeprowadzenia solidnych wykopalisk. Były jakieś próby, ale każda kończyła się fiaskiem. Czy ty rozumiesz, Aneczko, jaka to wspaniała okazja? A ponadto będą nam potrzebne pieniądze. Zaraz po ślubie rozpoczniemy starania o odzyskanie spadku po Połońskich. Dobrze wiesz, że proces trzeba przeprowadzić w Stanach, a to kosztuje. Bez pieniędzy nie ruszymy tej sprawy z miejsca. Wyprawa jest szansą na zarobienie przynajmniej części potrzebnej sumy. Amerykanie pokryją kosztą mojej podróży i zapłacą za każdy dzień pracy. Podejmując decyzję, cały czas myślałem o naszej przyszłości, choć nie ukrywam, że sama wyprawa ma dla mnie ogromne znaczenie. To wielka przygoda.
- Ale co ty będziesz tam robił?
- Jak to co? Jestem historykiem archiwistą. Każda wyprawa musi prowadzić naukową dokumentację, bo inaczej cały dorobek i odkrycia niewiele będą warte. Mike zaproponował moją kandydaturę i uzyskał zgodę. Przyjechał z gotowymi formularzami do wypełnienia i jeszcze wczoraj przesłał moje dane do

Waszyngtonu, żeby profesor mógł spokojnie załatwiać wszystkie formalności.

- A więc zdecydowałeś sam. Nawet nie przyszło ci do głowy, że byłoby dobrze przedtem porozmawiać ze mną, przynajmniej dla zachowania pozorów.

- Aneczko, Mike nie mógł mnie zastać w domu. Od tygodnia za mną biegał, a ostateczny termin mijał wczoraj. Profesor wybrałby kogo innego na moje miejsce.

- Nawet nie zadzwoniłeś.

- Wybacz, to nie była rozmowa na telefon. Anna wstała z krzesła i spojrzała na Krzysztofa, który siedział z pochyloną głową, jak przyłapany na gorącym uczynku winowajca. Przeszła parę kroków w stronę okna i odsunęła niecierpliwym ruchem firankę. Słońce wdarło się do pokoju, rzucając ruchome świetliste plamy na sprzęty, ściany i na portret babci, która uważnie spoglądała na wnuczkę z głębi minionego czasu. Ona wiedziała, co należy teraz zrobić. Anna była bezradna. Zawód i rozpacz przesłaniały wszystko. Logiczne argumenty trafiały w próżnię. Chciała jednak za wszelką cenę ukryć swój niepokój, nad którym nie umiała zapanować. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi, zawróciła i stanęła tuż przed Krzysztofem. Dotknęła jego włosów. Wziął ją za rękę i pocałował w zagłębienie dłoni.

- Jesteś najważniejsza, przecież musisz to czuć i wiedzieć.

- Tak, wiem. Czuję i widzę, jak radośnie wyruszasz w świat. Jeszcze się nie pozbierałam po śmierci babci, twój stryj, szalony pan Taborski dopiero co próbował mnie zamordować, a teraz zostanę sama w tym pustym domu i będę umierała ze strachu przed mordercą, który może uciec z zakładu dla

obłąkanych. Mogę też układać pasjansy, żeby szukać odpowiedzi na pytanie, czy mój ukochany darzy mnie jeszcze uczuciem i czy wróci z dalekiej wyprawy. Jesteś' okrutny i pozbawiony wyobraźni. Pojęcia nie masz, co się teraz ze mną dzieje. Zważyłam we wszystko, w co wierzyłam z dziecinną żarliwością. Zostałam sama w pustym domu, który już nie jest przyjazną przystanią. Co ty zrobiłeś z moim życiem?

- Aneczko, po co te wielkie słowa? Chcę, żebyś poznała Mike'a. Porozmawiaj z nim. Wtedy dopiero zrozumiesz, jaka to niezwykła okazja. Jeżeli się zgodzisz, on zaraz tu przyjedzie i wszystko ci sam opowie. Polubisz go od razu. Zadzwoń do niego, dobrze?

- Dzwon, jeśli chcesz. Ja muszę nakarmić koty. Anna wybiegła do ogrodu i szybkim krokiem przemierzała ścieżkę wzdłuż parkanu otaczającego posesję. Zatrzymała się przy krzakach bzu i bezmyślnie patrzyła na zrudziałe kiście kwiatów, jeszcze tak niedawno pyszniące się różnymi odcieniami fioletu. Zza płotu pomachała do niej sąsiadka, pani Maria od kotów, jak ją wszyscy nazywali, która usiłowała roztaczać opiekę nad osieroconą nagle dziewczyną.

- Co słyhać, dziecinko? Krzysztof przyjechał? - Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Wiesz, kochanie, ja jestem przeciwna tym waszym planom. Chłopak nie powinien mieszkać z dziewczyną przed ślubem. A może przyspieszycie te ceremonie i wszystko będzie jak należy? Co o tym myślisz?

- To niemożliwe, pani Mario. On wyjeżdża.

- To i lepiej, dziecinko. W ten sposób dobre obyczaje nie zostaną naruszone. To mi się podoba i dobrze o nim świadczy.

- Pani Mario, to nie jest takie proste. Boję się tego pustego domu i niedobrych myśli.
- Przecież nie jesteś sama. Ja ani na chwilę nie zapominam o tobie i nie pozwolę cię skrzywdzić. Niech jedzie. To bardzo dobry sprawdzian waszych uczuć. Jeśli zwiążesz się z nim tylko z obawy przed samotnością, to popełnisz błąd nie do naprawienia. Pomyśl o tym, dziecko.
- Ale ja go kocham.
- Dobrze, Aneczko. Ja ci wierzę. Ale świat się nie kończy na Krzysztofie. Zmykaj teraz do domu i głowa do góry. On nie może widzieć twoich łez. Pamiętaj, nazywasz się Połowska i nie możesz zawieść swoich wielkich przodków. Załatw to jak należy. Wkrótce przyjdę jak zwykle na herbatkę i spokojnie porozmawiamy o wszystkim.
- Dziękuję, pani Mario.

Anna ociągając się wróciła do domu. Krzysztof właśnie odkładał słuchawkę.

- Mike za godzinę tu będzie. Pojęcia nie masz, jak się cieszę. Aneczko, nie wyobrażasz sobie, jaki to wspaniały moment w moim życiu. Jestem szczęśliwy. Mam ciebie już na zawsze, a przed sobą wspaniałą wyprawę. Chodź do mnie. - Wyciągnął ręce przed siebie. - To nasze wspólne szczęście. Chcę, żebyś cieszyła się razem ze mną.

Anna zrobiła krok do tyłu. Ręce Krzysztofa opadły.

- Boję się, że coś nas rozdzieli. To zły początek wspólnego życia. Nie tak miało być. Jeśli cię zatrzymam, będziesz miał do mnie żal i nigdy mi tego nie wybaczysz. Jeśli się pogodzę z losem, mogę stracić moje szczęście i nasze drogi pobiegną w różne strony. Jeśli przytrafi ci się coś złego, nigdy sobie nie daruję, że...

- Przestań wieszczyć, moja Kasandro.
 - Przecież parę lat temu porwano w Jemenie pięciu Polaków i tylko cudem uszli z tego z życiem. A ilu Europejczyków przepadło tam bez śladu? Nie obawiasz się tego?
 - Kochanie, na każdej ulicy może spaść człowiekowi cegła na głowę. Czy to znaczy, że mam wykopać schron w ziemi, zgromadzić żywność i czekać tam na koniec świata, jak ci szaleńcy z Kalifornii?
 - To nie powód, żeby wkładać palce między drzwi, wiedząc, że masz jedną szansę na sto. Może ta jedna szansa ci wystarczy, ale mnie na to nie stać. Za dużo mam do stracenia.
- Krzysztof wstał z krzesła i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, szukając nowych argumentów. Wreszcie stanął obok Anny i wziął ją w ramiona.
- Więc jednak kochasz mnie, maleńka? -Taki za nic nie chcę cię stracić.
- Czuła rozmowa przerywana pocałunkami trwała całą godzinę i zapewne ciągnęłaby się jeszcze dłużej, gdyby nie przerwał jej dzwonek cło bramy.
- Mike wszedł do domu jak we własne progi i od razu przejął inicjatywę. Był niemal kopią Krzysztofa, tak samo wysoki, smukły o regularnych rysach twarzy i ujmującym, a nawet zniewalającym uśmiechu, tylko włosy miał ciemne, króciutko obcięte na jeża. Jedyne po intonacji wypowiedzianych zdań można się było domyślać, że kilka lat spędził za granicą.
- Jesteś ładniejsza, niż myślałem, Anno. Teraz rozumiem, że Krzysztof mógł stracić głowę. Na twój widok Botticelli natychmiast przegoniłby swoją modelkę.
- Usiedli na tarasie przy nietkniętym jak dotąd podwieczorku.

- Jest pięknie. Tu wszystko kwitnie, pachnie, żyje, ptaki śpiewają. Jesteś szczęśliwa, Anno. Jak rozumiem, ten dom należy do ciebie, prawda? - zapytał Mike.

- To nie ma znaczenia. Skoro tak tu pięknie, dlaczego chcecie jechać na pustynię w samym środku lata?

I tu zaczęła się opowieść, która niechętną Annę zaczęła powoli wciągać, żeby w końcu pochłonąć bez reszty. Zmrok zapadał, a trójka zapaleńców tkwiła na tarasie i z ożywieniem rozprawiała o wyprawie, od czasu do czasu wybuchając śmiechem.

- Z pewnością znasz, Anno, historię o królu Salomonie i królowej Sabie - opowiadał z przejęciem Mike. - No więc mamy szansę udowodnić, że ona istniała naprawdę. W południowym Jemenie jeszcze przed naszą erą żyło plemię, a raczej naród nazywany Sabejczykami. Chyba nie jest to przypadkowa zbieżność. Wiadomo, że słynna z urody królowa przywiozła Salomonowi dary oszałamiającej wartości, które mogły być sprowadzone tylko z południowej Arabii. Jak wiesz, tam krzyżowały się szlaki handlowe. W czasach biblijnych mirrę i kadzidło kojarzono wyłącznie z tymi stronami. Jeśli królowa Saba jest postacią historyczną, to z pewnością mieszkała w jednej z osad, która była twierdzą chroniącą szlak karawanowy wiodący z południa na północ Półwyspu Arabskiego. Jak wiadomo, droga kontrolowana była przez dzielnych Sabejczyków, których stolica leżała w odległości stu kilometrów od dzisiejszej Sany. To właśnie jest miasto Marib, do którego mamy jechać.

Około siedemset pięćdziesiątego roku p.n.e. Sabejczycy stworzyli ogromne państwo w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Obfite deszcze i żyzna ziemia zapewniały im dobrobyt. Ale prawdzi-

we bogactwa zaczęli gromadzić dopiero po opanowaniu morskiego szlaku do Indii. Sprowadzano stamtąd towary, które potem razem z sabejskimi wonnościami i złotem wyprawiano karawanami na północ. Wszystkie te wspaniałości docierały aż do Grecji i Rzymu, a w ślad za nimi podążała sława legendarnych skarbów, w jakie obfitowało południe. Już w starożytności historycy nazywali to miejsce Arabią Szczęśliwą, bo uwierzyli w bajkowe wręcz bogactwo i zbytek, w niezmierzone ilości złota, drogich przypraw korzennych i cennych wonności. Byli pewni, że miejscowa ludność jest bogata, wolna i szczęśliwa.

O Sabejczykach wspominał Herodot i Strabon. Opisywali oni miasta z pięknymi pałacami i świątyniami oraz urodzajne ziemie rodzące kadzidło, mirrę, kasję i cynamon. Od razu widać, że nie orientowali się w tym najlepiej. Jak wiadomo, cynamon musiał być sprowadzany z Indii. Wspomnę jeszcze o Diodorze Sycylijszym, który twierdził, że z sabejskich kopalni wydobywane jest złoto niezwyklej jakości. Podobno nie wymagało żadnej obróbki ani przetapiania.

Wielu władców miało ochotę na te wspaniałości, ale nikt w tamtych czasach nie był w stanie pokonać Sabejczyków. Wojsko nie mogło dotrzeć tam przez pustynię. Radziły sobie z nią jedynie karawany, które wędrowały z zapasami wody od jednej oazy do drugiej, przy czym wszystkie te miejsca były pilnie strzeżone przez specjalne oddziały żołnierzy.

Droga morska, nawet dla wytrawnych żeglarzy z Grecji była nie do pokonania. Wszyscy wiedzieli o tym, że południowe wybrzeże jest po prostu niedostępne. Śmiazków odstraszały ogromne fale i skały, na których rozbijały się okręty. Dzięki temu Sabej-

czycy przez kilkaset lat handlowali z wieloma krajami, spokojnie gromadząc nieprzebrane skarby. Anna i Krzysztof z ogromną uwagą słuchali opowieści Mike'a.

- A teraz wyobraźcie sobie, jak dwa i pół tysiąca lat temu mógł wyglądać bazar w mieście Marib. Na ogromnym placu pod osłoną zrobioną z lekkich mat stały dziesiątki, a może nawet setki kupieckich kramów. Lady i stoły pełne były brył złota, biżuterii i kości słoniowej. Jedni zachwalali misternie zdobioną broń, inni wspaniałe tkaniny, wśród których królował jedwab i muślin. Tu wybór był ogromny. Szczególnie ceniono materiały w kolorze purpury. Obok sprzedawano gotowe szaty bogato haftowane lub przetykane złotą nicią, płaszcze, szarfy i ozdobne maty.

Dalej handlowano winem, pszenicą i wonnymi maściami potrzebnymi do .wyrobu lekarstw i kosmetyków. Strusie pióra zachwalano tak samo natarczywie, jak zalety czarnoskórych niewolników powiązanych sznurami niczym zwierzęta przeznaczone na rzeź.

Były też kramy szczególne. W ich mrocznych wnętrzach na kobiercach i barwnych poduszkach siedzieli wyjątkowo szacowni kupcy, którzy nie musieli uderzać w gong, żeby zwabić przygodnego klienta. Tu srebrnymi kubkami odmierzano cenne klejnoty i perły wielkości gołębih jaj.

Na targach spotykali się kupcy z Indii, Chin, Etiopii, Grecji i Rzymu. Mówiono tutaj dziesiątkami języków i narzeczy. Przedstawiciele różnych kultur i obyczajów, wyznawcy wielu bogów stawali obok siebie w pełnej zgodzie, odnosząc się do siebie z ogromnym szacunkiem. Wszystkim chodziło o jedno. Chcieli jak najprędzej zgromadzić jak największy majątek, bo po-

droże były ogromnie męczące i niesamowicie niebezpieczne. Najmniej ryzykowali sabejscy kupcy, którzy głównie pośredniczyli w handlowych transakcjach. Z pewnością jednak i oni chętnie wybierali się w dalekie podróże, bo to był najlepszy sposób na zdobycie dużego majątku w bardzo krótkim czasie.

- Czekaście - wtrąciła Anna. - Co to ma wspólnego z królową Sabą i waszą wyprawą?

- Jak to co? - oburzył się Mike. - Królowa Saba jest postacią historyczną. Jeśli była władczynią Sabejczyków, to mogła mieszkać w mieście Marib. Z tego wynika, że legenda o tej niezwyklej kobiecie zawiera sporo prawdy. Jak pamiętacie, wybierając się w podróż do króla Salomona, załadowała złoto, srebro, kadzidło, mirrę i drewno sandałowe na siedemset dziewięćdziesiąt siedem wielbłądów, nie mówiąc już o niezliczonych mułach i osłach też obciążonych do granic wytrzymałości.

- A wy liczycie na to, że skarby do dnia dzisiejszego czekają na was w ruinach Marib? Sądziłam, że macie więcej rozumu niż te juczne zwierzęta królowej Saby. He lat minęło od tamtej pory?

- Zmijka. Ona sugeruje, że jesteśmy osłami - zachnął się Mike. - To tylko jedna z wielu teorii o pochodzeniu królowej. Niektórzy twierdzą, że mieszkała w Etiopii. Ja jednak jestem przekonany, że królowa Saba mieszkała właśnie w mieście Marib około dziewięćset pięćdziesiątego roku p.n.e. Wyprawa do Salomona miała w gruncie rzeczy cel reklamowy, mówiąc współczesnym językiem. W ten sposób Sabejczycy zapewnili sobie nowy rynek zbytu, dzięki czemu mogli się jeszcze bardziej wzbogacić.

- A u Strabona znalazłem taki opis - wtrącił

Krzysztof - „Miasto Sabejczyków Mariaba leży na zalesionej górze. Lud zajmuje się częściowo rolnictwem, częściowo zaś handlem wonnościami miejscowymi i etiopskimi. Aby zdobyć te ostatnie, żeglują w skórzanych łodziach przez cieśniny”.

- Znasz to na pamięć? - zapytała Anna.

- I nie tylko to. Ale nie męczmy już dłużej mojej dziewczyny. Rzecz w tym, że nikomu nie udało się jeszcze przeprowadzić rzetelnych badań w starożytnej siedzibie Sabejczyków. W tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim roku dostał się tam Carsten Niebuhr, który przywiózł do Europy pierwsze kopie sabejskich inskrypcji. W dziewiętnastym wieku odbyły się jeszcze dwie wyprawy, w tym jedna prowadzona przez zapaleńca dyletanta, który narobił trochę szkód i niewiele odkrył. Potem Amerykanie dotarli tam w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, ale musieli uciekać przed miejscowym gubernatorem, który zamierzał ich wymordować. A teraz...

Anna słuchała tego z rosnącym przerażeniem. W końcu nie wytrzymała i zaczęła protestować.

- Czy ja mam tu cokolwiek do powiedzenia? Życie wam się znudziło? Chcecie zginąć z fantazją w obcym nieprzyjaznym kraju?

Krzysztof zerwał się z miejsca i stojąc, z zapalem mówił o odkryciach na skalę światową, o książkach, jakie będzie mógł o tym napisać, o sławie i ogromnej satysfakcji, która umożliwi mu przeprowadzenie następnych badań i być może dokonanie jeszcze większych odkryć.

- Dość! - powiedziała Anna. - Pora na kolację. Idę do kuchni i wkrótce was zawołam. Szybujecie tak wysoko, że ziemi już stamtąd nie widać.

Statecznym krokiem opuściła taras. Po drodze do kuchni zajrzała jeszcze do pokoju babci. Spojrzała na jej portret i wtuliła twarz w szal wciąż jeszcze leżący na oparciu fotela. Dwie łzy spłynęły po jej policzkach. Westchnęła ciężko i poszła do kuchni.

Kolacja przeciągnęła się do północy. Chłopcy cały czas rozprawiali z ożywieniem, próbując rozproszyć obawy Anny. W końcu wpadli na pomysł, że ona jako gość honorowy również mogłaby tam przyjechać. Kiedy już się zadomowią w Maribie, zadzwonią do niej z Sany, gdzie z pewnością jest lokalne lotnisko. A stamtąd tylko sto kilometrów do stolicy Sabejczyków.

Lody zostały przełamane. Oczy Anny znów nabrały blasku. Myśl o podróży poprawiła jej nastrój. Teraz już wiedziała na pewno, że wakacje nie będą zmarnowane, a samotność nagrodzoną tak sownie będzie mogła jakoś znieść.

Zadysponowała stanowczo jak doświadczona pani domu:

- Mike, zostaniesz tu na noc, bo ostatnia kolejka dawno już odjechała. Będziecie spali w gabinecie dziadka. Zaraz przyniosę wam pościel i koce. Świeże ręczniki leżą w szafce koło łazienki. Idę spać. Panowie przyjęli zaproszenie z nieukrywaną radością. Za dwa dni mieli razem lecieć samolotem do Waszyngtonu i dopiero stamtąd na Półwysep Arabski. Krzysztof chwycił Annę na ręce i wniósł po schodach na górę, wołając po drodze:

- Anno, jesteś wielka i wspaniała. Kocham cię za to i za wszystko, czym jesteś i będziesz.

Ucałował ją czule po bratersku i zbiegł na dół. Przez jakiś czas docierały do niej odgłosy ożywionej rozmowy, ale trudno było rozróżnić poszczególne słowa.

Anna nie mogła pozbierać myśli. Miało być pełne niepokoju oczekiwanie na pierwszą wspólnie spędzoną noc, tymczasem pojawił się Mike i najzwyczajniej w świecie zabierał Krzysztofa ze sobą. Porywał właściwie, bo jak inaczej to nazwać. Tyle że porwany jest szczęśliwy jak dziecko i ma już nieobecne oczy. Myśli wyłącznie o wyprawie, odkryciach i sławie. Może wspólnie spędzona noc zmieniłaby bieg wypadków. Teraz już było za późno. Chwila minęła. Anna broniła się jak najlepsza twierdza i teraz pozostanie w tej twierdzy Bóg wie na jak długo. Może nawet na zawsze. Wtuliła głowę w poduszkę i próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądała za pięćdziesiąt lat. Obraz przypominał panią Marię od kotów. Samotną, siwą, wiecznie rozczochraną obrończynię porzuconych zwierząt.

I ja taka będę - prorokowała w myślach. - Zasuszony historyk sztuki, jak sęp rzucający się na odkryte dzieła znanych i nieznanymi malarzy, piszący miażdżące krytyki młodym gniewnym twórcom nazbyt awangardowym dla starszej pani. A wieczorami będę siadała przed wygaszonym kominkiem z kieliszkiem porto w ręku, a wspomnienia przepłyną obok mnie delikatną mgiełką. Jakie wspomnienia? Kilka pocałunków z wysokim blondynem, dla którego królowa Saba znaczy więcej niż ja? Ja też jestem królową Sabą i to wokół mnie powinien się kręcić cały świat i wszyscy ludzie. Gdzie moja świta i poddani? Ależ jestem dziecinna. Mój upór może wszystko popsuć. Gwałtowny protest skończy się rozstaniem. Krzysztof i tak pojedzie do Jemenu, a ja zostanę zupełnie sama. Muszę zebrać siły i wbrew samej sobie zachwycać się tym pomysłem.

A przede wszystkim dopilnować, żeby moja podróż do miasta Marib przybrała bardziej realny kształt. Miłość nie powinna podcinać skrzydeł. Kto to wymyślił? Nie wiem. Ale z pewnością miał rację. Albo będę kamieniem u szyi Krzysztofa, albo polecę razem z nim. Mimo obaw przed ogromnym ryzykiem i niebezpieczeństwami, jakie tam na nas czekają, muszę podjąć rękawicę rzuconą przez los. Nie mogę przegrać, bo idzie tu o wielką stawkę. Moja przyszłość i szczęście zależą od rozmowy przy śniadaniu. Zmęczona zmaganiem z samą sobą w końcu usnęła. Ranek, podobnie jak w ostatnich dniach, był słoneczny i radosny. Przez chwilę dziewczyna nie mogła odnaleźć się w rzeczywistości. Uniosła głowę znad poduszki i zaczęła nasłuchiwać. Odgłosy rozmów dochodzące z ulicy przypomniały jej poranne pogaduszki babci Izabeli z mleczarzem albo sprzedawcą owoców. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to już przeszłość, która nigdy nie powróci. Westchnęła ciężko, wtuliła głowę w poduszkę i z uporem powtarzała zaklęcia:

- Babciu moja najmilsza, weź mnie za rękę i poprowadź. Przecież stoję na bardzo niepewnej kładce, która chwieje się i kołysze niebezpiecznie. Ty zawsze wiedziałaś, co jest jedynie słuszne. Bądź przy mnie, kiedy robię głupstwa i wtedy, gdy udaję mądrą, dojrzałą kobietę, którą przecież nie jestem. Spokój, który ogarnął Annę po tym żarliwym wyznaniu, wyzwolił jej energię. Wstała, wzięła prysznic i zbiegła na dół w letniej sukience, świeża i radosna.

Nastawiła radio w kuchni. Skoczna melodia współgrała ze słońcem i zielenią ogrodu. Czajnik zaczął śpiewać. Na stole powstawała śniadaniowa kom-

pozycja: masło, chleb, konfitury i miód, ogórki, wędlina, a na kuchni stała już patelnia przygotowana do usmażenia ogromnej jajecznicy ze szczypiorkiem, który spokojnie czekał obok, pieczołowicie pokrojony na drobne kawałeczki.

Anna nie chciała wchodzić do pokoju chłopców. Zapukała tylko energicznie i obwieściła przez drzwi, że śniadanie gotowe. Pojękując niewyraźnie, wychodzili po kolei i chwiejnym krokiem zmiierzali w stronę łazienki. Najwyraźniej zasnęli najdalej godzinę temu i poranna pobudka była dla nich ciężkim przeżyciem. Nie buntowali się jednak.

Pani domu przejęła inicjatywę. Przy stole zaczęła wypytywać o szczegóły organizacyjne. Wyjazd miał nastąpić następnego dnia w południe. Postanowiła pojechać z nimi do Warszawy, żeby dopilnować wszystkiego osobiście. Trzeba kupić parę bawełnianych koszul, sztyry, buty i skarpety, a przede wszystkim okulary słoneczne dla ochrony oczu przed ostrym słońcem. Bez odpowiedniej czapki na głowie też nie powinno się wędrować po terenie wykopalisk. Krzysztof wspomniał jeszcze coś o lornetce i aparacie fotograficznym. Widać było, że ogromnie go cieszy troska Anny o każdy szczegół. Zerkał w jej stronę z nieukrywaną radością i puszył się przed Mike'em.

Koty nakarmione jak należy zeszły już na dół i teraz właśnie były zapraszane przez troskliwą mamę do łazienki, gdzie stała wytworna czerwona kuweta ze świeżym piaskiem. Kotka widocznie miała już dosyć sprzątanania po maluchach i chciała je nauczyć dobrych manier.

Wyszli z domu przed dziewiątą rano, kiedy upał nie był jeszcze tak dokuczliwy. Chłopcy ruszyli bie-

giem w stronę kolejki, trzymając za rękę Annę, która niemal unosiła się w powietrzu. Zdążyli na czas. Zadyszani i uśmiechnięci usiedli na drewnianej ławce. Kolejka ruszyła. Więc tak zaczyna się podróż do Jemenu - pomyślała Anna, kładąc głowę na ramieniu swojego chłopaka. Jutro odleci do ciepłych krajów, ale ja go odnajdę nawet na końcu świata.

2

Czwartek był dla Krzysztofa początkiem wielkiej przygody. W ostatniej chwili plany uległy zmianie. Lecieli z Mike'em prosto do Sany z dwiema przesiadkami po drodze. Anna odprowadzała ich na lotnisko. Wszyscy byli ogromnie podnieceni, czego nie potrafili i nawet nie próbowali ukrywać.

Krzysztof z niepokojem spoglądał na swoją dziewczynę i czuł, że powinien przed wyjazdem chociaż przez chwilę porozmawiać z nią sam na sam. Przeprosił przyjaciela i poprowadził Annę w stronę kawiarni.

- Kochanie, będziesz pamiętała, że cały czas myślami jestem z tobą? Wiem, jestem podły, że właśnie teraz zostawiam cię samą. Może kiedyś mi to wybaczysz. Zrozum mnie...

- Przestań! - Anna położyła mu dłoń na ustach. - Nic nie mów. Kocham cię i tylko to jest ważne.

Przytul mnie mocno, tak mocno, żeby mi sił starczyło na całą naszą rozłąkę.

Wziął ją w ramiona i długo całował, nie zwracając uwagi na przygodnych gapiów, którzy przyglądali się im bez żenady. Tworzyli wyjątkowo ładną parę. Wysoki blondyn o regularnych rysach twarzy i drobna, jasnowłosa dziewczyna z rozwichrzoną czupryną. Byli wpatrzeni w siebie i ponad wszelką wątpliwość szczęśliwi. Trzymali się za ręce i wyglą-

dało na to, że żadna siła nie zdoła ich rozdzielić

Przez megafon zapowiedziano samolot do Frankfurtu, którym chłopcy mieli odlecieć za niecałą godzinę. Mike trochę zniecierpliwiony ciągnącym się w nieskończoność pożegnaniem, podszedł w końcu do nich i położył rękę na ramieniu Krzysztofa. Ten drgnął, jakby ktoś nagle wyrwał go ze snu, i nieprzytomnie spojrzał na przyjaciela.

- Już czas. Musimy iść do punktu odprawy paszportowej.

-Za chwilę. Daj nam jeszcze minutę. Znów gorączkowo powtarzali w kółko te same zaklęcia i obietnice. W końcu Anna odsunęła Krzysztofa na odległość ręki. Jeszcze raz spojrzała mu w oczy z czułością i niepokojem. Wtuliła policzek w jego ramię na krótką chwilę, a potem cofnęła się nagle

- Masz na siebie uważać! Obiecuj mi, że będziesz ostrożny. I pamiętaj, przyjadę tak szybko, jak tylko to będzie możliwe. Pamiętaj!

- Dbaj o siebie, Aneczko! Kocham cie. Zaraz zadzwonie.

Mike zręcznie odciągnął przyjaciela, popychając go przed sobą w kierunku stanowiska odprawy paszportowej. Pożegnał Annę serdecznym uściskiem dłoni i ruszyli przed siebie.

Krzysztof odzyskał równowagę dopiero w samolocie. Przez jakiś czas rozmawiali z ożywieniem, zerkając w dolną mijane pola i miasta, ale w końcu zamilkli i każdy zajął się swoimi myślami.

Przyjaciel drzemał, pomrukując przez sen, a Krzysztof zachłannie czytał książki, które miały mu pomóc w pracy podczas wykopalisk.

Do Sany dotarli w południe następnego dnia. Bez trudu znaleźli hotel w centrum nowego miasta, gdzie mieli się spotkać z profesorem i resztą ekipy biorącej udział w wyprawie. Po drodze Krzysztof komentował niezwykle widoki. Już na lotnisku oszołomił go widok skał, wznoszących się nad miastem na wysokość ponad trzech tysięcy metrów. Mroczne góry ostro kontrastowały z białymi ścianami domów.

Jechali autobusem wzdłuż murów starej Sany do zbudowanego zaledwie kilkanaście lat temu nowoczesnego osiedla. Krzysztof nie potrafił jednak odróżnić starego miasta od nowego, bowiem za murami widać było wieżowce, ozdobione białymi ornamentami, które przypominały geometryczne wzory. Mike, lepiej przygotowany do wyprawy, cierpliwie wszystko tłumaczył.

- Popatrz, to najstarsze wieżowce świata. Większość tych domów stoi tu od ośmiuset albo i ponad tysiąca lat. Mają po kilka pięter, a niektóre nawet dziesięć kondygnacji. A zasada jest taka. Na samym dole są stajnie dla wielbłądów, koni i innych zwierząt. Na pierwszym piętrze zazwyczaj bywają pomieszczenia użytkowe, czyli toalety i łazienki, a na drugim piętrze jest przestronna, bogato zdobiona izba paradna, gdzie odbywają się rodzinne uroczystości. A potem na kolejnych piętrach masz sypialnie i pokoje, dobudowywane w miarę rozrastania się rodziny. Natomiast na samym szczycie jest salon dla gości z oknami na wszystkie strony świata, żeby mężczyźni podczas swoich spotkań mieli widok na całą okolicę.

Miasto jest zabytkiem klasy zerowej. UNESCO od wielu lat zbiera fundusze na ratowanie tych wspa-

niałości, ale pieniędzy jest wciąż za mało. Na szczęście główny ruch samochodowy omija wąskie uliczki i koncentruje się w nowym mieście, bo te wieżowce mają bardzo płytkie fundamenty. Gdyby nie to, dawno rozpadłyby się w proch.

- Słuchaj, one wyglądają jak bajeczne konstrukcje z białego cukru albo jak domy ozdobione misterną koronką.

- Uspokój się, Krzysztofie. Poczekaj. Po południu pójdziemy na suk, czyli na targ. Dopiero wtedy wpadniesz w zachwyty. Na pewno zapomniałeś o słonecznych okularach. Musimy zrobić listę zakupów.

W hotelu czekał już na nich profesor Robert Morrison w towarzystwie Anglika Petera Carllsona, który miał pełnić rolę tłumacza, jako specjalista od różnych dziwnych i mało znanych języków. Profesor był zażywnym panem koło pięćdziesiątki o twarzy nieco ogorzalej i lekko siwiejących skroniach. Nie miał w sobie nic z nadętego uczonego, który dźwiga na swych barkach przytłaczający ciężar wiedzy. Wręcz przeciwnie. Z typowo amerykańskim luzem w sposobie bycia powitał serdecznie młodych ludzi i poprowadził ich do restauracji, gdzie przy stole siedział językoznawca po europejsku sztywny i niezbyt pewny siebie.

Po niezbędnych prezentacjach zamówili coś do jedzenia i picia. Musieli dość długo czekać na kelnera, bo w porze sjeisty ruch był znikomy i nikomu z tubylców nie chciało się pracować.

- Nie wiecie, moi drodzy, w co wpadliście - oznajmił profesor Morrison. - Jeszcze możecie się wycofać i wrócić do domu, choć przyznam szczerze, że byłaby to dla mnie ogromna strata.

Młodzi ludzie zrobili zdziwione miny,

- Chyba czytacie gazety i oglądacie telewizję? Musieliście słyszeć, co tu się wydarzyło parę miesięcy temu. Otóż porwano trzech Anglików i jednego Australijczyka. Tu stale kogoś porywają. W ciągu ostatnich trzech lat porwali prawie dwieście osób. Ale jak dotąd wszystko kończyło się dobrze.

Miejscowi przywódcy plemienni brali sowity okup i za te pieniądze budowali domy, drogi lub zakładali szkoły. To taki specyficzny sposób poprawiania sobie warunków życia.

- A co się stało z tymi Anglikami? - zapytał Krzysztof, co nie było zbyt grzeczne, ale za to niezwykle odkrywcze, bowiem nawet nie zauważył, z jaką łatwością przeszedł na angielski.

- Poczekaj, chłopcze. Po kolei, bo nic nie zrozumiesz. Teraz Jemen jest jednym z najuboższych krajów świata. Szesnaście milionów ludzi po zjednoczeniu północy z południem, trzydzieści pięć procent bezrobocia. Dawniej ponad milion Jemeńczyków pracowało w Arabii Saudyjskiej, ale za to, że popie-rali Irak podczas wojny, wszyscy zostali wypędzeni, a to znacznie pogłębiło nędzę. I tak doszliśmy do wydarzenia sprzed paru miesięcy. Otóż Anglicy i jeden Australijczyk zostali zamordowani. Może to przypadek, a może skutek coraz większej się biedy. Nikt nie wie. Byłem dziś w paru tutejszych urządach i wszyscy mnie ostrzegali. Ja się nie wycofuję. Liczę na to, że po raz drugi nie może zdarzyć się coś tak okropnego. Ale nie mam prawa was narażać. Przed wami całe życie.

Mike i Krzysztof spojrzeli na siebie jednocześnie. Widać było od razu, że rozumieją się bez słów. De-

cyzja zapadła błyskawicznie. Żaden z nich nie zamierzał rezygnować.

- Czy wiecie, ile tu jest broni w prywatnych rękach? Po wojnie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku ludzie przechowują w domach około pięćdziesięciu milionów kałasznikowów, co oznacza, że co najmniej trzy karabiny przypadają na jednego obywatela z niemowlętami włącznie.

- Proszę nas nie straszyć, profesorze - powiedział Krzysztof z absolutnym spokojem. - Jeśli będziemy ostrożni, nic się nam nie stanie.

Anglik niewiele starszy od siedzących przy stoliku młodzieńców wyraźnie zbladł.

- A ty, Peter, co o tym myślisz?

- No, nie wiem - zaczął cedzić przez zęby, wysuwając do przodu dolną wargę i wytrzeszczając nieco oczy, co mogło oznaczać niepewność lub szczególny wysiłek umysłowy. - Obawiam się, że każdy z nas powinien rozważyć ten problem indywidualnie. Pan, panie profesorze, nie powinien narażać życia. - Głos jego lekko drżał i trudno było się zorientować, czy jest onieśmielony, czy też bardzo przejęty. - Taki dorobek i tyle twórczych możliwości. Nie należy rzucać tego na jedną szalę. - Mówił wolno, zbyt wolno, co słowiańskich zawadiaków zaczęło z punktu irytować. Wystudiowany oksfordzki akcent brzmiał bardzo pretensjonalnie, co nawet na profesorze robiło niedobre wrażenie.

- Pozwolisz, młodzieńcze, że sam zatroszczę się o moje cenne życie i naukowy dorobek. Teraz trzeba podjąć decyzję i to szybko. Jutro przed południem wyruszamy do Maribu.

- No, nie wiem. Nalegam, żeby wszyscy pano-

wie jeszcze raz rozważyli wszystko na spokojnie.

Wyraźne przerwy między poszczególnymi słowami rozbawiły chłopców. Krzysztof nie mógł się powstrzymać i odpowiedział, parodiując sposób mówienia Petera, przy czym starał się, by przerwy między wyrazami były jeszcze dłuższe.

- My, profesorze, jesteśmy pewni, że ta wyprawa wymaga szczególnej odwagi cywilnej. Tym bardziej z całą stanowczością oświadczamy, że żadna siła nie powstrzyma nas przed wyruszeniem w drogę. Broda i dolna warga Anglika opadły jeszcze niżej. Zanim jednak zdołał wyartykułować następne zdanie, profesor z ulgą uśmiechnął się szeroko i zakomunikował:

- No, to jesteśmy w domu. Główny trzon wyprawy jest zwarty i gotowy. A Peter do jutra ma czas na zastanowienie. To poczciwy chłopak i ma prawo bać się tych cholernych kałasznikowów.

- Ja się nie boję karabinów. - Carllson próbował zachować twarz. - Nie chcę tylko narażać mojej rodziny na zdenerwowanie, gdyby nas mieli porwać.

- Ma pan żonę i dzieci? - spytał Mike.

- Tak, żonę i syna. Zostaliby sami na świecie.

- Dostaną niezłe odszkodowanie. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - dorzucił Mike z wyraźną kpina w głosie.

Krzysztof roześmiał się i kopnął przyjaciela pod stołem.

- Nie gniewaj się, Peter - powiedział pojednawczym tonem. - To takie niewinne, słowiańskie poczucie humoru.

Anglik znów wybałuszył oczy i poprawił okulary na nosie. Widać było z jakim wysiłkiem próbuje uro-

dzić jakąś ripostę, ale nic mu z tego nie wyszło, więc zamilkł i z nieukrywanym respektem spoglądał na wszystkich oczami grzecznego chłopca.

Przyjaciele w lot zrozumieli, kto tu będzie kozłem ofiarnym, i już ostrzyli sobie zęby i języki z nadzieją na niezłą zabawę.

W tym momencie zdarzyło się coś nieoczekiwanego. W wejściu do restauracji stanęła kobieta w krótkiej, obcisłej sukience na cienkich ramiączkach. Rzadkie blond włosy zaczesane za uszy i wystająca broda robiły nie najlepsze wrażenie. Nikły biust rysował się pod cienką tkaniną. Z pewnością była bez stanika. Ogromne ciemne okulary zasłaniały pół twarzy. Całość uzupełniały wyzywająco umalowane usta i mała torebka przewieszona przez ramię.

- Panowie, oto nasz fotograf i plastyk w jednej osobie. Rita Black, prawdziwa, pełnokrwista Amerykanka. Ona niczego się nie boi, jak widać na załączonym obrazku.

Wamp, kołysząc biodrami, podszedł do stolika i przywitał się z każdym z panów z osobna, rzucając powłóczyście spojrzenia zza zsuniętych specjalnie w tym celu okularów. Dopiero kiedy okulary zostały umieszczone powyżej czoła, zebrani mogli zobaczyć oczy chłodno taksujące otoczenie.

- Od dzisiaj jestem waszym nieodłącznym cieniem. Robię dokumentację badań i całej wyprawy. Ach, jak ja lubię uczonych. To cudownie bezbronne stworzenia.

Rita usiadła na krześle, które szarmancko podsunął jej Peter. Spojrzeniem okazała mu coś na kształt wdzięczności i kiedy już odwracała głowę, gwałtownym ruchem umieściła ją w poprzednim położeniu

i z udawanym zachwytem studiowała namierzony obiekt.

- Co za profil. Jesteś piękny, Peter. Jesteś zdumiewająco piękny. Chciałabym ci zrobić portret, jeśli mi na to pozwolisz. - Głos kobiety brzmiał miękko i zniewalająco. - Carllson zarumienił się jak panienka aż po korzonki włosów. - Piękno emanuje z wnętrza człowieka, a więc musisz być piękny absolutnie, i jako model, i jako zjawisko, którym niewątpliwie jesteś.

- Proszę nie przewracać w głowie tłumaczowi, bo stanie się zupełnie nieprzydatny - zażartował profesor. - Jak widzicie, nie będziemy się nudzili. Rita jest nieco egzaltowana i ekscentryczna. Ale to świetny fachowiec. Mam nadzieję, że wszyscy się polubicie.

- To się okaże. - Rita wyjęła paczkę papierosów i wtedy wszyscy mogli do woli podziwiać długie, pomalowane na granatowo paznokcie. Peter zerwał się jak oparzony i z namaszczeniem podał jej ogień. Widać było, jak mu z emocji drżą ręce.

Morrison uśmiechnął się pobłażliwie i z delikatną naganą w głosie skrytykował strój Rity. Przypomniał, że są w kraju, gdzie kobiety zasłaniają ciało i to wyjątkowo dokładnie. Trzeba uszanować miejscowe obyczaje, żeby uniknąć kłopotów i nie dopuścić do katastrofy, która mogłaby przekreślić całą wyprawę.

Dziewczyna wydeła usta, wysunęła koniuszek języka i dopiero po chwili łaskawie obiecała, że dostosuje się do rad profesora.

- No cóż, wyjmę z walizki bawełnę i barchany. Jak mus, to mus.

Anglik nie odrywał od niej oczu. Zachowywał się

jak dziecko, które pochwalono po raz pierwszy w życiu, i najwyraźniej oczekiwał dalszych komplementów. Tymczasem Rita była już pochłonięta czym innym, uznając, że jej ofiara, leżąca niemal u stóp, nie jest już godna uwagi. Teraz postanowiła dołączyć chłopców do grona swoich wielbicieli. Na profesora na razie nie liczyła, choć i on zapewne był brany pod uwagę.

- Więc co robimy, panowie, z tak pięknie rozpoczętym popołudniem? - zapytała niewinnie.

- My wybieramy się na suk - powiedział Krzysztof i zanim zdolał rozwinąć myśl, Rita już wpadła mu w słowo.

- Idę z wami.

- Zaniesiemy bagaże na górę i zaraz będziemy z powrotem. Za kwadrans, nie więcej - dodał Mike.

Profesor zagarnął tłumacza i razem wyszli z hotelu. Carllson rzucił za siebie rozpaczliwe spojrzenia, ale na nic się to nie zdało. Rita spokojnie paliła papierosa, kiwając beztrudno nogą założoną na nogę. Pomachała mu na pożegnanie, a potem posłała mu pocałunek, układając usta w ryjek.

Kiedy chłopcy wrócili do restauracji, dziewczyna ze znudzoną miną siedziała wciąż w tej samej pozycji.

- Musisz się przebrać. Z tak ubranym wampem nie dojdziemy nawet do najbliższego rogu. Nie masz jakiejś sukienki z długimi rękawami? - zapytał Krzysztof

- W taki upał? Chcecie mnie zabić?

- Skoro tak do tego podchodzisz, musimy cię przeprosić i wyjść bez ciebie.

- Co za kraj, co za ludzie?! Słowianie, Jemeńczycy, same bestie. A cóż wam przeszkadza mój strój?

zrzędziła Rita, ale potulnie poszła na górę do swojego pokoju. Wróciła w prostej bawełnianej sukience do ziemi i w ogromnym słomkowym kapeluszu. Teraz było widać, że jej biodra są nieco za szerokie w stosunku do reszty ciała, co z satysfakcją i dosadnie skomentował po polsku Mike, robiąc przy tym niewinną minę.

- Co powiedziałaś? - zapytała z pozornym spokojem.

- Że jesteś niesamowita.

Wyszli z klimatyzowanego pomieszczenia wprost na ulicę. Żar zaatakował ich z taką siłą, że na chwilę stracili oddech. Ulice były jeszcze puste. Kończyła się sjesta. Powoli zmierzali w stronę starego miasta, podziwiając niezwykle widoki. Rita nie wypuszczała z rąk aparatu, natomiast Mike opowiadał różne ciekawostki. Wyglądało na to, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Przy potężnej bramie do miasta zakomunikował, że ta i pozostałe sześć okutych blachą wrót do dnia dzisiejszego są zamykane o zmroku. Jeśli ktoś się spóźni, musi czekać do świtu, dokładnie tak samo jak dwa tysiące lat temu.

- A tu - Mike zawiesił głos na moment, żeby skupić uwagę słuchaczy - na tych żerdziach całkiem niedawno zawieszano głowy ludzi ściętych z woli imama.

Rita drgnęła i spojrzała na chłopaka z niedowierzaniem.

- Żartujesz chyba. Gdzie my jesteśmy? To przecież koniec dwudziestego wieku.

- Mylisz się, moja piękna. Tu jest teraz tysiąc czterysta dwudziesty pierwszy rok i nic tego nie zmieni.

Zaraz się o tym przekonasz na własne oczy.

Minęły ich trzy kobiety w długich szatach, każ-

da z głową osłoniętą czarnym welonem, który spływał z ramion miękkimi fałdami. Nawet oczy były ukryte za ciemnymi okularami, a na rękach mimo upału miały ciemne rękawiczki. Chichocząc, wymieniały między sobą jakieś uwagi. Mike wybuchnął śmiechem. Dopiero po chwili wyjaśnił, że dziewczyny, wracające właśnie ze szkoły, komentowały wygląd Europejczyków. Doszły do wniosku, że są dziwacznie ubrani i niezbyt przystojni. A do tego nie wiadomo dokładnie, kto z nich jest kobietą, a kto mężczyzną.

- Chyba nie wzięły mnie za chłopaka? - zawołała Rita, opierając się ręką, a potem całym ciałem o Krzysztofa, żeby wytrząsnąć z sandała kamyk. -Chłopak spojrzał na nią ze zdziwieniem, ale szarmancko pomógł swojej towarzyszce utrzymać równowagę, którą celowo straciła. Ruszyli dalej. Teraz dopiero Krzysztof uświadomił sobie, na czym polegał problem tej dziewczyny. Miała twarz w kształcie trójkąta, z szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi. Próbowała to maskować na różne sposoby. Ale w tym wypadku nawet najlepsza kosmetyczka niewiele mogłaby poradzić. Cień tuż przy skórze głowy wskazywał na to, że jasny blond jest fałszywy. Sztucznie napuszona fryzura miała maskować słabe i zniszczone włosy. Ciemny kolor oczu nie licujący z płową czupryną w pierwszej chwili zastanawiał, ostatecznie jednak zdradzał, że nic tu się nie zgadza. Wyzywający sposób bycia Amerykanki i odruchowe niemal kokietowanie chłopców mogły również oznaczać brak pewności siebie i błaganie o chwilę uwagi czy odrobinę ciepła.

Weszli na bazar. Tu było więcej ludzi, a wśród nich szczelnie okryte kobiety, elegancko ubrani mieszczą-

nie w długich szatach, długowłosi i brodaci wieśniacy, półnaczy koczownicy i żołnierze uzbrojeni po zęby. Wąskie uliczki miały swoje specjalizacje, a więc stragany z materiałami, ubraniami, przepiękną biżuterią i pachnidłami. Na innych sprzedawano buty, warzywa, owoce i medykamenty, wśród których Krzysztof znalazł kameleony suszone, sproszkowane, a nawet kilka żywych okazów. Trudno wymyślić rzecz, jakiej nie byłoby na suku. Oprócz europejskiej tandety i tajwańskich wyrobów olbrzymi wybór lokalnych wspaniałości.

Zatrzymali się na dłużej w uliczce snycerzy, gdzie na wystawach pyszniły się piękne sztylety. Jak wynikało z rozmowy ze sprzedawcą, każdy mężczyzna powinien mieć przytroczony do pasa sztylet, a jego wykonanie i ozdoby świadczyły o statusie społecznym posiadacza. Do wyposażenia należał również pas, który mógł być tani albo bardzo drogi.

Rita wtrąciła, że widziała na ulicy paru mężczyzn z pasem i pustą pochwą. Zaraz jej wytłumaczono, że za wykroczenie przeciw prawu sąd plemienny może pozbawić mężczyznę przywileju noszenia broni, która w tym czasie pozostaje w rodzinnym depozycie.

Nad kramami unosił się mocny zapach mielonego pieprzu, kminku, cynamonu, kardamonu i goździków. Usiedli w małej kawiarence, gdzie w niewielkich czarkach podawano bardzo mocną kawę z zimną wodą do popijania i ciastka nadziewane orzechami, ociekające miodem i tłuszczem. Rita spoglądała z politowaniem na korowód kobiet w ciężkich strojach.

- Co za ofiary losu! - wyrzuciła wreszcie z siebie. -Niewolnice.

- Każdy z nas jest niewolnikiem jakichś konwenansów, tradycji i norm obyczajowych, co nie oznacza, że musi być nieszczęśliwy - wtrącił Mike.
 - Ale nie ja! Odrzucam wszystkie normy, które mogą pętać moją artystyczną duszę. Nie ja dla świata, tylko świat dla mnie. Jestem kobietą nowoczesną. Ja tworzę normy moralne, ja wybieram, ja decyduję o tym, co jest dobre, a co złe.
 - Nie za dużo tego „ja”? - spytał od niechcienia Krzysztof. - Zawsze dostajesz to, czego pragniesz?
 - Zawsze. Ale to wymaga rozwagi, czujności i dobroci, jaką obdarzam świat. Nie wspominam nawet o rozumie, bo to oczywiste. Dlatego współczuję tym nieszczęsnym istotom z zakrytymi twarzami. Jak można cieszyć się życiem w tak beznadziejnie szczelnym stroju?
- Rita zajrzała prowokacyjnie w oczy Krzysztofowi i mrugnęła porozumiewawczo. Wzięła go za rękę i przez chwilę podziwiała ją w milczeniu.
- Piękne dłonie. Rzadko kiedy spotyka się u mężczyzn takie piękne dłonie.
 - Z pewnością nadają się do tego, żeby je uwiecznić na obrazie... - wtrącił Mike.
 - Żebyś wiedział. Święte słowa.
 - Tylko mnie nikt nie zaproponował pozowania do tego obrazu. Już widzę portret Petera z rękami Krzysztofa...
 - Z ciebie wzięłabym ramiona i całą sylwetkę.
 - A z profesora? Zapewne konto w banku - rzucił Krzysztof nieco wytrącony z równowagi.
 - Nie ma w tym nic złego. U mężczyzn po pięćdziesiątce interesujące jest już tylko konto w banku. Macie rację. Ale profesor nie jest w moim typie. Wy

jesteście w moim typie i schrupałabym was jak ciasteczka.

- Kiedy? - rzucił mimochodem Mike.

- Choćby dziś wieczorem.

- Razem czy osobno?

- Wszystko jedno.

- A jeśli będziemy się bronili?

- Nie dacie rady. Już ja znajdę na was sposób. Roześmieli się i zaczęli powoli kończyć niezaplanowany podwieczorek.

Kiedy wracali do hotelu, minęło ich kilku ślepych żebraków. Ponieważ Europejczyków nie było w mieście zbyt wielu, więc z nadzieją na datek zawrócili i szli parę kroków za nimi. W pewnej chwili Rita z rozmachem klepnęła Krzysztofa w plecy, celując jak najniżej. Zdumiony chłopak w pierwszej chwili sądził, że ktoś zaszedł go od tyłu. Obejrzał się i wtedy właśnie usłyszał głośny, obleśny rechot ślepych starców, którzy najwyraźniej byli oszustami. Odwrócił wzrok z niesmakiem i nieco oszołomiony szedł dalej, rozglądając się na wszystkie strony. Cała trójka przyspieszyła kroku, żeby przed zmrokiem opuścić mury starego miasta.

W hotelu przy kolacji spadła na chłopców nowa porcja rewelacji. Następnego dnia rankiem miał do nich dołączyć archeolog z Egiptu, bez którego wyprawa nie mogła się odbyć. Taki był warunek miejscowych władz. Profesor zareklamował go jako świetnego specjalistę, około czterdziestki, przystojnego, ale niezbyt łatwego w pożyciu. Nazywał się Ahmad Shariff, tak jak słynny aktor, tyle że nie grał w filmach, za to zawsze utrudniał prace przy wykopaliskach kolejnym ekipom ze Stanów i z Europy.

- No cóż, dopust boży - skwitował profesor.
- Może Rita się nim zajmie i wtedy będzie lżej -dodał Mike z przymrużeniem oka.
- Nie liczcie na to. Shariff zna się na kobietach -dodał Morrison.

W tym momencie w drzwiach stanęła Amerykanka z Peterem, który trzymał ją pod ramię. Anglik pochylał się przed nią, co sprawiało wrażenie, że pragnie usunąć pył sprzed nóg swojej damy.

- A co na to powie jego młoda żona?
- Nie przejmujcie się, moi drodzy. Zobaczycie, że jeden kolorowy ptak bardzo nam umili życie w Maribu. Kto nas będzie zabawiał przy kolacji lekką i jednocześnie perwersyjną rozmową? Dajmy temu spokój.

Kiedy Rita i Peter usiedli już przy stole, wykonując przedtem taniec odsuwania i przysuwania krzeseł, profesor raz jeszcze zadał zasadnicze pytanie.

- Czy ktoś wycofuje się z wyprawy? Nikt? Nie słyszę, nie widzę. Nawet Peter? Brawo.

Tłumacz wcisnął głowę w ramiona, udając ogromne zdumienie. Rzucił potem dramatyczne spojrzenie w stronę Rity i położył rękę na oparciu jej krzesła na znak objęcia władzy w tym rewirze.

- W takim razie mam do zakomunikowania jedno - oświadczył profesor. - Wyruszamy o siódmej rano, zanim zrobi się upał. Samochód będzie stał pod hotelem. Pojedzie z nami dwóch żołnierzy z tutejszej jednostki. Będą mieli przy sobie nabitą broń. Proszę się nie bać. To konieczne. Każdy, kto nie chce zostać porwany, podróżuje w ten sposób. A w Maribie będziemy już pod opieką tamtejszych władz. Za chwilę przyjdzie umówiony wcześniej kierowca i służący, który będzie nam pomagał. Przyjmijcie go ciepło. Od dobrych stosunków w ekipie bardzo wiele zależy. O, już jest.
- Profesor wstał i ruszył na spotkanie Jemeńczyka.

Młody człowiek rozglądał się po sali nieco nieprzytomnym wzrokiem. Widać było, że przed wyjściem z domu zadał sobie wiele trudu. Chciał wyglądać po europejsku. Był w czarnym garniturze z jakiegoś sztucznego tworzywa, które wyraźnie błyszczało w świetle lamp, udając prawdziwy jedwab. Pod szyją pysznił się kolorowy krawat. Zdradzały go spodnie z wypaloną powyżej kolana dziurą, którą usiłował zasłonić gazetą trzymaną w ręku. Zamierzał wzbudzić zaufanie solidnym ubiorem i zdobyć wymarzoną pracę. Dla profesora jednak najważniejszy był fakt, że Abduh, bo tak miał na imię, mówił jako tako po angielsku, umiał prowadzić samochód i jak twierdził, znał tajniki miejscowej kuchni. Decyzja zapadła szybko. Abduh uklonił się wszystkim nisko, dziękując za zaufanie, i obiecał, że przed ósmą następnego dnia będzie do dyspozycji i wyruszy z nimi w drogę. Szczęśliwy, że zdobył pracę, niemal w podskokach wybiegł z hotelowej restauracji.

- Pewnie ma żonę i kilkoro dzieci na utrzymaniu - rzuciła Rita, wydymając wargi z pogardą. - Ja nie zamierzam mieć dzieci. Zajmowanie się potomstwem to ogłupiające zajęcie, które robi z kobiety niewolnicę i uzależnia od mężczyzny w sposób uwłaczający jej godności. - Pantofel na wysokim obcasie zakołysał się na nodze założonej na nogę, a głowa opadła na ramię w kokieterijnym geście.

- Gdyby wszystkie kobiety jednocześnie wpadły

na taki pomysł, ród ludzki skończyłby się na żyjącym teraz pokoleniu - wtrącił profesor. - Na szczęście, droga Rito, tak nie jest, a i pani na pewno jeszcze nie raz zmieni swoje poglądy. Słuchajcie, wy możecie tu jeszcze zostać, ale pamiętajcie, że jutro rano wyruszamy w drogę i musimy być zvarci, gotowi i bardzo przytomni. Więc nie przesadzajcie, proszę. Do jutra, moi mili.

Morrison uregulował rachunek za kolację i powoli, z godnością, jak na uczonego wielkiej miary przystało, udał się do swojego pokoju. Rita obrzuciła szybkim spojrzeniem trzech mężczyzn, którzy zostali na placu boju. Peter kurczowo zaciskał palce na oparciu jej krzesła, co zresztą nie dawało mu żadnych praw. Był pierwszym wielbicielem w gronie adoratorów, więc już się nie liczył. Miał około trzydziestu lat, nie grzeszył poczuciem humoru, a jego lekka ociężałość umysłowa ośmieszała Amerykankę, więc postanowiła zachować ten wątpliwej jakości diament na gorsze dni. Teraz chciała okiełznać chłopców, którzy siedzieli przed nią i najwyraźniej wciąż byli odporni na jej wdzięk i urok osobisty. Nie wiedziała, jak się do nich dobrać.

- Co zrobimy z resztą tak wspaniale zapowiadającego się wieczoru? - zapytał Mike, który odruchowo zaczął przedrzeźniać Petera, cedząc słowa i robiąc między wyrazami irytująco długie przerwy.

- Mam w pokoju butelkę wódki. Jak wiecie, tu nie pije się alkoholu, więc możemy to zrobić tylko na górze - zaproponował Krzysztof, podejmując grę mającą na celu ośmieszenie tłumacza.

Rita chwyciła w lot. Skoro kpią z Anglika i bawi ich wprawianie go w zakłopotanie, to widocznie za--

leży im na względach jedynej dziewczyny w ekipie. Natychmiast weszła do gry.

- To świetny pomysł. - Przeciągając słowa niemal w nieskończoność, Rita odwróciła się całym ciałem w stronę Petera. - Czy ludzie w twoim wieku potrafią się jeszcze bawić przy wódce w hotelowym pokoju?

- Jak najbardziej - skwapliwie zapewnił ją Peter, który za nic nie chciał wypaść z gry. Nie był w stanie poradzić sobie ze złośliwościami, więc udawał, że niczego nie zauważa.

Poszli razem na górę. Tu Rita znalazła się w swoim żywiole. Natychmiast przejęła inicjatywę.

Wszystko zaczęło wirować wokół niej. Muzyka płynąca z radia nie nastrajała do tańca, więc chłopcy zaczęli szukać jakiejś europejskiej stacji. Papierowe kubki służyły za kieliszki, śmiech z byle powodu wybuchał niemal co chwilę, a wamp pilnował, żeby każdy z panów otrzymał swoją porcję komplementów i został pogłaskany po duszy. Wystarczyło tylko udawać zachwyt we właściwej chwili. Próżność mężczyzn jest ich najsłabszą stroną, o czym Rita wiedziała doskonale.

W tańcu kładła im głowę na ramieniu, udając bardziej pijaną, niż była w istocie, i przywierała do nich całym ciałem, czekając na sygnał, świadczący o tym, że tylko odrobina zachęty z jej strony i wszystko może się wydarzyć. Jedynie chory albo nienormalny chłopak mógł pozostać nieczuły w obliczu tak zmasowanego ataku. Po godzinie wszyscy trzej wodzili za nią wzrokiem i popisywali się przed sobą nawzajem.

Krzysztof nagle uświadomił sobie, że tego dnia ani razu nie pomyślał o Annie. Zerwał się więc, przeprosił

wszystkich i ruszył do wyjścia z zamiarem odszukania telefonu w recepcji. Amerykanka zasłoniła własnym ciałem drzwi i powiedziała, że sama zamówi połączenie z hotelowego pokoju. Szansa na intymną rozmowę z ukochaną od razu legła w gruzach. Przystał w końcu na to, z trudem ukrywając niezadowolenie.

Po upływie pół godziny zadzwonił telefon. Głos Anny brzmiał dźwięcznie i wyraźnie, jakby ich nie dzieliły tysiące kilometrów, ale najwyżej ściana jednego pokoju. Krzysztof gestami nakazał wszystkim bezwzględną ciszę, ale nie mógł liczyć na lojalność Rity. Po chwili wybuchnęła głośnym, perlistym śmiechem, tak żeby dziewczyna po drugiej stronie z pewnością usłyszała jej głos.

- Mamy tu takie towarzyskie spotkanie przed wyjazdem. Wszystko w porządku. Tak, pozdrowię Mi-
kę^ Tak. Ja też. Bardzo. Tak. Myślę. Ja też. - Płatał się coraz bardziej. Przy tylu słuchaczach nie umiał powiedzieć „kocham cię”, bo przecież zabrzmiałoby to głupio. Wreszcie odłożył słuchawkę i spojrzał z irytacją na Amerykankę, która uprzedziła atak. Nastawiła radio na cały regulator i porwała do tańca najsłabsze ogniwo w łańcuchu jej adoratorów. Wybrała właściwy moment, żeby pogłaskać Krzysztofa po głowie, potem z czułością opuszkami palców przejechać po uchu, zejść niżej na kark, zdecydowanym ruchem zakreślić łuk na jego plecach i mocno przyciągnąć jego biodra do swoich.

Czuła wyraźnie przyspieszony oddech chłopaka, który pochylił się nad nią, żeby musnąć wargami jej włosy. Kątem oka dostrzegł Petera, który błądził po pokoju jak zwierzę w klatce i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Zaciskał pięści i był coraz bardziej czerwony na twarzy.

- Słuchaj, Peter, a może zadzwoniłbyś do żony? - zaatakował Mike, który też czuł, że zbiera się na burzę.
- Zejdźcie ze mnie - odburknął Carllson. - Trzeba kończyć zabawę. Jutro wcześniej wstajemy.
- Nikt cię nie zatrzymuje - rzucił przez ramię Krzysztof, nie wypuszczając partnerki z objęć. - Możesz się położyć w każdej chwili.
- Mam tu was zostawić?
- Dlaczego nie? - włączył się Mike. - Jesteśmy dorośli. Umiemy sobie pościelić łóżeczka. Nie potrzebujemy wsparcia ani pomocy.
- Ale nie wiem, czy zauważyliście, że to jest mój pokój.
- A to ci heca! - zażartował Mike.

Rita leciała Krzysztofowi przez ręce, dając do zrozumienia, że sama nie zdoła trafić do swojego pokoju. Teraz miała nastąpić decydująca chwila, czyli wybór właściwej osoby, która ją odprowadzi. Spojrzała za siebie i doszła do wniosku, że tę decyzję zostawia w rękach losu. Kto wygra, ten zasłuży na nagrodę. Jedno było pewne, nie zamierzała tej nocy spędzić w pustym łóżku.

Wszyscy zrozumieli to od razu. W pokoju zaszumiało od nadmiaru emocji, bo każdy miał ochotę na łatwą zdobycz. Krzysztof i Mike spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Jeden drugiemu gotów był ustąpić, ale obydwaj za nic nie chcieli, żeby wygrał irytujący Anglik. Ułożyli Ritę na kanapie i zawołali niemal jednocześnie:

- Rzucamy monetę?

Nawet powolny Anglik zorientował się od razu, o co chodzi. Teraz on przejął inicjatywę i natychmiast, z narażeniem życia i czci własnej, zamierzał

stanąć na wysokości zadania. Ze zdenerwowania mówił jeszcze wolniej i dla podkreślenia powagi sytuacji pomagał sobie szerokimi gestami rąk. Rita całkiem przytomnie obserwowała tę scenę spod przymkniętych powiek.

- Tak się nie godzi, panowie - mówił Peter głosem niższym niż zwykle. - To nie jest zabawka ani butelka wódki. To wspaniała kobieta i dopóki ja tu jestem, nikt nie będzie nią rozporządzał w sposób uwłaczający jej godności.

- Najpierw, koleś, powinieneś zadbać o godność swojej żony, zanim poświęcisz się zbawianiu całej ludzkości, która jak widać, wcale nie chce być zbawiona.

- Jesteście... jesteście, jak zwierzęta. Nikt jej nie tknie, choćbym miał tkwić tu do rana - oświadczył Peter i widać było, że wzbiera w nim wściekłość, która lada moment zamieni się w furję. Żyły na jego skroniach wyraźnie nabrzmiały i już stawał do nierównej walki z dwoma młodszymi i znacznie wyższymi od niego chłopakami. Zanosilo się na bijatykę.

Pierwszy oprzytomniał Krzysztof. Trącił przyjaciela łokciem i powiedział mu coś na ucho. To jeszcze bardziej rozjuszyło Carllsona. Kiedy ruszył w ich stronę z pięściami gotowymi do wymierzenia ciosu, chłopcy cofnęli się o krok.

- obrońca ziemi donickowej - rzucili z pogardą i opuścili pokój. Za drzwiami wybuchnęli gromkim, niepohamowanym śmiechem, który miał zmiażdżyć zwycięzcę i zapewne tak się stało, bo Anglik wyskoczył jeszcze na korytarz, ale po chwili namysłu zrezygnował z pościgu. Wrócił do pokoju i przed zamknięciem drzwi, wywiesił na zewnątrz tabliczkę z napisem „nie przeszkadzać”.

Na korytarzu zaległa cisza. Przyjaciele poszli spać, nie rozpaczając z powodu straty, jaką ponieśli przed chwilą. Zamierzali powetować ją sobie przy najbliższej okazji. Teraz najważniejsza była wyprawa i nowy świat do odkrycia. Jak słusznie zauważył Mike, głupio wyglądałoby rano z podbitymi oczami. Morrison miałby nie lada kłopot z ekipą badawczą, która zaczyna wyprawę od bijatyki. Wprawdzie Słowianie uchodzą za jedną z najwaleczniejszych nacji na świecie, potrafią jednak zachować twarz i godność. Jednocześnie doszli do wniosku, że nie warto się bić z byle powodu, bo można więcej stracić, niż zyskać. Tym razem konflikt międzynarodowy w porę zażegnano, ale zadra została i trudno było przewidzieć, co z tego wyniknie.

3

Już przed siódmą rano półciężarowy samochód stał przed wejściem do hotelu. Abduh uwijał się jak w ukropie, znosząc z góry bagaże i sprzęt niezbędny podczas badań. Dziś był ubrany jak prawdziwy Jemeńczyk, w białą galabiję ściągniętą na biodrach ozdobnym pasem, z którego zwisała pochwa z pięknym zakrzywionym sztyletem. Turban na głowie miał nieco przekrzywiony, ale za to wspaniały humor nie opuszczał go ani na chwilę. Tryskał energią, uśmiechał się do wszystkich i każdego podtrzymywał na duchu.

Przed ósmą przy samochodzie pojawili się dwaj żołnierze z okazałymi karabinami na ramionach. Profesor potwierdził, że to są ich opiekunowie, o czym miał świadczyć dokument okazany podczas rozmowy. Kiedy wszyscy ulokowali się w miarę wygodnie, kierowca zatępił z fantazją i ruszyli w drogę. Tuż za miastem zaczynał się pustynny teren, którego widok szybko znużył podróżników. Auto podskakiwało na wybojach, bo droga była najwidoczniej rzadko naprawiana.

Rita wystąpiła w zupełnie nowym stroju. Sportowa spódnica sięgała przyzwoicie prawie do kostek. Męska koszula wypuszczona na wierzch była o ton jaśniejsza i tworzyła z resztą ubrania całkiem interesującą całość. Podwinięte do łokcia rękawy miały zapewnić odrobinę komfortu podczas gorącego dnia. Włosy

schowwała pod czapkę, którą musiała co jakiś czas zdejmować, bo pot spływał kropelkami z jej czoła. Makijaż diabli wzięli. Odwróciła się do panów plecami i korzystając z małego lusterka, próbowała chusteczką do nosa wytrzeć twarz, co nie na wiele się zdało. Rozłożyła więc kosmetyczkę na kolanach Petera, wyjęła tonik i wacikiem zmyła całą twarz. Adorator drżącymi rękami podawał jej kolejno wskazywane przedmioty i coraz niższym głosem wydobywał z siebie półsłówka, rzucając wrogie spojrzenia w kierunku rywali.

W pewnym momencie Morrison odwrócił się i zakomunikował:

- Dzisiejszy dzień jest stracony. Shariff jeszcze nie przyjechał. Bez niego nie możemy zacząć wykopalisk, ale pochodzimy sobie po terenie, żeby nie marnować czasu. Egipcjanin dojedzie jutro po południu. Utknął na jakimś lotnisku. Dzwonił w nocy i tak mnie wytrącił z równowagi, że nie mogłem zasnąć do rana. Wyjątkowo irytujący człowiek.

- A jak on wygląda? - zapytała Rita.

- No cóż, widziałem go rok temu na jakiejś konferencji. Dobrze się trzyma jak na swoją czterdziestkę. Interesujący, jeśli ci o to chodzi. Z pewnością godny uwagi jako mężczyzna. Jako archeolog i współpracownik po prostu upiorny. Bałaganiarz, uparciuch i dyletant. Jeśli nie zdołamy nad nim zapanować, uniemożliwi nam pracę i doprowadzi nas do ruiny. Wrócimy z niczym, a tego byśmy nie chcieli, prawda? Nie wiem jeszcze, jak to zrobić, ale wszyscy powinniśmy uważać i w porę reagować na jego złe humory i niezdrowe zapędy.

- Jeśli jest przystojny, to możecie na mnie liczyć - powiedziała leniwie Rita, opierając się bezcere-

monialnie o Petera, który otoczył ją ramieniem.

- Obawiam się, że twoje propozycje wykraczają poza umowę, jaką podpisałaś z profesorem. Czy mogłabyś nie być aż tak rozrzutna? - mruknął Anglik i delikatnie wziął ją za rękę.

- Zostaw. Jest gorąco jak diabli. Możesz co najwyżej trzymać mnie za palec.

Basowy pomruk Petera, który czuł się teraz panem sytuacji, od razu rozbawił chłopców. Wydali z siebie podobne pomruki i wybuchnęli śmiechem.

- Chcesz mnie potrzymać za palec? - zapytał Mike Krzysztofa.

- Z najwyższą przyjemnością - wycedził Krzysztof, krztusząc się ze śmiechu. - Tylko proszę, zrób to delikatnie.

Na drodze pojawił się tuman kurzu. Kiedy podjechali bliżej, zobaczyli oddział żołnierzy na wielbłądach. Wyglądali groźnie, ale nie próbowali zatrzymać samochodu. Abduh wyminął ich ostrożnie, a potem dodał gazu.

- Z nimi nigdy nic nie wiadomo - usprawiedliwiał się przed profesorem. - Niby reprezentują oficjalną władzę, ale mogą też być na usługach lokalnego przywódcy. Lepiej dać nogę, zanim wpadną na pomysł, żeby nas zatrzymać.

Rita wczepiła się w ramię Petera i chwyciła go za rękę. Profesor próbował rozładować napięcie, choć jeszcze przed chwilą sam był mocno zaniepokojony.

- A kto wie, jak to jest z wielbłądami? Czy one rzeczywiście gromadzą wodę w garbach? Pytanie za dziesięć punktów.

- Ja wiem - zawołał Mike, podnosząc rękę jak pilny uczeń. Ponieważ nikt inny nie wyrywał się do od-

powiedzi, udzielono mu głosu. - Dopiero w latach pięćdziesiątych biolog Knut Schmidt-Nielsen odkrył tajemnicę wielbłądów. Okazało się, że nie gromadzą wody w garbie ani też, jak sądzono, nie potrafią zamienić tłuszczu w wodę. Prawda jest taka, że wielbłąd inaczej reaguje na utratę wody z organizmu niż człowiek. U ludzi odwodnienie powoduje zagęszczenie krwi, co utrudnia sercu przepompowywanie jej i ochładzanie całego ciała. W rezultacie dochodzi do przegrzania i utraty przytomności, co może skończyć się śmiercią.

Natomiast wielbłąd może stracić niemal czwartą część swojej wagi, ale nadal jest w pełni aktywny, choć niewątpliwie wycieńczony. Dzieje się tak dlatego, że nasz bohater nigdy nie zmienia gęstości krwi, bez względu na stan odwodnienia. Do ostatniego tchnienia ma szansę dotarcia do wody, która może go uratować. Wystarczy mu tylko trochę zbawczego płynu, żeby w pełni odzyskał siły. Dlatego mądry Beduin, jeśli zgubi się na pustyni, puszcza swojego wielbłąda luzem, a on na własną rękę, czy też na własne kopyto, szuka ratunku dla siebie i swojego pana.

Dlaczego tak właśnie jest, dokładnie nie wiadomo. Widocznie jego organizm posiada jakieś niezwykle właściwości. Ale wykryto jeszcze inne zalety tego zwierzaka, który umie przetrwać w najtrudniejszych warunkach. Otóż potrafi on dostosowywać temperaturę ciała do otoczenia, co chroni go dodatkowo przed zbędną utratą wody. Dzięki temu zwierzę się nie poci, co jest zyskiem nie do pogardzenia.

I tu dochodzimy do garbu, który zawsze wywoływał niezdrowe podniecenie u ludzi nieznających się na rzeczy. Otóż wypełniony tłuszczem wzgórek na

grzbiecie zwierzaka oraz gęste futro chronią go przed ostrym słońcem. Warstwa tłuszczu zatrzymuje ciepło, nie dopuszczając do przegrzania organizmu. Natomiast mięśnie są zupełnie pozbawione słońki, dlatego nadmiar ciepła szybko jest wydalany na zewnątrz.

Profesor zaczął bić brawo i po chwili wszyscy klaskali, z podziwem spoglądając na Mike'a.

- To nieprawda! - zachnął się Abduh. - Co pan opowiada! Wszyscy wiedzą, że wielbłąd ma wodę w garbie. Niech pan zapyta kogokolwiek. Nawet małe dzieci o tym wiedzą.

- Bo nikt im tego nie wytłumaczył - ciągnął Mike. W moim kraju też tak myślą. Ale pan zapewne wie o tym, że w najgorszym wypadku wielbłądy mogą wytrzymać bez picia nawet parę miesięcy, żywiąc się pustynnymi kolczastymi roślinami, które często bywają gorzkie. Ale kiedy już dotrą do wody, wtedy jednym haustem wypijają ponad osiemdziesiąt litrów w ciągu dziesięciu minut.

-No to teraz ja pana zażyję - obstawał przy swoim Abduh. - Dlaczego podczas picia zwisające żałośnie garby szybko się prostują i stają sztywno na grzbiecie? Przecież każdy wie, że wtedy wypełniają się wodą.

- Jakby człowiek tyle wypił, to też by mu kark zeszywniał. Ale bez żartów. Przepelniony żołądek opuszcza się nieco, naciągając mięśnie po bokach zwierzęcia. Wtedy garb wraca na swoje miejsce. To jest cała tajemnica. A jeszcze wam powiem, skoro was to interesuje, że wielbłąd potrafi unieść półtonowy ciężar, czyli więcej niż słoń. Wprawdzie może go nieść przez krótki czas, ale jednak może. I to jest niezwykle. Natomiast trzysta kilogramów dźwiga bez wysiłku, pokonując czterdzieści do pięćdziesięciu ki-

lometrów dziennie całymi tygodniami. Nawet wtedy, gdy dostaje wodę raz na tydzień. Nic dziwnego, że to zwierzę odegrało tak wielką rolę w dziejach Półwyspu Arabskiego, zapewniając dostatek ludziom od czterech tysięcy lat bez mała. Wtedy zostały oswojone i służą człowiekowi do dziś.

Abduh wpatrywał się uważnie w drogę, udając, że nie jest dotknięty tym, co przed chwilą usłyszał. Za wszelką cenę chciał jednak ratować swoją reputację, więc od niechcienia rzucił za siebie w głąb auta:

- My szanujemy wielbłądy i uważamy, że są piękne. Pan zapewne nie wie, ile poematów napisano na ich temat, ile pięknych porównań wymyślono. Ech, co wy możecie wiedzieć na ten temat.

Mike spojrzał na Morrisona i od razu pojął, że w tym momencie należy przerwać wykład, aby zanadto nie urazić Abduha. Jemeńczyk musiał wyjść z twarzą z tego starcia. Z głębi samochodu wyrwał się Carllson, który drżącym basem zaproponował:

- Myślę, że wielbłąda mamy już przerobionego, niezwykle zresztą dokładnie. Może teraz ktoś opowie jakiś dowcip?

Nikt się nie odezwał, zostawiając Peterowi wolne pole do popisu.

- No to ja opowiem dowcip, który zresztą usłyszałem od jednego Polaka. Nie gniewajcie się, ale tak było naprawdę. - Przerwy między wyrazami zaczęły się wydłużać, co chłopców z miejsca wprowadziło w stan lekkiej irytacji. - A więc tak. Przychodzi zajaczek do sklepu. A sklep prowadzi niedźwiedź. Taki duży, brunatny niedźwiedź z ogromnymi pazurami. No więc przychodzi niedźwiedź... Przepraszam, muszę zacząć od początku. Przychodzi zajaczek do sklepu i pyta:

„Czy jest marchewka?" Na to niedźwiedź odpowiada, że nie ma. Na drugi dzień przychodzi zajaczek do sklepu i znów pyta: „Czy jest marchewka?" Niedźwiedź znów mówi, że nie ma. No to zajaczek wyszedł. I tak przez następne dni przychodził do sklepu i wciąż pytał o marchewkę. Minał poniedziałek, wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota, niedziela...

- A w niedzielę wszystkie sklepy zamknięte! -wtrącił triumfalnie Krzysztof.

- Ale supermarkety nie! - dorzucił Mike.

- Niedźwiedź jeszcze się nie dorobił. Dopiero za parę lat kupi sieć supermarketów o wdzięcznej nazwie „Misiek" - dodał Krzysztof.

- I zawsze będzie miał w magazynie parę ton marchewki dla zajaczków i osłów - wypalił Mike.

- Panowie, tak nie można. Dajcie mi skończyć. No więc przez cały miesiąc marchewki nie było.

Chłopcy tręcali się łokciami, chichocząc coraz głośniej. Znali dowcip i z satysfakcją obserwowali, jak Peter go zarzyna. Zamiast rozśmieszyć słuchaczy, wprawiał ich w zakłopotanie.

- No więc, któregoś poniedziałku zniecierpliwiony niedźwiedź mówi: „Jak jeszcze raz przyjdiesz po marchewkę, to ci uszy gwoździami przybiję do lady".

- To okropne! - Rita wydeła wargi z obrzydzeniem. - Czy polskie dowcipy muszą być takie okrutne?

- Poczekaj, kochanie, na dalszy ciąg. Otóż zajaczek wyszedł. Minał jeden dzień, drugi...

- Poniedziałek, wtorek, środa - dodali chłopcy chórem, śmiejąc się do rozpuku.

- Przestańcie, panowie, pozwólcie mi skończyć. Po miesiącu zajaczek nieśmiało zagląda przez drzwi do sklepu i pyta: „Czy jest marchewka?" No nie, przez was

skopałem dowcip. - Tłumacz klepnął się dłonią po udzie i zaczął od nowa. - Jeszcze raz. Przychodzi zajacek do sklepu i pyta: „Czy jest młotek?” „Nie ma.” „A czy jest...”

- Marchewka! - krzyknęli jednocześnie chłopcy, krztusząc się ze śmiechu.

- Ależ nie. „Czy są gwoździe?” zapytał zajacek -kontynuował z uporem Peter. - „Nie ma” powiedział niedźwiedź. „Skoro nie ma ani młotka, ani gwoździ, to poproszę...” - i tu nastąpiło dramatyczne zawieszenie głosu dla spotęgowania napięcia.

- Marchewkę! - ryknęli w końcu chłopcy, którzy nie byli w stanie dłużej wytrzymać tej sceny. Nikt się nie śmiał poza Mike'em i Krzysztofem. Rita wydała z siebie zdawkowe „Ha, ha” i odwróciła głowę z niesmakiem. Profesor studiował z uwagą jakiś dokument i udawał, że nie słyszy. Żołnierze siedzący w milczeniu na końcu auta najwyraźniej nie rozumieli angielskiego, bo nie reagowali na to, co się wokół nich działo. Tylko Peter śmiał się jeszcze ubawiony dowcipem, który od dłuższego czasu był jego popisowym numerem. Jak dotąd nikt mu nie zwrócił uwagi na fakt, że jest ostatnią osobą, spośród wszystkich bliższych i dalszych znajomych, zarówno przyjaciół, jak i wrogów, które powinny opowiadać jakiegokolwiek dowcipy. Jego ramionami wstrząsał jeszcze histeryczny śmiech, kiedy w oddali ukazały się pierwsze zarysy wzgórza, na którym kiedyś wzniesiono miasto Marib.

Wjechali na teren osady. W nieregularnych odstępach stały domy rozrzucone wzdłuż rzeki. W środku znajdował się miniaturowy minaret, na którego szczycie umieszczono głośnik. Muezzin już nie musiał nawoływać do modlitwy osobiście. Wystarczała nagrana taśma, którą odtwarzano o odpowiedniej porze dnia

i nocy. Minaret był biały, zapewne świeżo pokryty zaprawą gipsową. Wokół niego ogrodzono płotkiem niewielki pas ziemi, żeby wierni mogli pod gołym niebem poświęcić się rozmowie z Bogiem.

Z najbardziej okazałego domu wyszedł przedstawiciel starszyny, nazywany szumnie gubernatorem, który powitał profesora i resztę ekipy, a potem wskazał ręką baraki ustawione za wsią. Gdzieś w tamtych stronach miał być dom i pracownie dla archeologów. Teraz Peter zabłysnął jako tłumacz. Załamującym się z przejęcia głosem, marszcząc czoło i wysuwając do przodu dolną szczękę, przekładał dosłownie zdania wypowiedane przez gubernatora, popełniając szereg niezręczności. Wytrzeszczał przy tym oczy i nadymał się jak kocur, który ma kłopoty z przewodem pokarmowym. Ekipa ruszyła w stronę bazy w towarzystwie jakiegoś miejscowego urzędnika, który po drodze przeproszał profesora za brak klimatyzacji i wygod, jednocześnie zapewniając ich o dobrych intencjach i chęci służenia pomocą, co na wszystkich zrobiło jak najlepsze wrażenie. Tylko Morrison był nieufny i zaaferowany. Został zaproszony na kolację do gubernatora, co przyjął z wdzięcznością, chociaż nie miał na to najmniejszej ochoty.

Dopiero kiedy dotarli autem na miejsce, już bez żołnierzy, którzy zostali w wiosce, okazało się, że przydzielono im opuszczony dom na skraju wsi. Przez duże drewniane drzwi wchodziło się na wewnętrzne patio. Dopiero stąd można było wejść do kilku pokoi, z jakich składało się całe domostwo. Dalej stały puste baraki z wrotami otwartymi na oścież. Z daleka przypominały obory lub stajnie.

Abduh od razu zabrał się do pracy. Wniósł bagaże na patio, otworzył okna w pokojach i czekał na dalsze dyspozycje. Profesor przydzielił każdemu osobne lokum, uwzględniając nieobecnego Shariffa. Największy pokój przeznaczono na jadalnię, która miała być jednocześnie salonem i pokojem narad. Obok była kuchnia i niewielki składzik. Na szczęście prąd tu docierał, ale w całym domu znaleźli tylko jedną żarówkę. Pompa elektryczna doprowadzała wodę do prowizorycznej łazienki, która była wybetonowaną komórką z prysznicem i dziurą w podłodze. Nad nią umieszczono spory zbiornik ogrzewany energią słoneczną płynącą wprost z nieba. Wszyscy zamówili sobie kolejkę do kąpieli. Po skromnym posiłku profesor postanowił mimo upału wybrać się na wzgórze, nikogo nie namawiając na tak ryzykowną wyprawę. Była trzecia po południu. Słońce paliło jak szalone. Wszyscy jednak stawili się w pełnej gotowości, każdy uzbrojony na swój sposób w rzeczy niezbędne do pierwszego spotkania z przeszłością: profesor z notatnikiem w kieszeni, Krzysztof z lornetką, Mike z długą miarką, Rita z aparatem fotograficznym. Tylko Peter nie miał nic prócz butelki z wodą mineralną, którą pieścił w dłoniach, spoglądając na Ritę z psim przywiązaniem i z nadzieją, że uchroni ją przed morderczym pragnieniem. Z kieszeni koszuli wystawał mu papierowy kubeczek, co oznaczało, że zawsze jest gotów dbać o komfort swojej pani. Kiedy dziewczyna zatrzymała się na chwilę, zwiększając dystans między sobą a resztą grupy, Krzysztof zatrzymał się także. Odczekał trochę, żeby go nie usłyszał nikt poza nią, i zapytał:

- No i jak? Dobrze się bawiłaś z Peterem przez resztę nocy?
 - Szczerze?
 - Szczerze.
 - W pewnym sensie tak. Wyspałam się jak nigdy. Siedział przez całą noc w fotelu i pilnował mojej czci. Nie cierpię spać w pustym pokoju, więc cel został osiągnięty. Lubię rycerskich Anglików. Mają dobre maniery.
 - Szczerze?
 - Szczerze. Nic nie ukrywam, bo i po co?
 - Ta rycerskość ośmiesza go w naszych oczach, chyba to rozumiesz i nie liczysz na moją dyskrecję?
 - Liczę tylko na siebie.
 - To skąd u niego taka pewność w gestach i dawanie wszystkim do zrozumienia, że ma prawo do wyłączności?
 - To jego problem, nie mój.
 - Mówisz tak, bo nie podobał ci się jego dowcip, a raczej sposób w jaki go opowiadał. To było żałosne! Teraz Peter szybkim krokiem ruszył w ich stronę i włączył się do rozmowy.
 - Obawiam się, że jest goręcej, niż przewidywałem. Może trochę wody, Rito? To ci z pewnością dobrze zrobi.
 - Nie teraz, mój miły. Potem. Chodźmy do profesora. Pewnie mówi coś ważnego.
- Kiedy dołączyli do grupy, Morrison z podziwem oglądał podstawę słynnej tamy, uważanej niegdyś za jeden z największych cudów świata, choć w oficjalnej siódemce nigdy się nie zmieściła. Idealnie dopasowane kamienie wznosiły się na wysokość piętnastu metrów. Profesor stał jak urzeczony, a potem szybko zaczął oceniać sytuację.

- Musimy dokonać obliczeń i ustalić pierwotną wysokość tamy. Wiem, że przecinała dolinę, która ma szerokość około pięciuset pięćdziesięciu metrów. To ponad pół kilometra. Kolos. Tu piętrono wodę z dwu niewielkich rzek. O, tam macie pozostałości po śluzach, którymi woda spływała do całego systemu kanałów nawadniających. Kiedyś to wzgórze i ogromne pola aż po horyzont tonęły w zieleni. Śluzy wycięto w skale w ósmym albo w siódmym wieku przed naszą erą, a więc tama jest znacznie starsza. Spójrzcie na te licowane kamienie. Rito, zrób parę zdjęć, a Krzysztof od razu będzie opisywał każde ujęcie.

Rita zabrała się do pracy, a Morrison kontynuował swoją opowieść.

- Po czterysta pięćdziesiątym, ale z pewnością przed pięćset siedemdziesiątym rokiem naszej ery, tama została przerwana w samym środku nocy. Ogromna fala zniszczyła niemal całe miasto. Zginęła większość mieszkańców, a ci, co przeżyli, wyruszyli na poszukiwanie nowego miejsca do życia. Marib nigdy nie został odbudowany.

- Dlaczego nie naprawili tamy w porę? - zapytał Peter.

- No cóż, nie mieli na to środków. Szlak karawanowy stracił swoje znaczenie, bo w tym czasie na Morzu Czerwonym pojawiły się okręty rzymskie, które tanio i szybko przewoziły towary na północ. Pieniądzy było coraz mniej, niewolników również, a ponadto Sabejczycy zostali podbici przez Abisyńczyków, którzy nie przejmowali się znanymi warunkami życia w podporządkowanych miastach-państwach. Ich celem było nawracanie ludzi i ściąganie podatków. Nic więc dziwnego, że wszystko poszło w ruinę. Część

Sabejczyków z tego miasta dotarła do Syrii. Ostatnio znaleziono tam kamienne inskrypcje, świadczące

o ich obecności, i o tym, że liczyli lata od momentu przerwania tamy. Ale chodźmy dalej.

Przez chwilę szli w milczeniu, rozmyślając o tym, co przed chwilą usłyszeli. Drobne kamyki skrzypiały cicho, wciskane w ziemię przez ich buty.

- O tam, gdzie stoją te wysokie filary, widzicie? To dziedziniec świątyni Awwam z siódmego wieku przed naszą erą. Prawdopodobnie tam zaczniemy kopać. To jest świątynia poświęcona księżycowemu bogu Ilmukahowi, czasem nazywana sanktuarium królowej Saby. Otacza ją mur o grubości czterech metrów. Wewnątrz powinien znajdować się jeszcze stół ofiarny

i ślady po komnatach świętych dziewic, których rola nie została do końca wyjaśniona. Wiadomo, że do świątyni wchodziło się po schodach wyłożonych miedzianą blachą, którą obito również wielkie wrota. Wyobrażacie sobie, jak imponująco musiało to wyglądać w tamtych czasach? W pełnym słońcu mogły spokojnie uchodzić za bramę ze złota.

- Ktoś za nami idzie, profesorze - zawołał Peter, osłaniając dłonią oczy przed słońcem, żeby lepiej widzieć.

Po chwili na ścieżce zobaczyli jeźdźca na wielbłądzie. Kiedy podjechał bliżej, zsiadł ze swojego wierzchowca i oznajmił, że przysyła go gubernator, który martwi się o bezpieczeństwo swoich gości. Przyjęli to za dobrą monetę i wolno, w asyście niezwykle poważnego Jemeńczyka oraz wielbłąda prowadzonego za uzdę, zaczęli bez pośpiechu wędrować w stronę domu.

Już na patio poczuli smakowite zapachy. Abduh gospodarował w kuchni i kończył właśnie przygoto-

wania do wieczerzy. Morrison westchnął ciężko i poszedł się nieco odświeżyć przed kolacją u gubernatora. Po chwili opuścił dom, żegnany pełnymi współczucia spojrzeciami swoich podwładnych.

Jak na komendę wszyscy prawie biegiem ruszyli do jadalni i szurając krzesłami, zasiedli do stołu. Abduh z dumą wniósł ogromną patelnię, która raczej przypominała miedzianą misę. Wypełniona była czymś w rodzaju grubej kaszy, co nie było kaszą, z mięsem i duszonymi warzywami. Potrawa pachniała wspaniale wyszukаныmi przyprawami i kusila wygłodniałą młodzież apetycznym wyglądem.

Abduh dumny jak paw krążył wśród swoich stołowników i nakładał na talerze solidne porcje. Potem przyniósł chleb, parę butelek wody mineralnej i znikł w czeluściach kuchni. Łyżki zamarły w bezruchu. Czekali na kucharza, ale on z uporem tkwił na swoim posterunku. Przywołali go wreszcie i zapytali dlaczego nie siada z nimi do stołu. Wykręcał się długo wyraźnie onieśmielony. Wreszcie siłą posadzili go między sobą i postawili przed nim talerz. Z pewnymi oporami sięgnął po łyżkę i zaczął jeść, omijając wzrokiem Ritę.

- Zapewne przeszkadza ci towarzystwo pięknej damy? - dopytywał się Krzysztof.

- Ale skąd, gdzieżbym śmiał. Ja wiem, że u was panują inne obyczaje, tylko trudno mi tak od razu przyzwyczaić się do tego.

- Zaraz się przyzwyczaisz, zobaczysz. - Mike klepnął Jemeńczyka po ramieniu. - Ty też masz żonę i dzieci?

- A jakże - rozpromienił się Abduh. - Dwoje, chłopca i dziewczynkę. Dlatego tak bardzo zależy mi

na tej pracy. Potrzebuję pieniędzy, a ludzie z Europy mają ich zawsze za dużo.

- No, nie wszyscy - zaprotestował Mike. - Profesor długo się starał o dotację na tę wyprawę, chyba ze trzy lata. Ale w końcu dostał.

Zaczęli wypytywać Abduha o panujące tu zwyczaje, o warunki życia i zagrożenie porwaniami. Odpowiadał spokojnie i rzeczowo, a kiedy brakowało mu angielskich słów, mówił po swojemu, a Peter tłumaczył na angielski.

Jeszcze raz powrócił nurtujący wszystkich niepokój o bezpieczeństwo. Mike opowiedział o piątce polskich turystów, których uprowadzono w grudniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku i przetrzymywano przez osiem dni. Byli członkami wyprawy Towarzystwa Eksploracyjnego. Podobno traktowano ich dobrze, niemal jak gości, aż do momentu osiągnięcia kompromisu z władzami.

Natomiast tragedia, jaka rozegrała się później, nie została do końca wyjaśniona. Trzech Brytyjczyków i Australijczyk zginęli podczas próby odbicia zakładników przez jemeńskie służby bezpieczeństwa. Nie wiadomo, kto ich zabił. Być może zginęli przez przypadek.

Abduh miał jednak dla swoich nowych przyjaciół pokrzepiającą nowinę. Dwa tygodnie temu parlament jemeński uchwalił prawo, zgodnie z którym porywacze mogą być skazywani na śmierć. Można więc spać spokojnie. Nikt się teraz nie odważy porwać cudzoziemców. W każdym razie można mieć taką nadzieję.

Po dwu godzinach wrócił Morrison, zadowolony, najedzony i pełen energii. Już od progu wołał, że wszystko jest w najlepszym porządku, a robotnicy najdalej

pojutrze stawiają się do pracy na terenie wykopalisk. Trzeba przygotować wszystko jak najszybciej, wybrać miejsce i brać się do roboty. Każdego ranka Abduh będzie ich odwoził autem na teren ruin i przed południowym skwarem zabierze wszystkich do domu na sjęstę. Po południu znów wyjazd i praca do zmierzchu.

Po naradzie profesor poszedł do swojego pokoju, a młodzież wyległa przed dom, żeby podziwiać gwiazdy i księżyc. Stali w milczeniu obok siebie, zatopieni w swoich myślach. Rita opierała się plecami o Petera, który otoczył ją ramionami i przytulił władcym ruchem. Mike nie wytrzymał i cedząc słowa, powiedział:

- Peter, może powinienes zadzwonić do żony i zapytać o zdrowie dziecka?
- Spadaj - warknął Anglik i odprowadził Ritę do jej pokoju. Zapalona świeczka rzucała niespokojne światło na ściany. Z daleka widać było, że kobieta i mężczyzna z ożywieniem o czymś rozmawiają. Po chwili Peter znalazł się znów na patio. Chłopcy patrzyli w niebo, udając, że go nie widzą.
- Dobranoc - bąknął Anglik i znikł w swoim pokoju.

W końcu chłopcy też poszli do siebie, wymieniając kąśliwe uwagi na temat swojego rywala.

4

Rankiem, zanim podano śniadanie, przed dom archeologów zajechała taksówka, z której zaraz za uzbrojonym po zęby żołnierzem wytoczył się niewysoki, czarnowłosa mężczyzna około czterdziestki. Natychmiast władczy tonem zażądał spotkania z Morrisonem.

Profesor wyszedł ze swojego pokoju i niezwykle uprzejmie, lecz zachowując wyraźny dystans, powitał nowego współpracownika. Zaprowadził go do wyznaczonego wcześniej pokoju i tam od razu doszło do pierwszego spięcia. Shariff był oburzony warunkami, w jakich będzie zmuszony mieszkać. Z miejsca zażądał przeniesienia go gdzie indziej, podejrzewając, że przydzielono mu najgorsze pomieszczenie w budynku. Profesor znosił wszystko cierpliwie i mitygował jego gniew, tłumacząc, że ludzie jeszcze śpią, więc byłoby nietaktem wdzierać się do ich pokoi. W tym momencie wszyscy jak na komendę wyszli na patio, prócz Rity, która właśnie brała prysznic.

Prezentacja ekipy odbyła się więc w ponurym nastroju. Zaraz potem Shariff zrobił inspekcję i w końcu doszedł do wniosku, że wszystkie pokoje są identyczne. Zażądał jednak jedynej żarówki, jaka była w całym domu. Dla świętego spokoju dano mu żarówkę z jadalni i zaproszono do wspólnego śniadania. Obiecał, że wkrótce przyjdzie, i zamknął się u siebie z naburmuszoną miną.

Akurat wtedy z prowizorycznej łazienki wyszła owinięta w ręcznik Rita z kolorową kosmetyczką w dłoni. Mokre włosy oblepiały jej głowę, tworząc niezbyt apetyczny widok. Nieco spłoszona ruszyła biegiem do swojego pokoju, mijając okno Shariffa dokładnie w tym momencie, kiedy ten otwierał je na oścież. Egipcjanin zaskoczony niespodziewanym widokiem, mrużąc jakieś niezrozumiałe słowa pod nosem, zatrzasnął okno z rozmachem.

Mike i Krzysztof spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Minał ich Peter, który pobiegł za Ritą i delikatnie zapukał do jej drzwi. Nie został wpuszczony, co odebrał jako szczególny despekt, bo wiedział, że jest uważnie obserwowany.

- No cóż. Właśnie się ubiera - powiedział, rozkładając ręce. - Nic tu po mnie. - Jego ramiona zwisały teraz bezwładnie wzdłuż ciała. Był przygnębiony i zagubiony jak małe dziecko.

- Jak się miewa twoja żona? - zapytał prowokacyjnie Mike, przeciągając słowa, ale zaraz zrezygnował z żartów, bo Anglik wyglądał żałośnie i był naprawdę godny politowania. Mike podszedł i poklepał go po ramieniu. - Nie martw się, my nie zamierzamy wchodzić ci w drogę. Jak widzisz, dla nas najważniejsze są wykopaliska. Nie chcemy ci w niczym przeszkadzać. Ona nie jest w naszym typie. Głowa do góry, rycerzu. Zostałeś sam na placu boju i możesz się czuć panem sytuacji.

- Ale czy mogę ci wierzyć? - wyjąkał tłumacz.

- To już zostawiam do twojej oceny. Ja powiedziałem wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. Używaj życia, bo po raz drugi taka szansa może się nie trafić. Krzysztof jest tego samego zdania.

Mike znów poklepał Petera po ramieniu i wyciągnął do niego rękę na zgodę. Gest został przyjęty z wdzięcznością. Chłopak zauważył, że dłoń Petera drży, a głos załamuje się wyraźnie, co świadczyło o tym, że Anglik jest na pograniczu wytrzymałości i z trudem panuje nad nerwami. Był to więc ostatni moment, żeby zawrzeć ugodę, zanim wszystko wymknie się spod kontroli, co znacznie mogłoby utrudnić pracę podczas wykopalisk. Mike odetchnął z ulgą i poprowadził swojego, byłego już na szczęście, wroga w stronę jadalni. Usiedli przy stole w znacznie lepszym nastroju.

Po chwili zjawił się Krzysztof i Morrison. Abduh, który pełnił honory nadwornego kucharza, ustawiał na stole miejscowe specjały. Pachniało kawą z kardamonem. Abduh zapewniał, że nie ma nic lepszego na początek dnia niż kawa z lokalnym specjałem, ale nie zdołał przekonać nikogo.

Shariff nie nadchodził, więc wszyscy niecierpliwie spoglądali na drzwi. Wypadało poczekać. Po dwudziestu minutach przyszedł wreszcie, wnosząc ze sobą do jadalni silny zapach wody kolońskiej. Na widok Abduha, od razu oświadczył, że demokratyczne zasady nie mają zastosowania w Jemenie i służba będzie jadła w kuchni.

Profesor rzucił przepaszające spojrzenie w stronę kucharza, który bez protestu wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Shariff wypił kawę, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie, i zaczął wydawać dyspozycje.

- Znam ten teren z dokumentacji, jaka do mnie dotarła po ostatnich, nieudanych zresztą, badaniach amerykańskich z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Wiem już, gdzie zaczniemy kopać. Ważny jest

teren świątyni, tam, gdzie stoją monumentalne kolumny. Poniżej mogą być nisze grobowe, które dostarczą wielu cennych informacji. Mam nadzieję, że zwróciliście uwagę na dom, w którym mieszkacie. Podmurówka jest zrobiona z kamieni zabranych z terenu ruin. Nawet tu można znaleźć bezcenne inskrypcje, które należy od razu zdokumentować. Nasza studnia też jest zbudowana z bloków z inskrypcjami. To samo dotyczy z pewnością wszystkich domów w okolicy. Fotograf powinien obejść całą osadę i zrobić, co trzeba. Nikt tu nie musiał szukać budulca, skoro mógł czerpać bez ograniczeń z tych bezcennych skarbów. Oczekuję bezwzględnej dyscypliny. Robimy odkrycie na skalę światową i wszystko musi być w największym porządku.

- Sądzę - odezwał się Morrison - że miejsce pierwszej odkrywki ustalimy wspólnie po wizji lokalnej. Warto najpierw osobiście przekonać się, jak wygląda teren wykopalisk, a dopiero potem...

- Ja wiem swoje, profesorze. Oczywiście wizja lokalna jest niezbędna, ale to ja zdecyduję, gdzie będziemy kopali.

- Wstrzymajmy się na razie z ostateczną decyzją - zaproponował Morrison pojednawczo i próbował dyplomatycznie zmienić temat rozmowy.

Wszyscy spuścili nosy na kwintę. Zrozumieli, że atmosfera podczas wykopalisk z pewnością będzie cały czas napięta i nic już temu nie zapobiegnie. Krzysztof i Mike próbowali pokojowo wtrącić się do rozmowy, ale nie przyniosło to żadnych pożądaných skutków.

Rita przez cały czas nie powiedziała ani jednego słowa. Siedziała na końcu stołu i studiowała własne paznokcie, błyskając kolorowym oczkiem pierścionka. Od czasu do czasu rzucała tylko powłóczyście

spojrzenia w stronę Shariffa, jednak uczonego egipskiego okazało się na nie w pełni uodporniony. Pod koniec śniadania puściła oko do Morrisona i usiadła bliżej Egipcjanina, ku rozpaczy Petera, który podążył za nią i znów położył rękę na oparciu jej krzesła.

- A co tu robi ta kobieta? - obcesowo wypalił Sha-riff. - To nie miejsce dla niewiast. Badania to poważna sprawa. W kraju muzułmańskim taki sposób bycia robi fatalne wrażenie i z pewnością przysporzy nam wielu kłopotów.

- To świetna specjalistka, profesorze - tłumaczył cierpliwie Morrison. - Jej fotografie są lepsze od zdjęć niejednego mężczyzny, a nam zależy na dobrej dokumentacji. Nie widzę w tym żadnego ryzyka.

- Zobaczymy - skwitował Shariff i wstał od stołu tak gwałtownie, że dzbanek z kawą niebezpiecznie się zakolysał. - Za kwadrans chcę wszystkich widzieć w pełnej gotowości przed budynkiem.

Wyruszamy na teren wykopalisk punktualnie, o czym każdy z państwa powinien pamiętać. - Podniósł do góry zakrzywiony palec, jakby chciał nim pogrozić niesfornej gromadce dzieci, ale powstrzymał się w porę i tylko energicznie machnął ręką, co wyglądało na opędzanie się przed natrętną muchą. Po wyjściu Shariffa w jadalni zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na siebie nawzajem ze zdumieniem i nieukrywanym niepokojem.

- A nie mówiłem? - odezwał się wreszcie Morrison. - Wciąż nie mam pomysłu na oswojenie tego niesłychanie drażliwego i agresywnego współpracownika. Nie wytrącajcie go z równowagi, bardzo was proszę.

- Czy to znaczy, profesorze, że mamy bez szemrania wykonywać wszystkie jego polecenia? Przecież

on zaraz wejdzie nam na głowę, a potem będzie nami pomiatał - wtrącił Krzysztof.

- Ale jak się rozpęta gigantyczna awantura, to praca zostanie zupełnie sparaliżowana. Przecież zgodę na badania uzależniono od harmonijnej współpracy z Shariffem. Trzeba cały czas mieć to na uwadze, moi mili. Bądźcie ustępliwi i rozważni, bo zbyt wiele mamy do stracenia.

Z ponurymi minami ekipa rozeszła się do swoich pokoi, żeby zabrać niezbędne rzeczy. Na patio wychodzili kolejno obładowani sprzętem i zapasami wody mineralnej. Każdy miał na głowie czapkę lub kapelusz dla ochrony przed słońcem i ciemne okulary. Wreszcie na samym końcu, kołysząc zalotnie biodrami, wyszła Rita, tym razem bez makijażu, za to w ogromnym słomkowym kapeluszu, w krótkich szortach i kolorowych tenisówkach. Przez ramię przerzuciła dużą torbę z aparatem fotograficznym i niezbędnym sprzętem.

Przed budynkiem stał już samochód, przy którym kręcił się wyraźnie przygnębiony Abduh. Rita podeszła do niego i klepnęła go w ramię, co zrobiło na Jemeńczyku piorunujące wrażenie. Odskoczył jak oparzony i powiedział coś po swojemu, czego nie zrozumiał nawet Peter, który ani na krok nie odstępował swojej pani. Krzysztof i Mike stali z boku, obserwując tę scenę z pewnym rozbawieniem. Oni wiedzieli, że prawdziwy muzułmanin wychowany na prowincji nawet nie śmie przyglądać się kobiecie nazbyt natarczywie, bo jest to bardzo źle widziane. Mąż lub brat takiej kobiety musiałby ostro zareagować. Miejscowe kobiety były zresztą szczelnie okryte od stóp do głów. A tu Abduh nie zdołał jeszcze rozwikłać zagadki, z kim Rita jest

związana. Podejrzał tylko, że Peter podążający za nią krok w krok może być ważną osobą w jej życiu. Bojąc się, że może zostać oskarżony o zalecanie się do cudzej kobiety, na wszelki wypadek publicznie podkreślał zupełny brak zainteresowania Amerykanką.

Dziewczyna zrobiła głupią minę, wzruszyła ramionami i zaczęła wdrapywać się do szoferki, błyskając gołymi rękami. Założyła nogę na nogę, prezentując w całej okazałości nagie łydki i kolana. Abduh taktownie odwracał głowę, ale nic już nie mogło go uratować przed zajęciem miejsca obok niej. Profesorowie i chłopcy wsiedli do auta i w chwilę później wszyscy w milczeniu ruszyli w stronę wzgórza.

Kiedy dojechali w pobliże świątyni królowej Saby, Shariff zarządził postój. Poszli za nim bez protestu, rzucając niespokojne spojrzenia na lekko przygarbione plecy Egipcjanina. Kroczył dostojnie z rękami splecionymi z tyłu. Nagle odwrócił się i gestem wskazał niski murek ze starych kamieni. Usiedli posłusznie, a obok nich przycupnął na sąsiednim gładzie Morrison. Shariff odegrał teraz rolę wykładowcy i stratega. Z natchnionym wyrazem twarzy zaczął wprowadzać zebranych w przygotowany przez niego plan działania.

- Otóż, moi państwo - zaczął mówić, zamasyście gestykulując - powiem wam na wstępie, że mnie interesują wyłącznie Sabejczycy. Jak wiecie, był to pod każdym względem największy i najbardziej wyróżniający się naród spośród wszystkich ludów zamieszkujących kiedyś południową Arabię. Nawet w Biblii znajdziemy szereg wzmianek na temat Szebal, czyli ojczyzny Sabejczyków. Państwo istniało od siedemset pięćdziesiątego roku p.n.e. do sto piętnastego ro-

ku p.n.e. Kiedy byli u szczytu swoich możliwości, zapanowali nad całym południem.

Wiecie również z pewnością, że w tak zwanym drugim okresie istnienia królestwa Sabejczyków nastąpiły zasadnicze zmiany. Przedtem władca był jednocześnie najwyższym kapłanem. Około sześćsetdziesiątego roku p.n.e. pojawił się pierwszy świecki król i wtedy właśnie stolicą został nasz Marib. Tu krzyżowały się szlaki, wiodące z południa na północ. Miasto musiało być dobrze ufortyfikowane, bo w skarbcach, w świątyni i w prywatnych domach przechowywano ogromny majątek. Na owe czasy byli nieprawdopodobnie zamożnymi ludźmi. Perły, szlachetne kamienie, złoto i srebro stanowiły zaledwie drobny ułamek ich zasobów. W magazynach gromadzili zbiory kadzidła i mirry z całego południa i karawanami dostarczali do Egiptu i wszystkich krajów basenu Morza Śródziemnego. Popyt na aromatyczną żywicę był ogromny.

Shariff zrobił krok do tyłu, uniósł do góry rękę z zakrzywionym palcem wskazującym i uśmiechając się, co zmieniało jego twarz nie do poznania, kontynuował wykład.

- To był jedynie ukłon w waszą stronę, bo jako Egipcjanin powinienem raczej zacząć od swojego terenu. W moim kraju do mumifikowania zwłok używano ogromnej ilości kadzidła. W świątyniach, podczas religijnych obrzędów palono święte ognie. Już w drugim tysiącleciu p.n.e. Egipt sprowadzał kadzidło z południowej Arabii. Tak więc świątynie różnych narodów i kultur potrzebowały ogromnych ilości wonnej żywicy. Ponadto używano jej do produkcji wielu leków. Kadzidło podobno tamowało krwotoki

i było znanym antidotum na wszelkie trucizny. Wyrabiano z niego kosmetyki i maści leczące ciężkie rany. Kto wie, jak wygląda taka aromatyczna żywica? -zakrzywiony palec znów powędrował do góry. Mike znów odegrał rolę pilnego ucznia, podniósł do góry rękę i po chwili zaczął mówić.

- Jak wiadomo, są to substancje żywiczne. Kadzidło może mieć zabarwienie od bladożółtego do zie-lonobrazowego. Tuż po zebraniu jest prawie przezroczyste. Po podpaleniu zaczyna się nad nim unosić czarny dym, a dopiero potem można poczuć przyjemny zapach. Z kolei mirra jest żywicą czerwono-brązową. Rzucona na tłacy się węgiel również wydziela woń, która jest jednak o wiele mniej delikatna. Czy mam mówić dalej?

Wszyscy zgodnym chórem domagali się dalszego ciągu, więc Mike z triumfalnym uśmiechem kontynuował opowieść.

- Kadzidło jest żywicą uzyskiwaną z drzewa, które przypomina duży krzew osiagający wysokość dwu i pół do trzech metrów, natomiast mirry dostarcza drzewo balsamowe. I jedną, i drugą żywicę otrzymuje się przez nacinanie i zdzieranie kawałka kory z pnia. Trzeba to robić latem. Spływająca żywica tworzy stopniowo twardniejące kulki, które zbierane są przez całą jesień aż do nadejścia zimy. Potem wonności posortowane według gatunków można przygotowywać do transportu.

- Brawo! - zawołał Shariff. - Mamy tu prymusa świetnie przygotowanego do pracy. - Znów uniósł zakrzywiony palec i przez chwilę nie wiadomo było, czy chce prosić w ten sposób o skupienie i ciszę, czy też grozi pozostałym członkom ekipy, którzy najwy-

rażniej wiedzą mniej, niżby należało. - Ale wracajmy do miasta Marib - kontynuował Shariff. - Znajdujemy się na wysokości tysiąca trzystu metrów n.p.m. Spójrzcie w dolinę. Na całej szerokości została przecięta ogromną tamą, która piętrzyła wodę tych dwu małych rzek, rozprowadzaną potem systemem kanałów po całej okolicy. Żyzna ziemia rodziła plony co najmniej dwa razy do roku. Stada owiec, koni i wielbłądów miały tu raj na ziemi, a ludzie pod dostatkiem żywności i wszelkiego dobra. Woda docierała na wzgórze, więc miasto tonęło w zieleni. Cztery cytadele broniły mieszkańców przed niespodziewaną napaścią. Pałace i rezydencje pełne były przepysznych ozdób. Ogromna świątynia Awwam wznosiła swoje kolumny prosto w niebo. Spójrzcie w tę stronę.

Wszystkie głowy jak na komendę obróciły się w stronę, którą wskazywał Shariff.

- Ten ogromny kolisty teren, a raczej sanktuarium, ma średnicę około stu czternastu metrów.

Otoczony był potężnym murem, który zapewne kiedyś wznosił się na wysokość ponad dziesięciu metrów. Jeszcze teraz widać w niektórych miejscach, że musiała to być potężna budowla. Mur ma grubość około czterech metrów. Zbudowany został z olbrzymich głazów o gładkiej powierzchni.

Naszym zadaniem jest ustalenie na podstawie wykopalisk, jak wyglądało życie w tamtych czasach, a zwłaszcza obrzędy religijne. Tę świątynię zbudowano między ósmym i szóstym wiekiem p.n.e.

prawdopodobnie na starszych fundamentach.

Potem dobudowano prostokątny dziedziniec wejściowy z niezwykłym portykiem. Tworzą go monumentalne filary o kwadratowym przekroju. Dużo bym dał za możliwość zobaczenia, jak to wyglądało

wtedy, kiedy całe miasto tętniło życiem. O religii wiemy stosunkowo niewiele. Panował tu kult księżycy, typowy dla całej południowej Arabii. U Sabejczyków bóg księżycy nazywał się Ilmukah. Jego żona znana była pod imieniem Zat. Oprócz tej wspaniałej dwójki każde plemię czciło swoje bóstwa.

Dla nas jednak ważne jest to, że tutejsi bogowie mieli nie tylko własne świątynie, ale również ziemię, stada, pasterzy i kapłanów, którzy tym majątkiem zarządzali. Oni też zbierali dziesięciny i podatki od całej ludności. Tu był ośrodek życia całej społeczności. Z pewnością za tymi grubymi murami ogłaszano dekrety i prawa. Tu składano ofiary przed podejmowaniem najważniejszych decyzji. Dlatego świątynie były najwspanialszymi budowlami, które ozdabiano z ogromną starannością. Niektóre miały dach, ale często rezygnowano z zadaszenia, dzięki czemu święte miejsce było otwarte ku niebu. Nasza świątynia z pewnością nie miała dachu. Światło księżycy docierało tu bez przeszkód. Wewnątrz znajdował się zapewne ogród z licznymi posągami, o czym świadczą poniewierające się tu i tam bazy z nazwiskami ofiarodawców. Między nimi spacerowały święte strusie i kapłanki, których rola nie jest jeszcze w pełni wyjaśniona. Z pewnością był tutaj ołtarz. Składano na nim ofiary ze zwierząt i błagano boga o wyrocznię.

Zapewne dokonywano tu publicznej spowiedzi, jeśli doszło do wykroczenia przeciw prawu lub obowiązującym obyczajom. Był to wyraz skruchy i zarazem obietnica pokuty. Czasem ofiarowywano siebie lub własne dzieci na służbę bogom w świątyni.

Wśród tego rumowiska będziemy więc szukali ofiar wotywnych. Są to nieduże stele lub głowy wy-

obrażające ofiarodawców, ołtarzyki kadzielne albo posąжки, wykonane z brązu lub alabastru. Mnie najbardziej interesują grobowce. Jestem pewien, że na terenie świątyni chowano władców, którzy byli jednocześnie najwyższymi kapłanami, albo szczególnie zamożnych obywateli. Z pewnością więc znajdziemy w grobach ozdoby, naczynia z gliny i alabastru, być może cenne figurki i monety. Bardzo na to liczę.

Kiedy Shariff przerwał, aby wziąć oddech, profesor Morrison przejął inicjatywę, wstał ze swojego kamienia i powiedział:

- To się dobrze składa, że mamy nieco inne zainteresowania. Nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Z moich lektur wynika, że groby tutejsze wyglądają jak wzgórki ułożone z kamieni. Wewnątrz są komory grobowe, gdzie składano ciała zmarłych. Bywają też groby skalne wydrążone w piargowych zboczach. Podobno gromadzono tam kości wielu pokoleń. Ale nie będę się spierał. Być może również tu, na terenie świątyni, były kiedyś jakieś grobowce.

Mnie raczej interesują inskrypcje, które przynoszą najwięcej wiadomości o życiu Sabejczyków. Zachowały się jedynie informacje wyryte na kamiennych tablicach. Wszystkie inne zapisy zaginęły. Nawet nie wiadomo, na czym sporządzano notatki. Najstarsze inskrypcje pochodzą z ósmego lub dziewiątego wieku p.n.e. i są pisane bustrofedonem, czyli z lewej strony do prawej i z powrotem. Będziemy ich szukali nie tylko tam, gdzie można się ich spodziewać, ale również w innych miejscach, między innymi w wiosce. Ludzie brali stąd budulec na swoje domy. Jak pamiętacie, pierwsze informacje o tych inskrypcjach dotarły do Europy w tysiąc sie-

demset siedemdziesiątym drugim roku dzięki Carste-nowi Niebuhrowi. Ten uparty człowiek kopiował je w pełnym słońcu i stracił z tego powodu wzrok. Potem było jeszcze kilku śmiałków, którzy dotarli aż tutaj i zebrali sporą dokumentację. Zgromadzono około czterech tysięcy napisów. Wszystkie są naukowo opracowane. Możecie je znaleźć w moim komputerze. Teraz szukamy napisów przez nikogo jeszcze nieodkrytych. Jest tu z nami Peter, który potrafi odczytać każdy napis, więc satysfakcję z dokonanego odkrycia możemy mieć natychmiast. Wytyczymy miejsce, które solidnie przebadamy, odsłaniając kolejne warstwy pyłu i kamieni. Oczywiście znalezione przy okazji przedmioty również nas interesują, ale skupimy się głównie na napisach.

Jak wiecie, alfabet sabejski składa się z dwudziestu dziewięciu liter, które są wyłącznie spółgłoskami. Tworzą symetryczne i proste linie, łączone okrągłymi pętlami. Pismo odczytano w połowie ubiegłego wieku, ale specjalistów w tej dziedzinie jest bardzo niewielu. Tak więc chylę czoło przed naszym Peterem.

Anglik wydał wargi, dając do zrozumienia, że jego umiejętności są czymś zupełnie zwyczajnym. Spojrzał jednak w stronę Rity, chcąc się upewnić, czy zrobiło to na niej odpowiednie wrażenie.

- Proponuję - ciągnął Morrison - żebyśmy teraz rozdzielili zadania. Profesor Shariff dostanie do pomocy Mike'a i Petera, który będzie nam wszystkim służył pomocą w odczytywaniu inskrypcji. Natomiast ja z Krzysztofem i Ritą będziemy nadzorowali swój odcinek badań, nie zaniedbując zbierania wszelkich napisów, jakie zdołamy odnaleźć.

- Zgoda. - Shariff zaskoczył wszystkich swoją go-

towością do współpracy. - Możemy zacząć już teraz. Wejdziemy na teren świątyni, gdzie wskażę miejsce, w którym moi robotnicy będą kopali. Pan, profesorze, zapewne też wybierze sobie jakieś stanowisko do badań. Chodźmy więc.

Zaczęli wspinać się pod górę. Trzeba było ostrożnie stawiać stopy na usuwających się spod nóg kamieniach. Peter podszedł do Rity i z niezwykłą troską podtrzymywał ją pod ramię. Zaczął też gorączkowo do niej przemawiać, starając się, żeby nikt jego słów nie słyszał. Rita odwróciła głowę w stronę Krzysztofa i triumfalnie na niego spojrzała, dając mu do zrozumienia, że nareszcie pozbędzie się natręta.

Weszli na prostokątny dziedziniec otoczony ogromnymi kolumnami. Shariff od razu przykleknął przy jednej z wielu marmurowych płyt z głęboko wyrytym wizerunkiem czegoś, co przypominało mebel przeznaczony do siadania. Jeśli jednak patrzyło się na tę płytę z odwrotnej strony, można było dojść do wniosku, że przedstawia fasadę domu z wnękami i fantazyjną dekoracją. Całość była pokryta sabejski-mi napisami. Profesorowie natychmiast zaczęli się spierać na temat pochodzenia oglądanej płyty. Morrison twierdził, że jest to część skrzyni lub pojemnika albo po prostu ławy służącej ludziom do odpoczynku, natomiast Shariff upierał się, że to jest część ściany sarkofagu, a więc na tym terenie musiały być jakieś grobowce. Od razu też wytyczył teren między kolumnami, który jego zdaniem mógł służyć za aleję przeznaczoną dla szczególnie ważnych nieboszczyków.

Wątpliwości Morrisona nie zrobiły na egipskim uczonym najmniejszego wrażenia. Amerykanin twierdził, że kopanie między kolumnami może do-

prowadzić do naruszenia ich fundamentów, a to z kolei mogłoby spowodować trudną do wyobrażenia katastrofę. Shariff o niczym nie chciał słyszeć, machał tylko rękami i z pasją wbijał haki w ziemię, wytyczając swój teren wykopalisk.

Egipski uczoney był zdecydowany i bardzo energiczny. Miał też zwyczaj pomagania sobie rękami przy wygłaszaniu wszelkich kwestii. Gestykulował z rozmachem przy każdej okazji. Głównie z tego powodu jego wygląd szybko nabierał cech niedbałości. Koszula wysuwała się ze spodni, z kieszeni zwisała chustka do nosa, natomiast włożone niedbale do kieszonki okulary słoneczne wysuwały się niebezpiecznie i spadały bez ostrzeżenia na ziemię.

Teraz, kiedy profesor wyznaczał swój teren badań, drobne katastrofy przybrały na sile. Kapelusz spadał mu co chwilę z głowy, co zmuszało Carllsona do natychmiastowej reakcji. Schylał się i z szacunkiem podawał Shariffowi zgubioną część garderoby. Ten nawet nie próbował dziękować za przysługę. Spoglądał tylko z wyraźnym zdziwieniem na podawany przedmiot, jakby się zastanawiał, co należy z nim zrobić. Niebawem na ziemi wylądowało pióro z notatnikiem, karta kredytowa i jakieś zapisane drobnym pismem karteczki. Peter kolejno zbierał te skarby i podawał usłudze despotycznemu profesorowi, za każdym razem narażając się na jego coraz bardziej poirytowane mruknięcia.

Morrison zostawił Egipcjanina na placu boju razem z Peterem i Mike'em. Wziął ze sobą resztę ekipy i ruszył w stronę ruin okazałej budowli, która mogła być domem zamożnego Sabejczyka. Po drodze Rita robiła zdjęcia, a Krzysztof sprawnie opisywał w notatniku kolejne ujęcia. Słońce paliło niemiłosiernie-

nie. Profesor ocierał chustką pot z czoła i co chwilę zdejmował kapelusz z głowy, żeby użyć go jako wachlarza. Tworzyli zgrany zespół, pracujący metodycznie, sprawnie i skutecznie. Morrison stanął w miejscu, które mogło być kiedyś centralnym punktem domu. Przez chwilę patrzył z uwagą na zarysy murów i podjął męską decyzję.

- Tu będziemy kopali. Jutro przydzielą nam robotników i zaczniemy pracę od razu, bo mamy bardzo mało czasu. Stąd będziemy mogli obserwować poczynania Shariffa, który jak widać z pasją podchodzi do swojej pracy, ale podejmuje działania na pograniczu ryzyka.

- Może spodziewa się, że odnajdzie skarbiec świątyni? - wtrącił Krzysztof, mrużąc oczy przed słońcem.

- Kto wie, co mu przyszło do głowy. - Profesor pokiwał głową i zamyślił się głęboko. Po chwili ukląkł na ziemi i rozgarnął proch ręką. Spod cienkiej warstwy pyłu wyłoniła się płyta z tajemniczym napisem. Rita od razu zaczęła robić zdjęcia.

Wieczorem we wszystkich pokojach były już żarówki i światło padało z szeroko otwartych okien na przestronne patio. Po kolacji profesorowie zasiedli w jadalni przy butelce wina i nieco bardziej pokojowo toczyli swoje naukowe spory. Rita wcześniej poszła do siebie, żeby leczyć zbyt mocno opalone ramiona i kolana. Peter krążył między jej pokojem i Abduhem, który proponował coraz to inne domowe specyfiki łagodzące skutki oparzenia. Krzysztof i Mike siedzieli na ławie przed domem, rozmawiając półgłosem o swoich sprawach.

W tym momencie od strony wioski nadjechał samochód. Okazało się, że w domu gubernatora za pół

godziny będzie połączenie telefoniczne z Polską. Ktoś zamówił rozmowę z przywołaniem. Chłopcy spojrzeli na siebie i jednocześnie wstali z ławy. Pojechali razem do siedziby tutejszego władcy. Już od progu podziwiali wspaniałe kamienne tablice z sabej-skimi inskrypcjami. Poczęstowani jakimś napojem rozmawiali uprzejmie z gospodarzem, czekając na połączenie z Warszawą. Głośno chwalili zalety białej szaty z długimi rękawami, jaką miał na sobie pan domu. Ubiór doskonale chronił przed palącymi promieniami słońca. Młodzi ludzie skorzystali z okazji i zapytali o możliwość zrobienia zdjęć wewnątrz domu.

Gubernator wyraził zgodę, choć widać było, że robi to bez entuzjazmu. Zapytał ich o kobietę, która mieszka w obozie i chodzi nago po okolicy. Krzysztof o mało nie wybuchnął śmiechem. Opanował się jednak w porę i zaczął tłumaczyć, że w Europie i w Ameryce kobiety nie zasłaniają ramion i nóg, a już z pewnością nie zakrywają twarzy. Natomiast dziewczyna mieszkająca w obozie jest fotografem i pracuje przy wykopaliskach.

Miejscowy władca pokiwał głową z dezaprobatą. Najpierw oświadczył, że taka nieczysta istota z pewnością nie przestąpi progu jego domu, więc fotografowanie nie wchodzi w grę, chyba że oni sami zechcą robić zdjęcia. A poza tym, jak twierdził, te napisy mogą mieć magiczne znaczenie. Kto wie? Może nawet zawierają zaszyfrowane informacje o ukrytych skarbach Sabejczyków. Lepiej więc nie denerwować miejscowej ludności i nie robić zdjęć w domach prywatnych, żeby nie budzić niezdrowych podejrzeń.

Oczy kacyka były małe i niemal ginęły w jego nalanej twarzy. Poruszał się powoli ze względu na tu-

sze, ale jego spojrzenie zdradzało, że jest nieufny i przebiegły jak lis. Trudno było się zorientować, o czym myśli i do czego zmierza. Jego ostrzeżenia brzmiały jednak bardzo poważnie.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy rozmowa nabierała rozpędu. Krzysztof podszedł do aparatu i ze zdumieniem usłyszał głos Anny. Mówiła, że bardzo źle znosi samotność, że tęskni i nie może się doczekać, kiedy znów będą razem. Już załatwiła wszystkie formalności i w każdej chwili może wsiąść w samolot. Czeka tylko na sygnał od niego.

Chłopak był wyraźnie zakłopotany. Tłumaczył, że wprawdzie są bezpieczni, ale warunki, w jakich żyją, znacznie odbiegają od luksusów komorowskiej willi. Upał jest nieznośny, a atmosfera w obozie dość napięta, co nie wróży niczego dobrego. Zniechęcał Annę do przyjazdu. Dziewczyna była coraz bardziej zawiedziona i zaniepokojona. Wreszcie zapytała:

- Czy ty mnie już nie kochasz?

- Co też ci przychodzi do głowy, maleńka. Wiesz, że cię kocham. - Tu Krzysztof rzucił dramatyczne spojrzenie w stronę Mike'a, którego obecność trochę go krępowała. - Chcę tylko, żebyś wstrzymała się z przyjazdem na tydzień lub dwa, zanim wszystko się unormuje. - W końcu obiecał, że sam wkrótce zadzwoni, i czule się z nią pożegnał.

Zaraz potem podziękował kacykowi, który bystro przysłuchiwał się rozmowie, chociaż z pewnością nic nie mógł zrozumieć. Chłopcy postanowili wrócić piechotą do domu mimo protestów gospodarza, który ofiarowywał im do dyspozycji samochód z szoferem.

Temperatura po zapadnięciu zmroku spadła co najmniej o siedem stopni. Oddychali więc pełną piersią

i zwawym krokiem szli w stronę bazy wąską ścieżką dobrze widoczną w świetle księżyca. Krzysztof był wyraźnie poruszony rozmową z Anną. Musiał przyznać sam przed sobą, że w ostatnich dniach niewiele myślał o dziewczynie, z którą zamierzał spędzić całe życie. Był bez reszty pochłonięty tym, co działo się wokół niego.

Wreszcie Mike przerwał milczenie i zapytał o Annę. Krzysztof podniósł kamyczek z drogi i zaczął podrzucać go na dłoń coraz wyżej. Potem cisnął nim daleko przed siebie i zaczął mówić szybko i bezładnie

o swojej miłości do subtelnej, dobrze ułożonej i nad wiek dojrzałej dziewczyny. Najpierw imponowała mu jako ostatnia z rodu Połońskich, potem zadurzył się w niej bez pamięci i chciał się z nią ożenić. Gdyby nie ta wyprawa, mieszkalby teraz razem z nią w wygodnym domu w Komorowie i każdego ranka zasiadałby do pysznego śniadania na obszernej werandzie.

Mike dobrze znał przyjaciela i od razu wyczuł, że nie wszystko jest takie proste, jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Zaczął więc drażnić temat

i powoli wyciągać z Krzysztofa to, co najważniejsze. Szli powoli w stronę majaczących na horyzoncie świateł ich tymczasowej przystani. Wokół panowała niemal doskonała cisza. Idealna chwila na zwierzenia, dzięki którym można zajrzeć w głąb samego siebie i poukładać nie do końca sformułowane myśli.

Krzysztof z ociąganiem opowiedział o wydarzeniach, jakie rozegrały się niespełna miesiąc temu.

Walczył o zaufanie Anny, widział, jak je traci, i niepokoił się o jej los przez cały ubiegły miesiąc. Zdawał sobie jednak sprawę, że Anna jest niezwykłą dziewczyną i nie może tu być mowy o przelotnym romansie. Albo związek na całe życie, albo nic. Każ-

dy, nawet najmniejszy cień zdrady, raz na zawsze zniszczyłby to jedyne i czyste uczucie, jakim dziewczyna go obdarzyła. Ich znajomość trwała krótko, ale już można było z całą pewnością myśleć o spędzeniu razem całego życia.

Przyszedł jednak moment, kiedy mieli zamieszkać razem, i wtedy Krzysztof zaczął z niepokojem myśleć o szalonych zobowiązaniach, jakie na siebie bierze. Poczł się za mało dojrzały do podejmowania tak poważnych decyzji. Nigdy nie miał problemów z tak zwanymi łatwymi dziewczynami i nie przepuszczał żadnej okazji, która sama wpadała mu w ręce. Na początku w ten sam sposób próbował potraktować Annę i z miejsca natrafił na stanowczy opór. Nieco zniechęcony na wstępie, zaczął darzyć ją głębokim szacunkiem, niemal czcią i już nie próbował przełamywać jej rezerwy. Bardzo delikatnie i powoli zbliżał się do dziewczyny. Nigdy nie posunął się w swoich zapędach dalej, niż ona sama na to pozwalała. Owszem, były pocałunki i czułe gesty, ale nic więcej.

Wiedział z całą pewnością, że Anna jeszcze nigdy nie spędziła nocy z chłopakiem. Był tym zachwycony, a nawet wniebowzięty, ale też zaniepokojony powagą sytuacji. Odczuwał ogromną treść przed wprowadzeniem się do domu w Komorowie. Przychodziły mu do głowy czarne myśli o życiu, które obdarowało go dziewczyną, na jaką nie zasługuje, równocześnie odbierając mu wolność, jaką cieszył się od chwili wyjścia z rodzinnego domu. Jeszcze nie był wystarczająco pewien własnych uczuć. Jeszcze z radością wracał do wynajętej kawalerki, oazy ciszy, spokoju i symbolu jego pełnej niezależności. A tu taka sprawa.

Tak, wyrwał się z oświadczeniami, bo za nic nie chciał

stracić Anny i sytuacja wymagała od niego wyłącznie takiej deklaracji, ale miał świadomość, że staje wobec zobowiązań, którym być może nie zdoła sprostać. Za nic nie chciałby skrzywdzić dziewczyny, która z pewnością zasługuje na najlepszy z możliwych losów. Mike słuchał uważnie, wreszcie zapytał:

- Czy ty ją naprawdę kochasz?

- Byłem tego pewien, dopóki nie przyjechałeś z tą niesamowitą propozycją wyjazdu do Jemenu.

Wtedy od razu poczułem coś w rodzaju ogromnej ulgi. Te trzy miesiące wolności spadły mi z nieba, jak najwspanialszy prezent od losu.

- I nie martwisz się o nią? Nie myślisz o tym, jak sobie radzi z samotnością w tym dużym domu?

- To bardzo dzielna dziewczyna i niełatwo ją byle czym wystraszyć.

- Nie bierzesz pod uwagę, że jakiś inny pocieszyciel zajmie twoje miejsce? - atakował Mike.

- Takie dziewczyny jak ona nie zakochują się co pięć minut. Jestem zupełnie spokojny. A poza tym łączymy nas tyle spraw. Razem będziemy wojowali o spadek po naszych przodkach, którzy napisali wspólny testament. Mówiłem ci, że mam w Waszyngtonie parę spraw do załatwienia. Nasze rodziny od wielu pokoleń nie mogły dojść do porozumienia. Teraz dopiero pojawiła się szansa, że Anna i ja weźmiemy wszystko w swoje ręce i zgodnie wywalczymy prawo do placu, który Waszyngton podarował Połoń-skiemu za zasługi na polu walki.

- A więc w grę wchodzi ogromne pieniądze. - Mike bezlitośnie prowadził zaimprovizowane śledztwo. - Dom w Komorowie też zapewne jest nie do pogardzenia. Za jednym zamachem mógłbyś mieć świetną

dziewczyne, willę pod Warszawą i parę milionów dolarów. Podziwiam cię, stary, i rozumiem doskonale, ale zdumiewa mnie twój cynizm. Jesteś, bracie wielkim graczem, podnieca cię stawka, ale boisz się ryzyka. Być może przez tę podróż przejdzie ci wszystko koło nosa i zostaniesz tylko w kawalerce z paroma dolarami w kieszeni. Do diabła, to się nie trzyma kupy. O co ci chodzi? O dziewczyny takie jak Rita, które na skinienie mógłbyś mieć w każdej chwili? Z taką można się przespać, iść na jakieś niezobowiązujące spotkanie, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie żeni się z nimfomanką, a już z pewnością nie chce mieć z nią dzieci. Opanuj się, stary.

Krzysztof stanął na skraju drogi i zacisnął pięści. Z rozmachem kopnął spory kamień, który okazał się wbitym w ziemię słupkiem. Syknął z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze, siarczyście przeklinając jemeńskie pułapki. Kiedy się uspokoił, próbował na nowo wyłożyć swój punkt widzenia, który jednak nie był dość przekonujący. Mówił nieskładnie o dziewczynach jak o odrębnym gatunku stworzeń, które istnieją po to, żeby mężczyźni mogli się cieszyć życiem. Trzeba umieć je tresować, oswajać, wkradać się w ich łaski i czerpać z nich to, co najlepsze. Mike podjął wątek i teraz razem używali sobie na drugiej, dla nich w tej chwili gorszej połowie ludzkości. Pojawiły się słone kawały, żarty i śmieszne piosenki, fragmenty *Dekameronu*, czytanego kiedyś w szkole pod ławką, i stwierdzenia w rodzaju: „Wszystkie baby są takie same. Chodzi im tylko o jedno, złapać faceta, zarzuć sieć i uwić gniazdo z uwieczoną w środku ofiarą, którą zjedzą po kawałeczku jak modliszki”. Kiedy tak szli ramię w ramię, solidarnie podno-

sząc się na duchu, usłyszeli jakiś szelest. Mike odwrócił się szybko i zobaczył majaczącą w mroku sylwetkę. Chwycił Krzysztofa za ramię i pokazał mu podejrzany cień. Natychmiast odbyli pospieszną naradę. Mogli udawać, że niczego nie zauważają i spokojnie kontynuować wędrówkę. Mogli też wyjść naprzeciw tajemniczym postaciom, narażając się na ryzyko spotkania z nieznanym przeciwnikiem. Od razu przypomnieli sobie o serii porwań i o morderstwie sprzed paru zaledwie miesięcy. Przyspieszyli kroku. Wkrótce niemal biegli w stronę domu, słysząc za plecami skradające się postacie, które również zwiększyły tempo i podążały za nimi w równej odległości. Wpadli do kuchni i obudzili Abduha. Wyrwany ze snu Jemeńczyk krzywił się niemiłosiernie, przecierając oczy, i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego to, o czym chłopcy bezładnie opowiadali. Wstał, przemył twarz i próbował ich uspokoić. Robił to jednak zbyt flegmatycznie jak na potrzeby rozgorączkowanych młodzieńców. Wyszli razem przed dom, ale w pobliżu nikogo nie było. Obeszli zabudowania dookoła z tym samym skutkiem, czyli bez efektu, i Abduh z wyraźnym politowaniem, a nawet lekceważeniem, zaczął tłumaczyć chłopcom, że mają za dużo wyobraźni. Wtedy właśnie usłyszeli gwizd, który wyraźnie świadczył o tym, że ktoś czai się w pobliżu i w ten sposób przesyła informację lub ostrzeżenie innej osobie. Abduh stanął jak wryty, przez chwilę trwał w bezruchu i nagle zaczął głośno mówić i wołać coś w swoim języku. Widocznie były to jakieś pogróżki, bo po chwili z mroku wyłoniły się sylwetki dwóch postaci. Kiedy podeszli bliżej, okazało się że mają przed sobą kilkunastoletnich

chłopców uzbrojonych w zakrzywione noże. Abduh zadał im kilka pytań, po czym stanowczo odprawił, robiąc przy tym bardzo groźną minę.

Kiedy nieproszeni goście odeszli już sprzed domu, Abduh zabrał przyjaciół do kuchni i powiedział im, co sądzi o tym zajściu. Według niego była to sprawka gubernatora, który kazał śledzić swoich niewygodnych sąsiadów.

- To nie wygląda dobrze - mówił, drapiąc się po głowie. - Oni najwyraźniej cały czas chcą mieć wszystkich na oku. Podobno jutro razem z robotnikami przyjdzie tu wojsko, które zostanie rozlokowane w barakach. Trudno przewidzieć, jaki cel przyświeca gubernatorowi, który jest na tym terenie absolutnym władcą. Albo to ma być ochrona dla archeologów, albo wsparcie dla tutejszej władzy, która pilnuje skarbów ukrytych w ruinach. Jedno jest pewne, trzeba uprzedzić wszystkich i mieć się na baczności.

Jemeńczyk obiecał trzymać rękę na pulsie. Zamierzał utrzymywać dobre stosunki z żołnierzami, żeby o wszystkim dowiadywać się w porę i ostrzegać pracodawców, jeśli zajdzie taka potrzeba. Poklepał chłopców po ramionach, wziął głęboki oddech i zaczął wyrzucać z siebie słowa, które miały dla niego najwyraźniej duże znaczenie.

- Powiem wam teraz coś od serca. Nigdy nie miałem zaufania do ludzi z Europy. Dla mnie Europa czy Ameryka to jedno i to samo. Biali ludzie zadzierają nosa, spoglądają na nas z wyższością i szastają pieniędzmi, których nam brakuje. Nie macie pojęcia, jak mi zależało na tej pracy, bo od trzech lat nie mogę znaleźć stałego zajęcia, a w domu się nie przelewa. Rodzina nie chce nam już pomagać i coraz częściej żar-

tuje sobie ze mnie, co uwłacza mojej godności. Rozumiecie? Nie bardzo, jak widzę. Żona, dzieci, a ja nie jestem w stanie zarobić na ich utrzymanie. Jestem ofiarą i nieudacznikiem. I żadna to pociecha, że w takiej sytuacji jak ja jest bardzo wielu mężczyzn w naszym kraju. - Abduh spuścił głowę i ciężko westchnął. - A wy przyjęliście mnie bez wahania, obdarzając całkowitym zaufaniem. Dostałem dużą pensję, o którą nie musiałem się targować. A potem potraktowaliście mnie, Abduha, jak równego sobie, sadzając za stołem przy kolacji. Dopiero swój, prawdziwy muzułmanin, ten Shariff czy jak mu tam, potraktował mnie gorzej niż psa. Wstyd okropny.

Chcę wam powiedzieć, że jesteście dla mnie jak przyjaciele i bracia. Zawsze możecie na mnie liczyć, przysięgam na honor i chlubę mojego rodu, czyli ten oto sztylet ofiarowany mi przez ojca w dniu moich szesnastych urodzin.

Krzysztof wyciągnął rękę do Abduha i mocno uściskał jego dłoń, patrząc mu w oczy z uwagą. Mikę położył na ich splecionych palcach swoją rękę na znak męskiej solidarności i przyjaźni.

5

Poranek przyniósł rewelacje, które były zaskoczeniem dla wszystkich poza Mike'em i Krzysztofem. Kiedy ekipa naukowców siedziała przy śniadaniu, przed budynkiem dostojnie przedefilował spory oddział uzbrojonych żołnierzy na wielbłądach, wzbijając kurz, który wypełnił całą jadalnię. Abduh przymknął okiennice, ale w strumykach światła płynącego przez szczeliny wciąż były widoczne wirujące drobiny kurzu.

Obaj profesorowie podeszli do okna i z wyraźnym niepokojem śledzili poczynania wojaków. Z relacji uczonych wynikało niezbitie, że żołnierze zajmują baraki, z których jeden był przeznaczony na potrzeby archeologów. Mieli tam składać wydobyte skarby, oglądać je, inwentaryzować i pakować w skrzynie przygotowane przez muzeum w Sanie, dokąd miały być przetransportowane w odpowiedniej chwili.

Peter jak zwykle adorował Ritę, nie widząc nic poza nią. Nalewał jej kawę, podsuwał cukier i mienił się na twarzy, przemawiając czule coraz niższym basem. Krzysztof obserwował tę scenę z najwyższym niesmakiem, nasłuchując jednocześnie doniesień „z frontu”. Już miał na końcu języka nietaktowne pytanie o żonę Anglika, kiedy Mike zerwał się od stołu i niechcący zaczepił nogą o krzesło zalotnika w chwili, kiedy ten

akurat siadał obok swojej wybranki z kubkiem kawy w ręku. Carllson stracił równowagę i zabrakło mu dosłownie paru milimetrów, by wylądować bezpiecznie na krześle. Przez chwilę balansował, machając rękami w powietrzu, w końcu upadł na podłogę, oblewając na szczęście niezbyt gorącym, za to smolistym płynem siebie, Ritę i Krzysztofa.

Mike rzucił się na pomoc, przepraszając na wiele sposobów, wycierał koszulę Petera, który bardzo dbał o swój wygląd, rozmazywał ciemne plamy na białej bluzce Rity, wołał Abduha na pomoc i kajał się bez ustanku. Wszystko na nic. Rita wyła ze śmiechu, Peter spoglądał groźnie na Mike'a i dopiero po chwili zdołał wyprowadzić ukochaną, która musiała się przebrać.

Profesorowie nawet nie zauważyli zamieszania przy stole. Ogromnie podekscytowani widokiem wojska, wyjątkowo zgodnie wymieniali na ten temat uwagi. Krzysztof włączył się do rozmowy i opowiedział o wczorajszej przygodzie, nie zatajając niczego. Napomknął też o wątpliwościach Abduha. Mike potakiwał i wtrącał swoje trzy grosze. Narada wojenna trwała do momentu, kiedy w drzwiach stanął ogorzały Jemeńczyk w trudnym do określenia wieku i łamaną angielszczyzną oznajmił, że ludzie wynajęci do pracy na terenie wykopalisk są już na wzgórzu z łopatami i koszami do przenoszenia kamieni.

Teraz dopiero zrobiło się zamieszanie. Wszyscy biegali po niewielkim patio, zbierając potrzebny sprzęt. Rita wyszła ze swojego pokoju w czystej bluzce wypuszczonej na dość długą spódnicę. Podtrzymywana przez Petera, który walczył w ten sposób o prawa do wyłączności, sunęła pod osłoną du--

żego kapelusza w stronę terenowego samochodu.

Ekipa w pełnej gotowości wyruszyła na wzgórze, zabierając ze sobą Jemeńczyka, który najwyraźniej był kierownikiem wynajętych robotników. U jego boku lśnił zakrzywiony nóż w ozdobnej pochwie, zawieszony na pięknie haftowanym pasie. Mocno przybrudzona galabija wcale nie psuła mu dobrego samopoczucia. Był rozmowny, uśmiechał się i gestykulował z rozmachem, tuszując w ten sposób duże braki językowe.

Profesorowie rozdzielili się przed wejściem do świątyni. Mike i Peter zostali z Shariffem i dziesięcioma robotnikami, a reszta ruszyła dalej. Za samochodem powoli szła grupka Jemeńczyków z dużymi koszami na plecach. Peter wpatrywał się w Ritę z rozpaczą w oczach i na chwilę przed rozstaniem próbował tłumaczyć coś Morrisonowi. Najwyraźniej jednak nic z tej rozmowy nie wynikło, bo został na miejscu i tylko odprowadził wzrokiem oddalający się samochód.

Morrison wskazał robotnikom wybrane miejsce, obwiązał sznurkiem wbite w ziemię poprzedniego dnia paliki i sam pokazał wszystkim, na czym ma polegać ich praca. Najpierw chciał ostrożnie usunąć drobne kamyki, które od niepamiętnych czasów osypywały się z murów, pokrywając posadzkę grubą warstwą gruzu. Na skonstruowanym prowizorycznie stole przeglądano dokładnie zawartość koszy, żeby nie przegapić czegoś ważnego, a niepotrzebny żwir przenoszono na wyznaczone przez profesora miejsce, poza teren badanych ruin. Rita robiła zdjęcia, Krzysztof pomagał robotnikom i własnoręcznie sprawdzał zgarniany gruz. Po trzech godzinach słoń-

ce zaczęło wszystkim mocno dokuczać, ale właśnie wtedy zaczął się powoli wyłaniać zarys kamiennej podłogi w narożniku sali, która równie dobrze mogła być wewnętrznym dziedzińcem, jak i pokojem dziecięcym. Archeologów wprowadziło to w takie podniecenie, że nawet miejscowym robotnikom udzielił się ten nastrój i pracowali z większym poświęceniem niż przedtem.

- Jest! - krzyk profesora poderwał wszystkich na równe nogi. - Jest pierwsza zdobycz! - wołał Morrison drżącym z podniecenia głosem. - Patrzcie, alabastrowy posążek kobiety. Spójrzcie, ona się uśmiecha. Figurka śmiejącej się sabejskiej kobiety. Żółtopoma-rańczowy alabaster.

- Jaka piękna - jęknęła Rita. - Ale sabejskie damy ubierały się fatalnie. Suknia prosta, lekko zaznaczone piersi i brzuch, grube nogi i masywny kark. Gdyby nie włosy z wyraźnym przedziałkiem na środku głowy, można by pomyśleć, że to mężczyzna. Ręce Zgięte w łokciach i wysunięte przed siebie.

Zobaczcie, w dłoniach są otwory. Ta kobieta coś trzymała, ale nikt już pewnie nie dojdzie, co to było.

- Czekaj, dziecko. - Wzruszony Morrison pieścił palcami pokrytą kurzem figurkę. - Podobno posągi ubierano tu w prawdziwe bransolety i pierścienie. Patrzcie, zachowała się nawet baza, na której jest jakiś napis. Peter nam to odczyta. Dziś poznamy imię tej pięknej kobiety.

Jemeńczycy otoczyli kołem podekscytowanych badaczy i z nieukrywanym zaciekawieniem wpatrywali się w rzeźbę. Krzysztof nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa. Uśmiechnął się tylko radośnie i ostrożnie musnął palcem cenne znalezisko.

- To wielka rzadkość, moi drodzy - profesor natychmiast przystąpił do oceny wydobytego dzieła sztuki. - Znalezione do tej pory tylko kilka figurek kobiecych. Najczęściej rzeźbiono wizerunki mężczyzn. O ile wiem, wszystkie rzeźby cechuje ogromna powaga. A tymczasem nasza dama uśmiecha się radośnie, o czym świadczą nie tylko usta, ale i wyraz oczu. Podobno kiedyś te posąжки mogły mieć w dłoniach laski ze złota lub brązu, ale rabusie dawno się już tym zajęli. - Cenny skarb został ostrożnie włożony do skrzynki, którą profesor przyniósł ze sobą, chociaż nie liczył na sukcesy w pierwszym dniu wykopalisk.

Rita wykorzystywała każdą okazję, żeby zbliżyć się do Krzysztofa. Rzuciła prowokacyjne uwagi, niby mimochodem dotykała jego ręki, śmiała się głośno z byle powodu i patrzyła mu prosto w oczy z wyraźnym podziwem. Chłopak był najpierw nieco zaskoczony i traktował to jak niezobowiązującą zabawę, która urozmaica nużącą momentami pracę. Po paru godzinach przyłapał się na tym, że wodzi wzrokiem za Ritą i podziwia jej pełne kokieterii gesty.

- Hej! Spójrz na to! - zawołała dziewczyna i pociągnęła go za sobą w stronę wysokiej, dobrze zachowanej ściany. Poszedł za nią, niczego nie podejrzewając. Rita spojrzała mu w oczy, stanęła tuż obok i musnęła jego twarz koniuszkami palców. - Spójrz na mnie. Jestem ładniejsza niż roześmiana figurka sabejskiej damy. Dotknij, jestem prawdziwa i chcę, żebyś o tym wiedział. - Położyła jego rękę na swojej piersi.

Krzysztof był nieco zażenowany, bo nie spodziewał się takiego tempa. Nie był jeszcze pewien, czy na jego wyobraźnię działa płaska sylwetka wyzwolonej

Amerykanki. Pochylił się nad nią i został obdarzony pocałunkiem, który oszołomił go i wprawił w ogromne podniecenie.

- Spokojnie, kochany. Teraz nikt nas nie widzi, ale w każdej chwili może tu ktoś zajrzeć. Przyjdzie czas na wszystko. - Rita odepchnęła od siebie chłopaka z triumfującym uśmiechem zdobywcy. - Jesteś świetny, wspaniały. Nikt tu nie dorównuje ci urodą i bystrością. Chcę, żebyś był tylko mój.

- Pragniesz drugiej ofiary w rodzaju Petera? Taki numer nie przejdzie. Chyba sobie ze mnie żartujesz.

- Zamilcz! - Rita położyła mu dłoń na ustach. - Spójrz na mnie i czytaj w moich oczach. Jeśli nic nie rozumiesz, to zapewne mam do czynienia z beznadziejnym przypadkiem analfabetyzmu. -

Dziewczyna odeszła, zostawiając oszołomionego Krzysztofa. Stał tam jeszcze przez dłuższą chwilę i próbował zebrać myśli. Wreszcie potrząsnął głową jak pies opryskany wodą i wyszedł na plac pełen słońca i ruchu. Robotnicy nadal mozolnie pracowali, a profesor wszystkiego doglądał.

Koło południa zrobiono przerwę. Abduh rozstawił na palikach prowizoryczny daszek chroniący przed słońcem i przyniósł jedzenie dla ekipy i robotników. Zapytany o wieści z placu badań w świątyni, machnął tylko ręką i bez słowa ustawił na murku pojemnik z wodą do mycia rąk.

Krzysztof był ogromnie ciekaw, co się dzieje w obozie oponenta. Sam zaproponował, że pójdzie w odwiedzinę na teren świątyni mimo upału, który zaczynał wszystkich obezwładniać. Profesor nie protestował, a siedząca w cieniu dobrze zachowanej

ściany domu Rita nie wykazywała żadnego zainteresowania otoczeniem. Była zmęczona i śpiąca. Chłopak ruszył w stronę wysokich kolumn. Po drodze bezwiednie zaczął porównywać Ritę i Annę. Jedna niezbyt ładna, ale za to niezwykle ekspansywna. Swobodny sposób bycia, odwaga w wygłaszaniu własnych opinii, nieustanne zwracanie na siebie uwagi całego otoczenia, nieco okrutny stosunek do adoratora, który narzucał jej swoją osobę, wszystko to było intrygujące i podniecające zarazem. Rita warta była grzechu, tym bardziej, że tego rodzaju dziewczyna nie mogła w sposób decydujący wpłynąć na jego życie.

Natomiast Anna stawiała mu ogromne wymagania, którym nieustannie starał się sprostać. Czy na co dzień łatwo będzie dźwigać taki bagaż? To niewinne stworzenie o nieco staroświeckich zasadach nie pasuje do dzisiejszego stylu życia. Ale co można uznać za dzisiejsze albo nowoczesne? Krzysztof nie umiał jednoznacznie odpowiedzieć sobie na to pytanie. Obraz Anny o wiecznie wzburzonej czuprynie niebezpiecznie umykał z pamięci. Teraz myślał wyłącznie o Ricie. Prowokacyjnie wydęte usta, powłóczyście spojrzenia, dość zgrabne łydki prezentowane przy każdej okazji i wyraźna zachęta z jej strony coraz bardziej działały na wyobraźnię chłopaka. Miała zdecydowanie za mały biust, za to umiała niby niechcący opuścić ramięczko bluzki lub pochylić się tak zręcznie, żeby Krzysztof mógł zobaczyć więcej niż inni. Nie musiała nic mówić, po prostu wysyłała sygnały nieomylnie odbierane przez mężczyzn. On sam czuł, że powietrze było jak naelektryzowane, kiedy Amerykanka przechodziła obok, muskając dłonią rękaw jego koszuli.

Zatrzymał się w pobliżu świątyni i mrużąc oczy przez chwilę patrzył w stronę kolumn i gładkiej ściany muru, który skupiał na sobie blask bijący z nieba. Przez moment wyobrażał sobie, że znów trzyma Ritę w ramionach i dokonał odkrycia, że ma na to ogromną ochotę. Odpędził natarczywe myśli i wszedł między kolumny, żeby obwieścić radosną nowinę o pierwszym cennym znalezisku.

Zastał wszystkich przy jakiejś płycie wydobytej przed chwilą z gruzów. Peter właśnie wpatrywał się w zatarty napis, który trudno było odczytać. Mike przyniósł Krzysztofowi kubek wody i odciągnął go na bok. Narzekał na tempo pracy, jakie narzuczał Shariff, i wskazał ruchem głowy na robotników, którzy udęczeni ciężką pracą i upałem leżeli teraz pokotem w nikłym cieniu kolumn i drzemali, nie wykazując żadnego zainteresowania tym, co się wokół nich działo.

- Już wiem, co się za tym kryje. - Mike ściszył głos. - On ma nadzieję, że odnajdzie skarbiec tej świątyni. Diabli wiedzą, czy skarbiec był tu, czy gdzie indziej. Wątpię jednak, żeby zostały w nim jakieś skarby. Ci, którzy stąd odeszli po zawaleniu się tamy, z pewnością zabrali ze sobą wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

- A jeśli nie mogli wywieźć wszystkiego, bo zabrakło im wielbłądów i osłów? Przecież tu był potop, ginęli ludzie i zwierzęta. Może nie mieli środków transportu, a potem już nie zdołali powrócić w te strony.

- Może w tym coś być. Pewnie Shariff wie, co robi, ale miejsce, w którym kopie, jest co najmniej dziwne. Chyba że zamierza przekopać cały dziedziniec, stąd ten pośpiech i szaleństwo w oczach.

Trze-

ba o tym powiadomić Morrisona. A tablica, którą teraz z taką pasją studiuje, to oczywiście nagrobek jakiegoś króla. Skoro jest tablica, można się spodziewać grobowca, a w nim...

- Może władców chowano gdzie indziej, a tu stawiano tylko pamiątkowe tablice?

- To znaczy dokładnie tyle, że nic na ten temat nie wiemy. Shariff zresztą wie niewiele więcej od nas. Obserwowałem, jak się zabierał do pracy. Morrison to prawdziwy profesjonalista, a ten zachowuje się jak amator. Zobacz, co on wyprawia z tą płytą. Puka dłutem w miejsca, gdzie są wyryte litery. Przecież może je uszkodzić. Najpierw Rita powinna to sfotografować. A właśnie, jak ci się pracuje z naszą lwicą salonową?

Krzysztof zrobił głupią minę i widać było, że jest nieco zażenowany.

- To znaczy, że nadzwyczaj dobrze. Masz na nią ochotę, przyznaj się bracie, widzę to po twoich oczach. Nie obraż się, ale jesteś fenomenalnym głupcem. Masz dziewczynę, za którą można skoczyć w ogień, a mięknie na widok rozwydrzonej nimfomanki.

- Czy ty nie za bardzo przejmujesz się losem Anny? Przyznaj, od razu wpadła ci w oko, ale milczałeś jak głaz.

Mike popchnął lekko Krzysztofa i spojrzał mu prosto w oczy.

- Jeśli ty zamierzasz uganiać się za tym dziwadłem, to chyba nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym ja spróbował, jeśli mi się uda oczywiście, zabiegać o względy Anny. Widocznie tak już musi być, że jedni wolą perły, a innym wystarczają przydrożne

kamyki, które w każdej chwili można bez żalu kopnąć czubkiem buta i pójść dalej, nie oglądając się za siebie.

Krzysztof zacisnął pięści, szykując się do bójki z przyjacielem.

- Gram w otwarte karty - mówi! Mike, robiąc krok do tyłu. - Chcesz zagarnąć wszystko? To nie jest w porządku. Dziewczyna wyjątkowo ładna i czysta jak górski kryształ, dom, majątek w Stanach i jeszcze baby na boku. Wybieraj i zostaw coś dla mnie. - Śmiał się przy tym prowokacyjnie i Krzysztof nie był pewien, czy przyjaciel mówi serio, czy tylko z niego żartuje. - Doniosę Annie, jak się tu prowadzisz. Zasłużyłeś sobie na to. Przestań. Już dobrze. Jestem o ciebie zazdrosny. Zawsze miałeś większe powodzenie u dziewczyn niż ja. A mnie zżerała zawiść, chociaż nigdy ci o tym nie mówiłem. Teraz robisz głupio, bo łatwa zdobycz może się okazać pułapką i przegrasz wszystko.

- Przecież Rita wróci do Stanów i Anna nigdy się o niej nie dowie - tłumaczył gorączkowo Krzysztof. - Czuję przez skórę, że wystarczy tylko gest, i wszystko będzie możliwe. Czy można nie skorzystać z takiej okazji? No, sam powiedz?

- A nie boisz się afer z Peterem? Przecież to może sparaliżować pracę w naszej ekipie. Profesor nigdy by ci tego nie darował. Powiem więcej, może natychmiast odesłać cię do Polski. Chętnych na twoje miejsce było bardzo wielu. Jesteś tu, bo ja się przy tym upierałem. Nie możesz mnie kompromitować takim trywialnym romanssem. Wiesz, jest taka stara zasada obowiązująca kiedyś prawdziwych piratów. Kiedy wyruszali na wyprawę, nie zabierali na pokład ani

jednej kobiety, bo to zawsze groziło buntem załogi i stratami w ludziach. My też jesteśmy takim okrętem na tej wyschniętej na pieprz pustyni. Wystarczy, że mamy dwóch kapitanów, a więc o jednego za dużo. Nas obowiązuje lojalność wobec Morrisona. Wprawdzie stary obstawał przy kandydaturze Rity, ale widocznie albo nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji, albo tak wysoko ceni jej umiejętności, że to przeważało wszystkie inne argumenty.

- A może on sam ma ochotę na Ritę?

- Zupełnie ci odbiło. Zaczynasz się robić podobny do Petera. Profesor mógłby być jej ojcem. Zresztą sam ma dzieci w naszym wieku. Puknij się w swój zakuty łeb. I ostrzegam cię, póki nie jest za późno. Jeśli z powodu tych romansów ucierpi praca podczas wykopalisk, to osobiście dopilnuję, żebyś natychmiast wrócił do kraju. To byłoby nie tylko niestosowne i nielojalne wobec mnie i profesora, ale też beznadziejnie głupie i nieodpowiedzialne. Nie mówiąc już o twoich relacjach z Anną, której obiecałeś, że będzie mogła tu przyjechać. Ja nie udzielam ci w tej chwili przyjacielskich rad, ja ciebie zwyczajnie przywołuję do porządku i uczciwie ostrzegam. Bardzo wiele obiecywałem sobie po naszej wspólnej podróży, a ty zachowujesz się jak pozbawione wyobraźni zwierzę.

- Tak jest, panie asystencie. - Krzysztof zsalutował, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę Sharif-fa pochylonego nad grobową płytą.

Carlson tłumaczył odczytane słowa z namysłem, powoli cedząc słowa. Krzysztof, przygnębiony ostrą reprimendą przyjaciela, chciał ukryć przed nim fakt, że poczuł się jak sztubak przyłapany na gorącym

uczynku. Słuchał teraz uważnie, jak Peter wymienia liczne tytuły jakiegoś władcy, którego duszę polecono opiece bogów.

Shariff rozgarniał nerwowo pył w pobliżu odkrytej tablicy. Namacał jakiś przedmiot, chwycił miotełkę i zaczął uprzętać gruz centymetr po centymetrze. Po chwili dotarł do czegoś, co przypominało fragment sporej rzeźby z brązu. Krzysztof rzucił się do pomocy. Z jamy wyrzała głowa mężczyzny o zdecydowanych rysach twarzy i lekko falujących włosach. Prosty nos i wąsy nad górną wargą nadawały tej postaci wyjątkowo groźny wygląd. Po chwili uczeni zorientowali się, że przetrwała tylko głowa posagu. Krzysztof z profesorem dźwignęli cenną zdobycz, żeby ją przenieść na zaimprovizowany stół. Peter tylko krążył wokół nich i nawet nie próbował wziąć się do pracy fizycznej, która zapewne uwłaczała jego godności.

Mike podszedł do nich w chwili, kiedy ciężka głowa wylądowała na drewnianym blacie. Razem podziwiali szlachetną, pełną wyrazu twarz, która patrzyła na nich odlanymi z brązu oczami. Wreszcie Shariff powiedział:

- Macie tu do czynienia z wyraźnymi wpływami hellenistycznymi. Albo sprowadzali sobie z Grecji utalentowanych rzeźbiarzy i odlewników, albo wysyłali swoich na praktykę do Grecji. To drugie jest znacznie mniej prawdopodobne.

O tej porze dnia ubranie Egipcjanina wyglądało bardzo nieporządnie. Przeupocona koszula wysunęła się ze spodni. Pognieciony materiał wędrował wokół jego bioder, podtrzymywany często gwałtownymi ruchami rąk właściciela. Kapelusz dawno opuścił jego

głowę i spoczywał teraz między cennymi znaleziskami. Na stole kartki mieszały się z przeglądany właśnie gruzem. Lekko szpakowate, kręcone włosy były rozwichrzone, każdy kosmyk obrał własny kierunek i nie zamierzał z niego rezygnować. Natchniony profesor ocierał czasem pot z czoła niezbyt czystą ręką. Ślady rozmazanego kurzu tworzyły na jego twarzy zawiłe wzory, przez co wyglądał dosyć groteskowo.

Krzysztof opowiedział wszystkim o figurce roześmianej kobiety. Na nikim nie zrobiło to wrażenia, bo odkrycia Morrisona jak na razie wyglądały o wiele skromniej i nie bardzo było czym się chwalić.

Pożegnał ekipę i ruszył w drogę powrotną.

Teraz dopiero poczuł się dotknięty i upokorzony. Słowa Mike'a uderzały celnie i trudno mu było odmówić racji. Mimo to był wściekły, bo nie życzył sobie, żeby przyjaciel, nawet najbliższy i najlepszy, wtrącał się do jego osobistych spraw. Przeszło mu przez myśl, że Mike bawi się jego kosztem, bo sam ma ochotę na Ritę.

To chyba upał tak na mnie działa. Zupełnie oszalałem. Co za bzdury chodzą mi po głowie. Przecież nigdy nie wchodziliśmy sobie w drogę. Gdyby tak było, od razu by mi powiedział. Chyba że... chyba że dopiero potem zaczęło mu na tym zależeć... - myślał, idąc w stronę ruin domu, przy którym podjęto już na nowo pracę. Jestem głupcem, bezmyślnym głupcem. Rity nie było, nie ma i nie będzie - powtarzał z uporem, ale kiedy zobaczył jej kapelusz przekrzywiony z fantazją na bok, serce zabiło mu mocniej i przyspieszył kroku.

Morrison był zmęczony i trochę zniechęcony. Nic więcej nie udało mu się dzisiaj znaleźć. Zarzą-

dział więc, żeby Rita ruszyła z Krzysztofem na poszukiwanie inskrypcji i jednocześnie, żeby krok po kroku zaczęła robić dokumentację całego wzgórza. Kiedyś będzie to szczególnie cenne. Pomachał obojgu na pożegnanie i wrócił do nadzorowania pracy robotników.

Krzysztof podał Ricie rękę, żeby ułatwić jej pokonanie sporego wzniesienia. Ona robiła zdjęcia, a on oznaczał sfotografowane miejsca na mapie. Zmęczeni upałem zatrzymali się w cieniu jakiegoś muru. Rita przeciągnęła się, odrzuciła kapelusz na plecy, poprawiła włosy i drobnymi łyżkami zaczęła popijać ciepłą wodę z plastikowej butelki. Chłopak nie odrywał od niej wzroku, co bawiło ją ogromnie i prowokowało do następnych brawurowych popisów.

- Położę głowę na twoich kolanach - zakomunikowała nagle i bezceremonialnie zaczęła mościć sobie miejsce na odpoczynek.

Krzysztof znieruchomiał. Przypomniały mu się przestrogi Mike'a, po chwili jednak myślał już tylko o dziewczynie, która uniosła jedną nogę, co spowodowało natychmiastowe odsłonięcie kolan i kształtnych ud. Poglądził ją po włosach, pochylił się, a dziewczyna położyła jego rękę na swojej piersi, przymknęła oczy i spokojnie czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Pocałunek był nie dość namiętny jak na jej potrzeby, więc zrobiła wszystko, żeby podnieść temperaturę doznań. Wyglądało na to, że ma spore doświadczenie.

Krzysztof drżał teraz jak Peter, chodzący krok w krok za Amerykanką. Zupełnie stracił kontrolę nad sobą. Wciąż jeszcze wydawało mu się, że inicjatywa należy do niego i pozostał do końca z takim

przekonaniem, chociaż był prowadzony za rękę dokładnie tam, gdzie za chwilę miał się znaleźć. Szybkie, niecierpliwe zbliżenie miało być tylko zapowiedzią szaleństw, jakie ich czekały w przyszłości. Kiedy już odpoczywali w cieniu starego muru, Krzysztof próbował powtórzyć wszystko jeszcze raz od nowa.

- Starczy - powiedziała Rita, leniwie opierając głowę na jego ramieniu. Byli nadzy, wyciszeni i pogodni. Mógł na nią patrzeć, gładzić puszki na jej karku i mówić bezsensowne słowa. Teraz już wiedział na pewno, że nie popełnił błędu. Była warta grzechu i to z pewnością niejednego. Po co zabiegać o miłość, skoro można ją mieć w taki prosty i oczywisty sposób.

- A co będzie z Peterem? - zapytał.

- Nic. A co ma być?

- Pozwolisz mu nadal chodzić za sobą i trzymać się za rękę?

- Przeszkadza ci to?

- Nie - odpowiedział bez wahania, choć już w tej chwili zaczynało mu to ogromnie przeszkadzać. Teraz i on chciał mieć prawo do wyłączności.

- Spałaś z nim?

- A cóż to za pytanie? Ja ciebie nie pytam o takie rzeczy, więc i tobie nie daję takich praw. Mogę ci jednak w tajemnicy powiedzieć, że to wyłącznie platoniczne uczucie. Nic między nami nie było i zapewne nie będzie. On reprezentuje inną szkołę uwodzenia, a to mnie nudzi. Przestań mówić o Peterze. Teraz jestem tu razem z tobą i tylko to się liczy. - Rita przewróciła się na brzuch i pochyliła głowę nad twarzą chłopaka. - Wiesz, od razu zwróciłam na

ciebie uwagę. Jesteś wyjątkowo pięknym okazem.

- Wiem, zaraz mnie namalujesz albo przebijesz szpilką jak uśmierconego chloroformem motyla. Co w tobie siedzi, wyzwolona kobieto? Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. Zawsze dostajesz to, na co masz ochotę?

- Zawsze. Ale żeby się nie frustrować, wybieram tylko osiągalne cele. Ty byłeś na wyciągnięcie ręki i nie miałeś żadnych szans. Od początku to był mój kawałek tortu, który tylko czekał, żeby...

- Przestań, nie żartuj sobie tak okrutnie. Pamiętasz scenę w hotelu w Sanie? Przecież kłamiesz jak z nut.

- O nie, mój drogi. Było dokładnie tak, jak miało być. Już wtedy tylko ty miałeś szansę. I nie patrz na mnie jak na potwora. Mam prawo wybierać dokładnie tak samo jak mężczyźni. Zostałeś wybrany i to jest największy komplement, jaki cię spotkał w ostatnim czasie. Dobrze o tym wiesz, mój piękny okazie.

Rita pochyliła się nad nim, żeby nie dopuścić do dalszej rozmowy. Osypujące się z góry kamyki, potracone czyjaś stopą, gwałtownie przerwały romantyczny nastrój. Zerwali się na równe nogi. Zaczęli szybko wkładać na siebie ubrania, rozglądając się uważnie dokoła, ale niczego nie zdołali wypatrzyć. Krzysztof zagarnął Ritę ramieniem i oświadczył stanowczo:

- Nie życzę sobie, żeby ten chłystek włączył się za tobą. Zrób z tym coś, dobrze?

- Po co. Adoratorzy to bardzo miły wynalazek.

- Nie rozumiesz? Naprawdę nie rozumiesz? To ci powiem. Po pierwsze nie zniosę żadnej konkurencji, bo jestem prawdziwym Słowianinem i skończy się to ostrym starciem. Musiałbym uderzyć słabszego od siebie, a to paskudne i niemęskie. A po drugie awantu-

ra skończy się tym, że odeślą mnie do Polski i już nigdy więcej się nie zobaczymy. A tego bym nie chciał.

- Ja też nie. Skoro to dla ciebie takie ważne, a nie umiesz załatwić swoich spraw inaczej, pełnokrwisty Słowianinie, sama będę musiała się tym zająć. Na razie milcz i na nic nie reaguj. Później się zastanowię, co z tym zrobić. - Rita włożyła kapelusz na głowę i zarzuciła aparat na ramię.

- A jeśli to Peter śledził nas zza skały i teraz mierzy do nas z karabinu albo knuje inną krwawą zemstę?

- Dziewczyna z niepokojem spojrzała w górę. Krzysztof objął ją, przysunął twarz blisko jej ucha i szepnął: - Nie igraj z ogniem. To flegmatyk, ale gołym okiem widać, że siedzi w nim kawał histeryka. Jest niezrównoważony i z pewnością nieprzewidywalny.

Rita pocałowała chłopaka i rzuciła jakąś ironiczną uwagę, całkowicie lekceważąc jego obawy.

Przeciągnęła się rozkosznie i dała sygnał do wymarszu. Wrócili do zdjęć, klatka po klatce rejestrując szczątki murów, ulic i placów. Po jakimś czasie zorientowali się, że jednak ktoś im towarzyszy.

Zobaczyli uzbrojonego chłopaka w zwyczajnej galabiji, który musiał być świadkiem tego, co zaszło między nimi. Przez chwilę zastanawiali się, co może z tego wynikać, w końcu niefrasobliwie dali sobie z tym spokój. Bez wątpienia gubernator wszędzie miał swoje „oczy i uszy” pilnujące całej ekipy, żeby wiedzieć, co się dzieje na jego terenie. Doszli do wniosku, że informacje o erotycznych wybrykach na terenie ruin będą dla miejscowego władcy nieistotne. Krzysztof zapytał dziewczynę, czy nie czuje się zażenowana tym, że mieli nieoczekiwanego widza. Wzruszyła tylko ramionami i westchnęła.

- No cóż, każdy ma to, na co zasługuje. Jedni mają ruchome obrazki, a inni uczują.
- Wrócili do Morrisona, żeby zdać relację z wykonanej pracy. Profesor miotał się po oczyszczonym z grubsza kawałku kamiennej podłogi. W narożniku natrafił na zasypane wejście do pomieszczenia, które zapewne znajdowało się piętro niżej. Może kiedyś były w tym miejscu schody albo drabina prowadząca do piwnicy lub raczej magazynów, w jakie z pewnością wyposażano zamożne kupieckie domy.
- Gdzieś powinny być stajnie dla wielbłądów, osłów i koni, ale teraz trudno to sobie wyobrazić. Zapewne ozdabiali ściany jakimiś freskami. Nic się nie zachowało. Nie ma po tym nawet najmniejszego śladu. Skoro znaleźliśmy w tym miejscu figurkę wotywną, to można przypuszczać, że była tu pracownia miejscowego rzeźbiarza. Niewiele dziś działałem. A co u was słyhać? - Profesor otarł pot z czoła. Był zmęczony i wytrącony z równowagi.
- My za to mamy wspaniałe zdjęcia. - Rita podeszła do Morrisona, wzięła go za rękę i posadziła na najbliższym kamieniu. Miał to być serdeczny, uspokajający gest i rzeczywiście przyniósł spodziewany efekt. Krzysztof podał profesorowi papierowy kubek z wodą mineralną, a Rita zaczęła opowiadać.
- Znaleźliśmy przepyszny fryz, który z pewnością był ozdobą nadproża jakiegoś zamożnego domu. Proszę sobie wyobrazić rząd głów z rogami, zapewne kozlich głów, wymodelowanych w kamieniu, które tworzą jednostajny, piękny rytm.
- A przepyszny kawał marmuru - wtrącił Krzysztof - który znaleźliśmy zaraz potem, również był

ozdobiony wizerunkami kozłów. Ale tu z kolei był też księżyc i jakaś planeta. Zapewne Wenus. Profesor z zacięciem słuchał relacji i prosił Ritę, żeby jak najprędzej wywołała zdjęcia. Obiecała zrobić to jeszcze tego samego wieczoru. Morrison potwierdził podejrzenia Krzysztofa. Jemu też się zdawało, że ktoś przez cały czas obserwuje jego pracę. Zamierzał w związku z tym złożyć wizytę gubernatorowi. Coraz bardziej niepokoił się o los wyprawy. Chciał w krótkim czasie zrobić jak najwięcej, bo brał pod uwagę, że mogą mieć znacznie mniej czasu, niż przewidywali. Atmosfera wokół prac ekipy coraz bardziej się zagęszczała i nie wiadomo było, co z tego wyniknie. Spojrzał na Ritę i Krzysztofa i zaczął mówić:

- Ja wiem, że jesteście zmęczeni po całym niemal dniu pracy. Jeśli jednak czujecie się na siłach, idźcie do bazy, żeby zmienić ubranie, a potem spróbujcie zrobić trochę zdjęć w osadzie. Te bezcenne inskrypcje poniewierają się na ich podwórkach. Porobili z nich schody, ławy, studnie i diabli wiedzą co jeszcze. Sfotografujcie, co się da. Potem będziemy mieli materiał do pracy na długie lata. No jak? Zrobicie to dla mnie?

Krzysztof napomknął o reakcji gubernatora, ale przy Ricie nie chciał wszystkiego dokładnie powtarzać. Doszedł do wniosku, że można na razie ominąć dom tutejszego władcy. Zapewnili Morrisona, że zrobią wszystko, co tylko będzie możliwe, i od razu wyruszyli w drogę, aby dotrzeć do osady przed zmierzchem.

Kiedy Rita poszła wziąć prysznic, Krzysztof nie zdołał oprzeć się pokusie i ruszył za nią. Przez chwilę stał w progu i patrzył. Potem zrzucił ubranie i

stanął obok dziewczyny pod strumieniem ciepłej wody, spływającej ze zbiornika na dachu. Od razu było wiadomo, czym się skończy ta chwila nieskrępowanego niczym zachwyty.

- Pamiętasz *Ostatnie tango w Paryżu*? - zapytała prowokacyjnie Rita. - Chcę tanga, tu i teraz, zanim wszyscy wrócą do domu.

Krzysztof w lot pojął, o co jej chodzi, i od razu przygarnął dziewczynę do siebie. W tej chwili nie miało znaczenia to, że kosmyki jasnych włosów bez wdzięku oblepiają jej skronie. Przymknęli drzwi i zajęci wyłącznie sobą, zapomnieli o całym świecie

- Jesteś piękna, dzika i wspaniała - szeptał Krzysztof do ucha Rity, która owinęła się ręcznikiem przed wyjściem z prowizorycznej łazienki.

- Wiem o tym, a teraz i ty o tym wiesz. W tej chwili nie pragnę niczego więcej. - Objęła go za szyję. Krzysztof wziął dziewczynę na ręce, zamierzając wynieść ją na patio, ale potknął się na mokrym schodku i razem upadli na ubitą ziemię. Ręczniki z nich pospadały. W progu kuchni stanął Abduh, ale zaraz taktownie się wycofał. Nieco speszeni pobiegli do swoich pokoi i już po chwili szli razem w stronę osady.

Krzysztof chciał zdjąć aparat z ramienia dziewczyny, ale ona stanowczo zaprotestowała, twierdząc, że prawdziwy profesjonalista nigdy nie rozstaje się ze swoim sprzętem.

Doszli do pierwszego domu w osadzie, przed którym dokazywały dzieci w pyle wioskowej drogi. Były umorusane, ale za to wesołe i rozbrykane. W okazałych drzwiach pojawiła się kobieta szalenie okryta od stóp do głów. Można było zobaczyć tylko wyraźnie zalęknione oczy. Zanim zdążyli powiedzieć jedno sło-

wo, postać zniknęła za drzwiami. Trochę zdeprymowani patrzyli z zachwytem na podmurówkę domu z pysznymi inskrypcjami. Zapewne wewnątrz było więcej takich skarbów.

Rita bez namysłu wyjęła aparat i zaczęła robić zdjęcia. Pod okapem odkryła równie interesujące fragmenty z wyraźnym motywem winorośli.

- Słuchaj, tu musiały być kiedyś winnice - wołała zaaferowana. - Spójrz, takie same ornamenty widzieliśmy na obramowaniach inskrypcji. Profesor zaraz powie, zresztą zgodnie z prawdą, że to okres późno-sabejski, a więc mniej więcej trzeci wiek p.n.e. Mamy tu do czynienia z wpływami późnohellenistycznymi.

Wokół nich skupiła się gromadka dzieci, które uważnie obserwowały cudzoziemców. Jedno z nich wyciągnęło rękę. Nie wiadomo było, czy domaga się jałmużny, czy po prostu chce dotknąć aparatu.

Krzysztof i Rita stali przez chwilę niezdecydowani, jak mają zareagować. Wreszcie dziewczyna wyjęła z torby kilka cukierków i rozdzieliła sprawiedliwie między dzieci. Uśmiechały się teraz radośnie, pochłaniając niespodziewane dary, i znacznie śmielej niż przed chwilą wyciągały ręce, dotykając jej sukienki brudnymi palcami. Amerykanka cofnęła się, nie kryjąc obrzydzenia.

W drzwiach stanął mężczyzna z ciężkim karabinem na ramieniu. Wyraźnie rozgniewany głośno rzucał jakieś krótkie komendy, wskazując dom gubernatora, a potem kierunek, z jakiego przyszli. Nic nie mogli zrozumieć. Próbowali bardzo grzecznie i spokojnie przemawiać do zirytowanego Jemeńczyka, ale nic nie wskórali. Tubylec krzychał coraz głośniej i potrząsał bronią. Kiedy zaczął ją unosić na wysokość ramienia, doszli do wniosku, że czas się wyco-

fać. Krzysztof wykonał kilka pojednawczych gestów, wziął Ritę za ramię i szybko ruszyli w powrotną drogę do bazy.

Dziewczyna była przerażona. Drżała jeszcze, kiedy stanęli na zakręcie drogi przy jednym z opuszczonych domów.

- Uratowałeś mi życie, rycerzu - przemówiła czule. - Jeszcze nigdy nie byłam na linii ognia. Nie bałeś się?

- Hm, nie będę kłamał. Bałem się o ciebie. Kto mógł przypuszczać, że tu nie ma nawet śladu europejskiej cywilizacji. Z tymi ludźmi nie można się porozumieć. On nawet nie zamierzał mnie wysłuchać, dzikus jeden.

- Byłeś wspaniały, mój piękny okazie.

- Przestań! Tak się mówi tylko o motylach albo o koniach.

- A czym ty jesteś? Skrzyżowaniem Pazia Królowej z dzikim mustangiem. - Rita uśmiechnęła się czule i położyła rękę na ramieniu Krzysztofa. - Chodźmy do domu.

Zapadł zmierzch, zanim dotarli do bazy. Abduh kończył przygotowania do kolacji. Wszędzie unosił się zapach aromatycznej potrawy złożonej z ryżu, mięsa, warzyw i pachnących przypraw. Do oświetlonej jadalni powoli schodzili się uczestnicy wyprawy. Wszyscy byli zmęczeni upałem i trudami całego dnia. Tylko Shariff znosił uciążliwy klimat wyjątkowo dobrze. Jako Egipcjanin był do tego przyzwyczajony od dziecka.

Teraz wszedł do jadalni energicznym krokiem i od razu usiadł przy stole. Nie przebrał się do kolacji i najwyraźniej nie odwiedził łazienki, bo na jego twa-

rzy wciąż jeszcze były ciemne smugi brudu. Rozwiczrzona czupryna żyła własnym życiem i najwyraźniej profesor jej w tym nie przeszkadzał. Odgarnął z czoła kosmyki, zatarł ręce i już zamierzał sięgnąć do ogromnej patelni, kiedy Abduh podał mu niewielką miseczkę z czystą wodą. - A, widzę, że ktoś tu dba o tradycję. - Shariff był mile zaskoczony. - Bo wiecie, u nas wiele potraw jada się rękami. W porządnym domu zawsze ktoś podaje wodę do umycia rąk. - Znow zakrzywiony palec najpierw powędrował do góry, a potem razem z innymi zanurzył się w wodzie. Ręce zostały pobieżnie umyte. Egipcjanin zabrał się do jedzenia, nie czekając na resztę towarzystwa. Morrison z trudem przełykał małe kaski i widać było, że tylko rozsądek zmusza go do takiego poświęcenia. Rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku swojego oponenta i wyraźnie zbierał siły do poważnej rozmowy.

Rita wzgardziła krzesłem usłużnie ofiarowanym jej przez Petera i demonstracyjnie usiadła obok Krzysztofa. Mike bacznie obserwował tę scenę i próbował powstrzymać Anglika przed jakimś nieobliczalnym zachowaniem, chwytając go za ramię i sadzając stanowczym gestem obok siebie. Teraz role się odwróciły. Dziewczyna położyła rękę na oparciu krzesła swojego nowego chłopaka i wpadając w egzaltację, opowiedziała wszystkim o wydarzeniu w osadzie, podkreślając zasługi Krzysztofa.

Peter piorunował wzrokiem bohatera wieczoru, a Mike z nieukrywanym niepokojem spoglądał na swojego przyjaciela. Ten omijał go wzrokiem, udając wilczy apetyt i zaferowanie, co dla Mike'a było

w pełni jednoznaczne. Westchnął tylko, szykując się do następnej ostrej reprimendy.

W progu stanął jakiś miejscowy Jemeńczyk wprowadzony przez Abduha. Z krótkiej wymiany zdań wynikało, że gubernator oczekuje Morrisona u siebie i żąda natychmiastowej rozmowy. Profesor niechętnie wstał od kolacji, poprosił wszystkich, żeby nie kładli się spać, bo zamierza zwołać naradę organizacyjną i merytoryczną jeszcze tego samego wieczoru. Wyszedł z jadalni lekko przygarbiony, pogrążony w myślach. Po chwili usłyszeli warkot silnika samochodu, który odjechał w stronę osady. Shariff wyszedł do swojego pokoju, żeby jeszcze raz obejrzeć wykopane w świątyni skarby. Zaprosił do siebie Carllsona, ale ten wykrecił się zrećnie. Mike również nie wykazał dostatecznego zainteresowania sprawą, bo co innego zaprzętało jego uwagę. Bał się zostawić rozbrykaną młodzież w jadalni, spodziewając się najgorszego. I miał rację.

Po wyjściu profesorów Peter zerwał się z miejsca i powiedział stanowczo do Rity:

- Chodź, proszę. Odprowadzę cię do pokoju. Amerykanka wydeła wargi i zrobiła krok do tyłu.

Pokręciła głową, podniosła do góry rękę i z kokieterią zrobiła kilka tanecznych kroków. Zakomunikowała, że chce się bawić, bo i tak przed zebraniem nikt nie może iść spać.

- Obawiam się, moja droga, że jednak pójdiesz ze mną do swojego pokoju, ponieważ mam ci coś ważnego do powiedzenia. - Głos tłumacza osiągał coraz niższe rejestry, co zapowiadało atak czułości albo napad hysterii. Obie możliwości były w równym stopniu prawdopodobne.

- Rita nigdzie nie pójdzie. - Krzysztof stanął między dziewczyną i adoratorem. - Teraz odtańczymy tango z różą w zębach. - Wziął ze stołu łyżkę, która miała odegrać rolę róży, porwał Ritę w ramiona i ruszył w tany, nucąc melodię mającą przypominać tango. Chodziło mu wyłącznie o aluzję do rozmowy pod prysznicem. Dama natychmiast włączyła się do zabawy i krążyła razem z nim po przestronnej jadalni. Oboje dbali o to, by odchylenie tancerki od pionu wyglądało bardzo efektownie. W progu stanął Ab-duh i klaskał w dłonie do taktu.

Peter zaciskał pięści i mienił się na twarzy. Wreszcie podjął męską według niego decyzję, stanął na drodze tańczących, dotknął ramienia Krzysztofa i zawołał histerycznie:

- Odbijany! - Wyjął zdumionemu chłopakowi dziewczynę z ramion i sam próbował popisywać się tańcem, zaraz jednak pomylił rytm, nadepnął partnerce na nogę i stanął jak niepyszny w miejscu, bo nikt już nie śpiewał, a Rita usiadła na krześle, trzymając się za obolałą stopę.

- Wybacz, kochanie. - Carllson pochylił się nad nią. - Sama mnie prowokujesz do działań, które nie są moją specjalnością. Gdybyś była rozsądna, to nóżka wcale by nie ucierpiała, a ty siedziałabyś bezpiecznie w swoim lub moim pokoju.

- Nie mów do mnie jak do żony! - krzyknęła Rita. - Drażnisz tylko wszystkich tym swoim preten-sjonalnym, oksfordzkim akcentem. Zejdź na chwilę z piedestału i zachowaj się jak człowiek.

Peter wstał z klęczek. Był wyraźnie zagubiony. Stał teraz z głową wtuloną żałościwie w ramiona i cierpiał, nie wiedząc, co dalej robić. Spojrzał na

Krzysztofa z nieukrywaną wściekłością. Jego ręce znów zacisnęły się w pięści, a żyły na skroniach niebezpiecznie nabrzmiały.

- Obawiam się, Krzysztofie, że to twoja wina. Zapewne miałeś czelność składać tej pannie nieprzystojne propozycje. To by było do ciebie podobne. - Jak zwykle mówił powoli, oddzielając poszczególne słowa.

- Miałem czelność. Nie mylisz się, mój drogi Peterze. - Krzysztof z większą niż zwykle przesadą parodiował sposób mówienia rywala. - Zapewniam cię jednak, że sama czelność ani mnie, ani Ricie nie sprawiłaby wystarczającej satysfakcji. Znacznie bardziej odpowiada nam bezczelność. Jak ci się to podoba, mistrzu?

Peter z furią skoczył do przodu i z pewnością doszłoby do bijatyki, gdyby Mike nie przytrzymał Anglika.

- Dość! - krzyknął, szamocząc się z roztrzęsionym językoznawcą. - Peter z Ritą wyjdą na zewnątrz i sami rozstrzygną swoje wątpliwości. Ja tymczasem mam coś do załatwienia z Krzysztofem. Kiedy nie ma Morrisona, ja tu rządę, i oświadczam wam z całą stanowczością, że nie znoszę sprzeciwu.

Peter dał za wygraną. Wziął zdziwioną nieco obrotom spraw Ritę za ramię i wyprowadził niemal siłą na patio. Jeszcze przez chwilę docierały do jadalni ich podniesione głosy. Mike wskazał Krzysztofowi krzesło, usiadł obok i milczał. Po dłuższej chwili zapytał przyjaciela, czy przypadkiem nie ma mu czegoś do powiedzenia.

- Ja? O czym? - zapytał ze zdziwioną miną Krzysztof.

- Nie udawaj niewiniątka. Na kilometr widać, co tu się wydarzyło. Zlekceważyłeś moje ostrzeżenia.

Gdzie ty masz rozum? Wygląda na to, że w zupełnie niewłaściwym miejscu.

- Jesteś zazdrosny?

- Nie żartuj. Musiałbym być ślepy, głuchy i doszczętnie zidiociały, żeby kruszyć kopie o taką babę jak Rita. Jeżeli z jej powodu rozwalisz pracę Morrisonowi, osobiście przetrzepię ci skórę i wylecisz stąd pierwszym samolotem. Uprzedzałem. Lojalnie cię o tym uprzedzałem.

- Słuchaj, ona nie jest taka, jak myślisz. To wrażliwa, romantyczna istota, czuła i... no, po prostu świetna.

- Świetna w łóżku. To chciałeś powiedzieć? Wiesz, co to oznacza? Z niejednego pieca chleb jadła, a apetyt rósł w miarę jedzenia.

Krzysztof znów podjął chaotyczną obronę Rity, lecz nie robiło to na jego przyjacielu żadnego wrażenia.

- Myślałem - mówił cicho Mike - że jesteś odpowiedzialnym mężczyzną, a tymczasem mam do czynienia z babiarzem, który dla chwili przyjemności gotów jest zapomnieć o lojalności, przyjaźni i pracy. Chyba że zamierzasz spędzić z nią całe życie. W takim razie chylę czoło. Zaskoczyłeś mnie niebywałą odwagą. Ale po co ci cały browar, skoro chodzi tylko o kufel piwa?

Krzysztof zerwał się z krzesła i stanął przy oknie. Milczał z uporem. Wreszcie odwrócił się i wybuchnął:

- Odczep się! Zejdź ze mnie! To moja sprawa i sam będę decydował o tym, co jest dla mnie ważne.

- Tym razem to niezupełnie twoja sprawa. Ważą się losy całej wyprawy, a ja jestem za to odpowiedzialny, mój drogi. Nie pozwolę na żadne awantury i niesnaski.

- Obawiam się mój miły, że będziesz musiał. - Tym razem parodiowanie Petera nikogo nie śmieszyło.
- Nic na to nie poradzę. Zwróć uwagę, że to nie ja wywołuję bójki i awantury, tylko historyczny Anglik. Dlaczego z nim nie porozmawiasz? Kto tu ma nadwyreżony kręgosłup moralny, ja czy żonaty i dzieciaty językoznawca z zakłamanym mieszczaństwem wypisanym na czole i to od wielu pokoleń.
- Ty też nie jesteś wolny. Oświadczyłeś się Annie, o czym najwyraźniej już zapomniałeś.
- Gdyby nie była taką staroświecką, cnotliwą panienką, to z pewnością liczyłbym teraz dni od naszego rozstania i pisał rzewne listy.
- Albo wręcz przeciwnie.

W tym momencie usłyszeli tubalny głos Shariffa, który krzyczał z najwyższym oburzeniem. Wybiegli na patio w chwili, kiedy profesor bezceremonialnie otworzył drzwi do pokoju Rity i zawołał:

- Jeżeli natychmiast nie przestaniecie hałasować, to przepędzę tę babę z piekła rodem, gdzie pieprz rośnie. Od razu wiedziałem, że kobieta w ekipie to same kłopoty. Nie mogę pracować. Natychmiast ma tu być cicho. Jeśli nie interesują was wykopaliska i tylko romanse wam w głowach, to proszę wyjechać stąd jutro z samego rana!

Peter zaczął przeproszać Shariffa najpiękniejszym oksfordem i obiecał absolutną ciszę. W tym momencie podjechał pod dom samochód z Morrisonem, który od razu zawołał wszystkich do jadalni. Kiedy zajęli już swoje miejsca, profesor zaczął mówić:

- Nie jest dobrze. Gubernator zabronił nam wstępu do osady. Twierdzi, że to z powodu kobiety, która nie jest dostatecznie przyzwoicie ubrana, ale ja

mam pewność, że to tylko pretekst. Rozmawiałem z nim o pracach na terenie wykopalisk. On absolutnie nie ma pojęcia, czym się zajmujemy, chociaż słucha uważnie i potakuje. Widzę jednak wyraźnie, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Wciąż powtarza z uporem: „To moja ziemia i wszystko, co się znajduje pod nią, należy do mnie i do mojego ludu od wielu stuleci. Ani Sana, ani Aden nie mają tu nic do gadania”.

- Wygląda na to, że może mieć rację - wtrącił Sna-riff. - To odwieczne prawo. Wojsko, które obserwuje nas bacznie, składa się głównie z miejscowej ludności, która najpierw i przede wszystkim posłucha swojego władcy, a dopiero potem weźmie pod uwagę odgórne polecenia. Taka jest prawda i musimy się z nią liczyć.

- Więc mogą nas porwać, zamknąć i zażądać okupu, a rząd w stolicy nie ma na to żadnego wpływu? -zawołał z oburzeniem Krzysztof.

- Oczywiście. Nie sądzicie chyba, że wyślą tu karną ekspedycję. Musiałby Jemeńczyk strzelać do Jemeńczyka, co nikomu by się nie spodobało. Wysyłają więc negocjatorów i targują się tak długo, aż dojdą do porozumienia, i dopiero za godziwe pieniądze uwalniają porwanych poszukiwaczy przygód - powiedział spokojnie Shariff. - A tak przy okazji warto przypomnieć, że półtora roku temu taki los spotkał pięciu Polaków. Spędzili w jakiejś zapadłej dziurze całe dwa miesiące, a okup za nich przeznaczono na budowę drogi i szkoły.

- Biedne dzieci - westchnęła Rita.

- Biedni Polacy - zaprotestował Mike.

- Ja myślę - ciągnął profesor - że oni nas o coś po-

dejrzejawją. Zapewne sądzą, że szukamy skarbów ukrytych na wzgórzu. A inskrypcje mogą być według nich szyfrem, który wskaże właściwą drogę.

- Słuchajcie! - Rita zerwała się na równe nogi. - Jeśli za pięciu Polaków zbudowali drogę i szkołę, to wyobraźcie sobie, ile dostaną za nas. W końcu mamy tu dwóch profesorów światowej sławy, o których upomną się dwa kraje i parę międzynarodowych instytucji naukowych. My zapewne jesteśmy mniej warci. - Wskazała ręką na młodzież. - W sumie starczyłoby nie tylko na szkołę, ale i na solidny meczet, nie taki, jaki stoi w centrum osady. To zaledwie pokryta gipsem wieżyczka otoczona białym płotem. Może nawet zbudowaliby okazałą siedzibę dla gubernatora i...

- Panno Rito, przywołuję panią do porządku. Mam nadzieję, że im co innego chodziło po głowie. Dopóki nie jesteśmy uwięzieni, mogą mieć nadzieję, że doprowadzimy ich do miejsca, gdzie są ukryte skarby. Liczą na więcej, niż dostaliby za nas.

- Ale Anglików zabili - odezwał się Mike. - I jeszcze Australijczyka na dokładkę. Dlaczego? Przecież nigdy przedtem nie dochodziło do takich drastycznych wydarzeń.

- Widocznie negocjacje z wysłannikami rządu utknęły w martwym punkcie. Albo rząd postanowił być wyjątkowo twardy, żeby zapobiec następnym porwaniom, i nie było innego wyjścia - wyjaśnił Shariff ze znajomością rzeczy. - Przecież już kiedyś była o tym mowa. Oddziały porządkowe usiłowały odbić zakładników i podczas strzelaniny doszło do nieszczęścia. Tak naprawdę nie wiadomo, kto ich zabił, i nikt tego do końca nie wyjaśnił.

- Proszę o ciszę! - Morrison próbował zapanować nad bezładnym gwarem, bo wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. - Nic złego się nie stanie, o ile nie damy im powodu do irytacji lub podejrzeń, że jesteśmy na tropie skarbu. Dla nas każda skorupa wydobyta z ruin jest bezcennym skarbem, czego oni z pewnością nie są w stanie pojąć. Proszę więc o spokój i opanowanie. Na terenie wykopalisk musimy z rozwagą okazywać swój entuzjazm, bo nawet robotnicy nogą być na usługach gubernatora. Zresztą jestem pewien, że tak jest w istocie. Od jutra pełna koncentracja i skupienie na pracy, bo obawiam się, że nie pozwolą nam tu zostać przez całe trzy miesiące. Każda chwila jest cenna.

Jutro rano trzeba pojechać do Sany po zapasy żywności. Mike z Abduhem i Krzysztofem zajmą się tą sprawą zaraz po odwiezieniu nas na wzgórze. A pani, droga Rito, proszona jest o wkładanie sukni z długimi rękawami, najlepiej, żeby była długa aż do samej ziemi.

- Musiałabym sobie kupić arabski strój kobiecy. Chętnie to zrobię. Czy mogę jutro pojechać z chłopcami do Sany?

- Zgoda. Ale po południu macie już być na stanowiskach. A pana, profesorze, zapraszam do siebie na koniak. Musimy porozmawiać o sprawach najważniejszych. Obejrzymy wspólnie nasze odkrycia.

Myślę, że jeszcze dzisiaj dostaniemy obiecane zdjęcia. - Profesor tym razem zwrócił się do Rity.

- Już idę do mojej ciemni - powiedziała posłusznie i wyszła z jadalni. Tuż za nią podążył Peter, nie dając tym razem Krzysztofowi nawet najmniejszej szansy. Po wyjściu profesorów w pokoju zapadła ci-

sza. Abduh zaczął zbierać kubki ze stołu, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę chłopców.

-To niebezpieczny człowiek - powiedział nagle.

- Kto? - zapytali niemal jednocześnie.

- No, Peter. Ja się znam na ludziach. Taki nieduży człowiek z lekko wylupianymi oczami to istny upiór. Niby nic, a może się rzucić do gardła i udusić. To diabeł. Ja wiem, co mówię. Nie lekceważcie go. To histeryk i desperat. On się nie zastanawia, czy przeciwnik jest silniejszy. Dobrze mu się dziś przyjrzałem. Oczy mu zaszły krwią. To wariat.

- Pewnie masz rację - podjął Mike i spojrzał na Krzysztofa, który błędził wzrokiem po suficie i śpiewał pod nosem modną ostatnio w Polsce piosenkę:

- „Bo do tanga trzeba dwojga, zgodnych ciał i chętnych serc.” - Zamilkł i ze zniecierpliwieniem spojrzał na przyjaciela. - Dajcie spokój. Macie skłonność do demonizowania. To starzejący się, wyleniały małpiszon, a wy robicie z niego szalonego, natchnionego rycerza. Chodźmy lepiej przed dom i popatrzmy w gwiazdy. Tam jest odpowiedź na wszystkie pytania.

Wyszli na patio w chwili, kiedy Rita z krzykiem wyrzucała Carllsona ze swojej ciemni.

- Nie przeszkadzaj mi teraz! Dostyc tego. Jutro porozmawiamy. - Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Tłumacz nie zauważył chłopców, bo jego wzrok jeszcze nie oswoił się z ciemnością. Zaklął po angielsku i pobiegł do pokoju Krzysztofa. Kiedy na pukanie nikt nie odpowiedział, zajrzał w zamknięte na głucho ciemne okno. Wyglądało na to, że stracił cały impet. Po chwili ruszył na ukos przez patio w stronę prowizorycznej bramy i wpadł prosto w objęcia

Mike'a. Drgnął i dopiero teraz zauważył mężczyzn stojących przed domem. Mike zaproponował mu krótki spacer, na co ten skwapliwie przystał.

Ruszyli drogą w stronę ruin. Kiedy byli już tak daleko, że nikt ich nie mógł słyszeć, Peter wygłosił krótką mowę na temat atmosfery panującej wśród ludzi, którzy tworzyli ekipę badawczą.

- Tak być nie może. Albo się dogadacie, albo obaj zrezygnujecie z Rity - powiedział Mike. - Jeśli nie będzie innego wyjścia, dziewczyna zostanie odesłana do Stanów.

- Obawiam się, że pojedę razem z nią - odparł rozgorączkowany Peter. - Proszę mi wybaczyć, ale to moja sprawa, i nie pozwolę na żadne ingerencje z zewnątrz.

- Zwracam się do ciebie po przyjacielsku, a ty mnie traktujesz jak wroga. Peter, przecież podpisałeś kontrakt i wziąłeś za to pieniądze. Przyjechaliśmy tu, żeby zrobić epokowe odkrycia, a wy zachowujecie się jak marcowe koty.

- Obawiam się, że nie będę mógł ci w niczym pomóc. Mike, nie mieszaj się do tego. Nie masz wpływu ani na mnie, ani na Krzysztofa. Rób swoje i nie przeszkadzaj nam.

- Chcesz zawalić nam robotę?

- Obawiam się, że nie będę miał innego wyjścia, jeśli odeślesz Ritę do Stanów.

W milczeniu wrócili do domu. Mike nie próbował już przekonywać Carllsona. Weszli na patio i dołączyli do Krzysztofa i Abduha, którzy w napięciu nasłuchiwali odgłosów ożywionej rozmowy dochodzących z pokoju Morrisona. Profesorowie dyskutowali o metodach pracy. Shariff krytykował pedanterię

i poprzestawanie na byle jakich osiągnięciach, które w końcu niewiele wnoszą do ogólnej wiedzy. Upierał się przy szybkich, błyskotliwych rozwiązaniach, czasem być może ryzykownych, ale za to głośnych i efektownych.

- Łatwo panu tak mówić, bo Egipt jest jak ciasto z rodzynkami. Można kopać byle gdzie i zawsze się coś znajdzie. To nie sztuka.

- A co komu po przyczynkach i komentarzach do komentarzy, i setkach przypisów do tych komentarzy? Tyle wydajecie pieniędzy, a jedyny efekt to zamulanie bibliotek broszurami, które pokrywa kurz, bo nikt do nich nie zagląda.

-O, przepraszam - przerwał mu Morrison. - A co pan, profesorze, myśli na temat egipskich kompilacji sporządzanych na podstawie innych kompilacji? Waszym uczonym nie uśmiecha się przemierzanie pustyni i praca w trudnych warunkach w terenie. Wolą obracać w rękach wciąż te same książki i na ich podstawie pisać nowe.

- Chyba nie ma pan na myśli mnie? Przecież jestem tu z wami i na nic nie narzekam jak dotąd. Jako przedstawiciel UNESCO mam prawo decydować o wielu sprawach. Chyba nikt tego tu nie neguje?

- Oczywiście. Ja jednak mam zastrzeżenia do tego, co się dzieje w Kairze, w waszym Muzeum Narodowym. To jest szczególna wizytówka. Takiego bałaganu jeszcze nikt nie widział w cywilizowanym świecie. Bezcenne skarby bez ładu i składu upchnięte byle jak pomiędzy bezwartościowymi skorupami. Nikt się w tym nie może połapać. Tu faraon, tam mumia, ówdzie parę naszyjników z jakiegoś grobowca, a wszystko razem groch z kapustą. A do tego dzikie tłumy tu-

rystów. Dziwne, że jeszcze wszystkiego nie rozkradli w takim bałaganie.

- Spokojna głowa. Już my pilnujemy tego, co najważniejsze. Nikt nam tego nie zabierze. To Europa okradła Egipt jeszcze za Napoleona, a inni też zabrali, co mogli. Nasze mumie można znaleźć na całym świecie. Kto tu jest nie w porządku? Ja mam sumienie czyste jak łąza i będę bronił swoich zasad, póki żyję.

- Chylę czoło, profesorze. Na mnie czas. Muszę jeszcze chwilę popracować. Myślę, że kiedyś wrócimy do tej rozmowy. A teraz życzę dobrej nocy.

Chłopcy odskoczyli od okna i pospiesznie wbiegli do pokoju Krzysztofa. Nie zapalali światła, żeby profesor ich nie zauważył. Kiedy zniknął za swoimi drzwiami, Abduh zapalił światło. I wtedy usłyszeli rozziewający, przeraźliwy wrzask Petera, który pierwszy zauważył Ritę leżącą pod prześcieradłem na łóżku Krzysztofa. Po chwili Peter upadł na podłogę z wytrzeszczonymi oczami. Trzej mężczyźni pochyłili się nad nim zdumieni i przerażeni niespodziewaną reakcją.

- Może to atak padaczki? - zapytał Mike. - Tego nam tylko brakowało.

- To atak hysterii - wtrącił Abduh. - I zwyczajny szantaż. On myśli, że w ten sposób zapewni sobie wszystko, nawet to, co mu się zupełnie nie należy. Zanieśmy go do jego pokoju. Do jutra mu przejdzie.

Rita zerwała się z łóżka wyraźnie przejęta tym, co zobaczyła.

Carlson przewrócił się na bok i podkurczył nogi. Teraz leżał w pozycji embrionalnej i trząsał się jak w ataku febry. Co chwilę wydobywał się z jego

gardła jęk przypominający skowyt. Wyglądał upiornie. Wytrzeszczone oczy sprawiały niesamowite wrażenie.

- Polejcie go wodą - podpowiedział Abduh. Ktoś natychmiast podał butelkę z wodą mineralną. Mike pokropił twarz Petera i z napięciem czekał na efekt. Nic się nie zmieniło. Zdjął nakrętkę z plastikowej butelki i małym strumykiem lał wodę na twarz i włosy leżącego. Tym razem tłumacz zareagował. Wcisnął obie dłonie pod pachy i trząsł się mocniej niż przedtem.

Wszyscy byli głęboko poruszeni tym widokiem. Krzysztof próbował podnieść Petera, ale natrafił na niespodziewany opór. Jego mięśnie były usztywnione do tego stopnia, że nie można było podnieść głowy bez dźwignięcia całego ciała. Wyglądał jak nieboszczyk, któremu jeszcze nie zamknięto oczu. Tylko miarowe ruchy klatki piersiowej przeczyły wszystkiemu.

Ktoś próbował wlać Anglikowi wodę do ust, ktoś inny protestował z obawy przed zakrztuszeniem. Rita obserwowała tę scenę z daleka. Wreszcie owinęła się prześcieradłem i podeszła bliżej. Grymas przerażenia ustąpił na korzyść niechęci i odrazy.

- Czułam przez skórę, że z nim jest coś nie tak.

W progu stanęli obaj profesorowie zwabieni hałasem. Morrison pochylił się nad Peterem i zadał chłopcom parę pytań. Przez chwilę zastanawiał się nad koniecznością wezwania lekarza. Abduh obiecał, że zaopiekuje się Peterem. Jeśli jego stan nie ulegnie poprawie, wtedy zbudzi Morrisona i razem pojedą z chorym do Sany. Tłumacza przeniesiono ostrożnie do jego pokoju.

Na patio profesor Shariff zatrzymał Mike'a i zapytał o przyczynę całego zajścia. Kątem oka dostrzegł Ritę w prześcieradle, ale nie był pewien, czy przybiegła ze swojego pokoju, czy też była tam wcześniej. Mike próbował wykręcić się od kłopotliwych odpowiedzi i zapewniał, że panuje nad sytuacją.

- Nie bardzo, jak widzę. Na razie mamy tu jeden przypadek śmiertelnie zakochanego i do tego w ataku hysterii. Może to jakaś psychoza, która uniemożliwi Peterowi dalszą pracę? Jedno jest pewne, albo nocą, albo jutro z samego rana trzeba odwieźć Anglika do Sany i skonsultować jego stan z jakimś dobrym lekarzem.

Po chwili w całym domu zapanowała cisza. Krzysztof wrócił do pokoju i zastał tam Ritę wciąż jeszcze stojącą pod ścianą w stroju zrobionym z prześcieradła.

- I co ty na to?

- Nie myślałam, nie przypuszczałam... - Była wyraźnie przestraszona.

- Tylko tego brakuje, żeby wszyscy poznali prawdziwy powód tej afery. - Krzysztof był wytrącony z równowagi.

- Przecież wszyscy już znają prawdę. Przestań. Pomyśl lepiej o tym, co będzie, jeśli on umrze. Jak sądzisz, może umrzeć?

- Mam nadzieję, że nie.

- Ale powiedz, jak uważasz, uznają mnie za kobietę fatalną?

- A ty zapewne masz apetyt na takie zakończenie? Co ci chodzi po głowie? Ja naprawdę się o niego martwię, chociaż nie mam powodu, żeby darzyć go sympatią. Wyrzuty sumienia, rozumiesz?

- Zapomnij o tym! Niczemu nie jesteś winien. To jego sprawa.
 - Ale gdyby ciebie tu nie było...
 - Ale byłam. Trudno. Stało się. Dajmy temu spokój. Chodź do mnie. Szkoda każdej chwili.
- Krzysztof usiadł na krześle i spuścił głowę. Trwał w bezruchu przez dłuższą chwilę. Rita patrzyła na niego z wyraźnym politowaniem. Wreszcie nie wytrzymała.
- Wiesz, byłam nieznośnym dzieckiem, upartym i krnąbrnym. Często mnie karano, ale to niczego nie mogło zmienić. I tak zawsze wiedziałam lepiej, co jest słuszne i dobre. Wreszcie rodzice się rozwiedli. Byłam zdradzonym i opuszczonym dzieckiem. Matka robiła, co mogła, ale ojca nie było. Nigdy mu tego nie darowałam. I nawet dziś przyłapuję się na tym, że wciąż pragnę wziąć odwet na całym męskim rodzie za tę zdradę z dzieciństwa. Lubię mężczyzn, nawet bardzo lubię, ale jeśli zdarzy mi się skrzywdzić kogoś z nich, to nie odczuwam wyrzutów sumienia.
 - Chyba jesteś chora, Rito. Co ty mówisz? Cierpisz na syndrom modliszki?
 - Potrzebuję silnego mężczyzny, takiego jak ty. U twojego boku czuję się bezpieczna. Nie zamierzam cię skrzywdzić, zresztą z pewnością umiałbyś sobie z tym poradzić.
 - Masz kompleks ojca? Wyszukujesz kandydatów na tatusia, a jeśli nie spełniają wymagań, to wyrzucasz ich na bruk i szukasz następnej ofiary?
 - To niezupełnie tak. Najpierw obdarzam ich niepowtarzalnym szczęściem.
 - A więc do dzieła - powiedział Krzysztof i westchnął głęboko. - Muszę się spieszyć, bo wkrótce wy-

rzucisz mnie ze swojego życia. Chwile szczęścia są policzone jak pastylki w pudełku. Nikt nie wie, ile mi ich jeszcze zostało.

Szybko zrzucił z siebie ubranie, przestąpił bosą nogą kałużę na podłodze, która była wspomnieniem po dramacie Petera, i wziął Ritę w ramiona.

6

Minął tydzień, który dla Petera był czasem straconym. Zatrzymano go w szpitalu w Sanie, gdzie nikt nie umiał postawić trafnej diagnozy. Usztywnienie mięśni utrzymywało się nadal, chociaż widać było niewielki postęp w leczeniu. Chory mówił z trudem, poruszał się z największym wysiłkiem i niechętnie rozmawiał z uczestnikami wyprawy, którzy go na zmianę odwiedzali.

Któregoś dnia brodaty psychiatra zaprosił Krzysztofa na rozmowę i zadał mu wiele pytań. Chłopak nie umiał na nie odpowiedzieć. Poznał tłumacza dopiero parę dni temu, więc nie wiedział, co było przedtem, nie umiał też nic poradzić na to, co działo się teraz. Bardzo niechętnie wspominał o romansie z Ritą. Według jego oceny było to jak na razie platoniczne uczucie, niemniej jednak szalone, skoro wywołało takie skutki.

Gorzej było z opisem okoliczności, w jakich doszło do ataku hysterii. Krzysztof enigmatycznie przedstawił całą sytuację, ale lekarz uczeplił się tego i już nie popuścił. Zalecał przywiezienie Rity do szpitala i załagodzenie całego konfliktu. Chłopak mnożył przeszkody i zastrzeżenia, ale teraz lekarz nie chciał o niczym słyszeć. Nie przyjmował do wiadomości faktu, że Rita nie zamierza przyjechać do szpitala.

- Trzeba usunąć przyczynę niepokoju. To podziała natychmiast. Skoro jednak, jak pan twierdzi, ta panna nie zechce tu do nas przyjechać, to za nic nie ręczę. Podkurujemy chorego, ale w obozie znów wszystko zacznie się od początku i pacjent będzie musiał wyjechać do swojego kraju. Czy ktoś zawiadomił już jego rodzinę?

- Chyba nie. Nikt nie sądził, że to aż tak poważna sprawa. Rozumie pan, doktorze, on ma żonę i dziecko. Jeśli ta żona dowie się o jego romansie, to trudno przewidzieć, co z tego wyniknie.

- Ja jednak nalegam na zawiadomienie rodziny. Jeśli nie zrobicie tego sami, to ja będę musiał to zrobić. Gdzieś tu w papierach znajdę numer telefonu. Nie mogę postąpić inaczej. Takie są przepisy. Krzysztof wyszedł na zalaną słońcem ulicę i odetchnął z ulgą. Za nic nie wzięłyby na siebie odpowiedzialności za dalszy przebieg wydarzeń. Poszli na targ z Abduhem, zrobili ogromne zakupy i wrócili do Maribu pod koniec sjeisty.

Prace na terenie wykopalisk powoli postępowały naprzód. Obaj profesorowie nie wchodzili sobie w drogę. Ich spory merytoryczne i organizacyjne straciły impet, a rozmowy były coraz bardziej pokojowe i przyjacielskie. Nabrali do siebie szacunku i zręcznie omijali drażliwe tematy. Wieczorami można ich było zastać w baraku przeznaczonym na skład wydobytych przedmiotów, gdzie z ogromną pasją studiowali swoje skarby. Skrzyń przybywało coraz więcej.

Shariff nie tracił nadziei, że odkryje skarbiec świątyni. Teraz mówił o tym otwarcie i cieszył się na za-

pas. Na terenie świątyni natrafił na jakieś zejście do podziemi. Miejscowi robotnicy wydobywali stamtąd gruz, znajdując po drodze połamane rzeźby wotywnie, niewielkie figurki i elementy większych pomników, które przedstawiały jakieś niezidentyfikowane osoby. Wciąż jednak nie wiadomo było, dokąd prowadzi podziemny korytarz. Napięcie rosło.

Z kolei Morrison dotarł do pomieszczenia znajdującego się pod posadzką okazałego domu. Wyglądało na to, że kiedyś ogromna piwnica była składem towarów. Profesor miał jednak nadzieję, że dotrze do jakichś drzwi, które go doprowadzą do tajemnic mieszkającej tu kiedyś rodziny. On też znajdował cenne przedmioty. Przeważnie były to skorupy glinianych naczyń. Krzysztof klasyfikował je i opisywał przed zapakowaniem do skrzyń. Wśród niewiele znaczących odłamków były też rzeźby wotywnie z alabastru i marmuru, dość topornie wykonane i pozbawione wdzięku. Obaj uczeni doszli do wniosku, że ówczesni rzeźbiarze mieli techniczne problemy z obróbką trudnego materiału, jakim dysponowali. Zapewne też alabaster i marmur musiały wtedy sporo kosztować, stąd oszczędność form i starania, aby w jak najmniejszym stopniu naruszyć pierwotny kształt kamiennego bloku.

Figurki zazwyczaj przedstawiały postać w dość obcisłym stroju, z pewnością uszytym z jednego kawałka materiału, lub w udrapowanej spódniczce. Na stopach zawsze odwzorowywano kształt sandałów z rzemieniami wiązanymi wokół łydki.

Przybywało też zdjęć, które rejestrowały przebieg badań, wydobyte przedmioty oraz obecny stan ruin starożytnego miasta. Każda inskrypcja wyryta na

murach, które jeszcze zachowały zarysy dawnych budowli, każda tablica leżąca w pyłe pomiędzy ruinami, zostały dokładnie sfilmowane i opracowane przez Ritę i jej pomocnika.

Pod nieobecność Carllsona romans Krzysztofa rozwijał się bez zakłóceń i nabierał coraz większego rozpędu, co w najmniejszym stopniu nie zaburzało tempa prowadzonych badań. Wręcz przeciwnie, przyspieszało prace, bo zakochani chętnie wyruszali „na łowy” i przynosili świetne zdjęcia w ogromnej ilości. Nie przeszkadzało im, że zawsze ktoś za nimi chodzi. Przywykli do tego i pracowali intensywnie, nie zwracając sobie tym głowy.

Wojsko stacjonujące w barakach trzymało się na uboczu i nie wchodziło nikomu w drogę. Czasem zarządzano coś w rodzaju manewrów i wtedy oddział uzbrojonych młodzieńców na wielbłądach ruszał galopem w stronę osady lub wzgórza, wzbijając ogromne tumany kurzu. Archeolodzy uznali te poczynania za przejaw lokalnego kolorytu i przestali się nad tym zastanawiać.

Między Krzysztofem i Mike'em utrzymywał się stan napięcia. Rozmawiali rzadko i widać było, że jeden drugiego unikał. Raz wpadli na siebie po kolacji i wtedy Mike zadał przyjacielowi krótkie pytanie:

- I co dalej?

- Czas pokaże - odpowiedział niefrasobliwie Krzysztof i pobiegł do ciemni, żeby pomóc Ricie przy wywoływaniu zdjęć.

Tego dnia po powrocie z Sany trzeba było zawiadomić Morrisona o stanie zdrowia Petera, którego brak profesorowie odczuwali coraz dotkliwiej. Nie

miał kto czytać i tłumaczyć tajemniczych napisów, a od tego w dużej mierze zależał dalszy przebieg badań. Tę rozmowę i związany z nią niepokój Krzysztof odłożył na wieczór. Po krótkim odpoczynku wyruszył z Ritą na terenową sesję zdjęciową.

Dziewczyna kupiła na targu w Sanie kilka jemeńskich sukienek. Teraz prezentowała się egzotycznie i wyjątkowo atrakcyjnie. Z wprawą unosiła fałdy długiej szaty, kiedy musiała pokonywać sterty bezładnie rozrzuconych kamieni. Ogromny kapelusz dodawał jej tylko wdzięku. Po godzinie wyteżonej pracy usiedli w nikłym cieniu niewielkiej skały i podjęli omijany ostatnio wątek.

- Co będzie z Peterem? - zapytała od niechcienia Rita, udając, że ten temat niewiele ją interesuje.

- Nie wiem. Lekarz chce zawiadomić żonę o jego stanie zdrowia. Twierdzi, że teraz tylko ty jesteś w stanie przywrócić mu chęć do życia. Kiedy Peter wróci na teren wykopalisk, to znów może się powtórzyć atak hysterii czy też katatonii, jak to lekarz fachowo określił. Diabli wiedzą, co z nim jest.

- Myślisz, że powinnam się czuć za to odpowiedzialna?

- Bo ja wiem? - Krzysztof pogładził dziewczynę po ręku. - Co nas to obchodzi? Właściwie przyjazd jego żony mógłby nam wszystko ułatwić. Tylko nie wiadomo, czy ona zechce przyjechać. A Petera mogą lada chwila wypuścić ze szpitala. Już lepiej chodzi, ale rozmawiać ze mną nie chce. Wcale mu się zresztą nie dziwię. Nieźle wtedy narozrabiałaś. Trzeba było mnie uprzedzić, że przyjdiesz do mojego pokoju. Nie sprowadziłbym wtedy całej bandy do siebie i pewnie nic by się nie stało.

- Ale wtedy nie byłoby niespodzianki. - Rita roześmiała się prowokacyjnie. - Zresztą i tak by mnie odnalazł, bo każdego wieczoru przyłaził, żeby mi pościelić łóżko, a ja stanowczo wykopywałam go za drzwi. Szukałby mnie po wszystkich pokojach.

Nastała cisza. Siedzieli bez ruchu, zatopieni we własnych myślach.

- Wiesz - zaczęła dziewczyna - już ci mówiłam, że byłam bardzo krótko trzymana w dzieciństwie. Rygor, zasady i ostre kary za każde przewinienie. Powinnam wyrosnąć na mniszkę czy na jakieś inne dzi-wadło. Ale na szczęście obroniłam się sama przed tym staroświeckim osadem mieszczańskich wartości. Jestem nowoczesną dziewczyną i sama tworzę zasady. Nie ja dla świata, ale świat dla mnie. Tak jest zdrowo i sprawiedliwie. Nie interesują mnie ckliwe, przegrane kobiety z garami i pieluchami w zębach. Dzięki tresurze w dzieciństwie jestem dobrze wychowana i mogę bywać z równą swobodą w salonach, i w slumsach. Zawsze sobie poradzę. Doskonałe maniery otwierają wszystkie drzwi.

- I to ci daje prawo do wybierania partnerów? -zapytał Krzysztof, patrząc na Ritę z ogromnym zdumieniem.

- O czym ty mówisz? To kwestia poczucia własnej wartości i wiedzy o ludziach. Obserwacja, doświadczenia zbierane metodą prób i błędów, psychologia jednym słowem.

- I tę metodę zastosowałaś wobec mnie na zimno, jak badacz, który robi eksperymenty na szczurach, żeby sprawdzić, co z tego wyniknie?

Rita zauważyła, że nieco się zagalopowała. Rzuciła bystre spojrzenie spod przymkniętych powiek

i wolno, z głębokim namysłem, łagodnym, ciepłym głosem zaczęła mówić:

- Z tobą było zupełnie inaczej. Owszem, w pierwszej chwili traktowałam cię jak unikalny okaz w mojej kolekcji, czego przed tobą nie ukrywałam. Jednak jestem z natury ogromnie romantyczna, wiesz co mam na myśli? Szybko się zakochuję. Eksperyment wziął w łeb. Teraz to już nie ma najmniejszego znaczenia. Liczysz się tylko ty i nikt inny. Chcę być z tobą i przy tobie o każdej porze dnia i nocy. Jestem gotowa toczyć bój z każdym, kto by mi próbował w tym przeszkodzić. Chcę ci pomagać, dbać o twoje sprawy i zrobić wszystko, żebyś miał jak największą satysfakcję z życia. Masz być szczęśliwy tak, jak jeszcze nigdy nie byłeś, i jestem pewna, że tak się stanie. Jeżeli jeszcze o tym nie wiesz, jeżeli tego nie czujesz, to zaraz się o tym przekonasz.

Rita zrobiła czuły gest, ale w tym właśnie momencie człowiek, który przez cały czas podążał za nimi, wyłonił się zza skały i całkiem niepotrzebnie stracił parę kamyków. Romantyczny nastrój minął bezpowrotnie. Wstali pospiesznie, zamierzając podjąć przerwana pracę. Zanim zrobili krok do przodu, Krzysztof objął ramieniem dziewczynę, przytulił do siebie ostrożnie jak drogocenny skarb i szepnął, muskając wargami jej ucho:

- Kocham cię. Już jestem bardzo szczęśliwy. Nic nie rób, bądź tylko obok mnie, a ja już się postaram żeby to była miłość, jakiej nikt jeszcze nie zaznał. -Poszli dalej, trzymając się za ręce aż do pierwszego zakrętu wąskiej ścieżki, gdzie natrafili na niewielki fryz z motywem Drzewa Życia. Otaczały go wyjątkowo pięknie wyrzeźbione gryfy. Z pasją zabrali się

do pracy, którą wykonywali starannie, zgodnie z wszelkimi regułami sztuki.

Kiedy przed zmierzchem wrócili do tymczasowej siedziby, czekały ich dwie niespodzianki. Abduh już od progu wołał, że jest list do Krzysztofa. Najpierw wręczył mu kopertę, a potem dramatycznym szeptem zakomunikował:

- Przywieźli z Sany Petera. Jest już w swoim pokoju. Wygląda okropnie.

Rita drgnęła, ale zachowała zimną krew.

- Trzeba go w takim razie odwiedzić. Chodźmy do niego od razu, żeby już mieć to z głowy.

Szli powoli przez patio, odsuwając jak najdalej moment spotkania z nieszczęsną ofiarą wielkiej namiętności. Zapukali ostrożnie. Słyszac cichy głos zapraszający do środka, weszli całą trójką, robiąc przy tym sporo zamieszania. Pytali Carllsona o zdrowie i leki, jakie mu przepisano, o szpital w Sanie i brodatego lekarza, który był tutaj niewątpliwą sławą. Tylko nikt nie śmiał zapytać o diagnozę, jaką mu postawiono.

Peter siedział na krześle przy obskurnym biurku i miał nietęgą minę. Odpowiadał na pytania półsłówkami, spoglądał na Ritę z ukosa, wyraźnie zbierając siły przed podjęciem decyzji. Wreszcie zaczął mówić, jak zwykle cedząc słowa.

- Obawiam się, że sprawiłem wam wiele kłopotu. Bardzo mnie to martwi i zawstydzia. Dziękuję wam za opiekę, za wizyty w szpitalu i smakołyki, jakie od was dostawałem. - Tu zrobił ukłon w stronę Abduha. - Nie jestem jeszcze w dobrej formie, więc musicie mi wybaczyć, że was nie zatrzymuję. Wszyscy zerwali się natychmiast. Krzysztof otworzył drzwi i zamierzał właśnie przepuścić przed so-

bą Ritę, kiedy usłyszał omdlewający głos tłumacza.

- Rito, muszę z tobą chwilę porozmawiać. Zostań, proszę.

Krzysztof zmarszczył czoło, ale zapanował nad sobą i odwrócił się z uśmiechem na twarzy, unosząc w górę brwi. Dziewczyna wymieniła z nim porozumiewawcze spojrzenie i zawróciła od progu. Wyszedł z Abduhem na patio i dopiero wtedy przypomniał sobie o liście trzymanym w ręku. Od razu poznał pismo Anny. Z pewnym zażenowaniem pomachał kopertą i zaszył się w swoim pokoju. Najpierw rzucił przesyłkę na łóżko i zabrał się do lektury jakiejś książki. Nie mógł się jednak skupić. Cały czas myślał o tym, jak się zachowa Peter. Niewiele wiedział o histerykach, ale wyobraźnia podsuwała mu różne koszmarnie scenariusze. Podchodził parę razy do drzwi

i wyglądał na patio, żeby w razie czego w porę zareagować, ale za każdym razem wracał, zaniepokojony przedłużającą się ciszą. Po kwadransie rozerwał kopertę i zaczął czytać.

Kochanie!

Nie mogę się doczekać chwili, kiedy Cię znów zobaczę. Liczyłabym godziny i minuty, gdybym wiedziała, kiedy to nastąpi. Byłam dwa razy w Warszawie, żeby załatwić formalności związane z moim ewentualnym wyjazdem do Jemenu, i przy okazji przymierzyłam suknię ślubną. Sprawilo mi to wielką radość. Wyobraziłam sobie, że stoisz obok mnie wyprostowany, dumny i szczęśliwy. Kocham Cię i gotowa jestem wciąż o tym mówić, a nawet śpiewać, krzyczeć i tańczyć z radości.

Moja ukochana sąsiadka, pani Maria, często do mnie wpada i zawsze o Tobie rozmawiamy. Ale ja

tak niewiele wiem. Nie piszesz, nie dzwonisz, nie depezujesz. Zapewne nie masz kiedy wybrać się do Sany, bo w Maribie może nie być poczty. A ja szaleję z niepokoju. Nie chcę Cię zadrećzać telefonami, bo wiem, że musisz z tego powodu jeździć do gubernatora. Wierzę, że myślisz o mnie rano, w południe i wieczorem i ani na chwilę nie przestałeś mnie kochać.

Czekam na najmniejszy znak, który będzie dla mnie hasłem do wylotu. Wzbiję się w powietrze jak ptak i natychmiast stanę u twojego boku. Kocham, całuję i donoszę, że lipy przekwitły, a słoneczniki beczelnie unoszą głowy w górę, modląc się do słońca, jak ja do Ciebie.

Czekam. Anna

Krzysztof odłożył list z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Co ona we mnie widzi? - zapytał sam siebie półgłosem. - Przecież ja na to nie zasługuję. Co one we mnie widzą?

W tym momencie Abduh uderzył w prowizoryczny gong, co oznaczało, że obiadokolacja jest już na stole. Krzysztof z nadzieją pobiegł do jadalni, gdzie profesorowie i Mike już przysuwali do siebie talerze. Nieco skonsternowany usiadł przy stole i z niepokojem spoglądał na drzwi. Po paru minutach weszła Rita z Peterem, który z wdziękiem wspierał się na jej ramieniu, udając słabszego, niż był w istocie. Usiedli obok siebie, przy czym dziewczyna rzuciła tylko krótkie spojrzenie w stronę Krzysztofa i całą uwagę skoncentrowała na Angliku.

Mike obserwował tę scenę z niepokojem i zręcz-

nie sterował rozmową przy stole, która siłą rzeczy musiała dotyczyć powrotu tłumacza do pracy. Obaj profesorowie cieszyli się bardzo, czemu dawali wyraz w sposób wyjątkowo żywiołowy. Od razu zwolnili Anglika z uciążliwej pracy na terenie wykopalisk. Prosimi, żeby odpoczywał jak najwięcej, a jak już dojdzie do siebie, to odczyta im inskrypcje ze zdjęć. W żadnym wypadku nie musi opuszczać swojego pokoju, chyba że sam tego zapragnie.

Peter był wyraźnie wzruszony okazywaną mu troską.

- Obawiam się, że będę musiał przynajmniej na razie skorzystać z tej propozycji, ale nawet dzisiaj jestem gotów służyć pomocą. - Spojrzał z czułością na Ritę, która nałożyła mu solidną porcję aromatycznego dania, i z apetytem zaczął pałaszować kolację.

Rozmowa zeszła na inne tory. Morrison narzekał na coraz większe wymagania gubernatora i manewry wojska w pobliżu terenu wykopalisk. Z rozdrażnieniem mówił o obserwatorach, którzy stale chodzili za uczestnikami wyprawy, śledząc każdy ich krok.

Nagle wbiegł do jadalni zasapany Abduh.

- Żołnierze kradną żywność! - krzyknął od progu. Profesorowie zerwali się od stołu i wybiegli przed dom. Z tej odległości widzieli wyraźnie oświetlone wejście do baraku, gdzie w jednym pomieszczeniu przechowywali archeologiczne znaleziska, a w drugim zapasy żywności. Wrota budynku były otwarte na oścież. Po chwili zobaczyli dwóch wojaków dźwigających jakąś skrzynkę. Natychmiast chcieli interweniować, ale Abduh powstrzymał ich zapędy.

- To może być prowokacja. Oni są uzbrojeni

i w gruncie rzeczy bezkarni. Nie radzę panom wdawać się w dyskusję z żołdakami. Tu tylko gubernator mógłby coś zdziałać, o ile nie jest z nimi w zмовie. Mogą też wykonywać jego polecenia, a wtedy... - zawiesił dramatycznie głos i rozłożył ręce. - Jedźmy do gubernatora. Zaraz wyprowadzę auto.

Profesorom zrzędyły miny. Obawiali się o los z takim trudem wydobytych rzeźb. Żywność nie interesowała ich specjalnie, niemniej jednak czuli się niewyraźnie w tej zaskakującej sytuacji. Bez słowa wsiedli do terenowego auta i pojechali do osady.

W tym czasie reszta ekipy obserwowała z daleka ruchy wojska w okolicy baraku. Peter ani na chwilę nie oddalał się od Rity. Wciąż chciał być podtrzymywany pod ramię i z wdziękiem pochylał głowę w jej stronę, zaglądając dziewczynie w oczy. Krzysztof chodził z miejsca na miejsce niczym zwierzę w klatce, nie śmiał jednak przerwać tej idylli. Mike z satysfakcją obserwował irytację przyjaciela.

- Ślepy zaułek - rzucił mimochodem po polsku. - Jak sobie z tym poradzisz, mistrzu? - Na widok wścieklej miny szkolnego kolegi wycofał się na bezpieczną odległość.

Po dwudziestu minutach profesorowie wrócili w podłych humorach. Gubernator wyjechał do Sany i nikt nie wiedział kiedy wróci. Byli więc zdani na łaskę wojaków i nic nie mogli na to poradzić.

Morrison chciał iść do dowódcy, ale Shariff nalegał, żeby nie narażać losu całej wyprawy z powodu worka mąki czy też skrzynki butelek z oliwą. Zapewniał, że po powrocie gubernatora wszystko się wyjaśni i unormuje.

- Może są głodni? Może nie wypłacono im w po-

re żołdu? - Snuł domysły, jednak widać było, że mówi to bez przekonania. - A co myśli nasz przyjaciel Abduh, który lepiej zna tutejsze obyczaje?

-Ja? - Jemeńczyk był wyraźnie zaskoczony uprzejmością profesora i wyróżnieniem, jakie go spotkało.

- Ja radzę, żeby wszyscy dokładnie pozamykali okiennice i drzwi. Ja zarygluję te ogromne wrota. Do tej pory mogły stać otworem przez całą dobę, jednak od dzisiaj będę je dokładnie zamykał. Nie umiem przewidzieć, co im przyjdzie do głowy. Może to jednorazowy wybryk. Mogą być pijani. Nikt tego nie wie. Dowódca mógł pojechać z gubernatorem do Sany, a żołnierze robią, co im się podoba. Nie mamy broni, na wypadek gdyby chcieli nas odwiedzić. Może należałoby rozstawić warty i czekać, co z tego wyniknie. Ale i tak nie mamy żadnych szans, żeby się obronić. Więc warty nie mają większego sensu. Jesteśmy zdani na los i na łaskę tych nieodpowiedzialnych młokosów. A zapewniam, fantazji i brawury z pewnością im nie brakuje. Gorzej z rozumem i poczuciem odpowiedzialności.

Profesorowie słuchali z uwagą. Do nich należało ostatnie słowo. Po krótkiej naradzie poprosili Mike'a i Krzysztofa, żeby na zmianę z Abduhem pilnowali wejścia do budynku. Niemal jednocześnie Peter i Morrison krzyknęli:

- Internet! Możemy wysłać wiadomość do Sany!

- Ależ panowie, przecież nie mamy telefonu! - zawołał przytomnie Krzysztof. - Wiadomość możemy nadać tylko z domu gubernatora, jeśli nas tam wpuszczą z komputerem i modemem.

- No cóż, nic nie mamy do stracenia. Trzeba spróbować - zdecydował Shariff. - Pakujcie sprzęt.

Jedziemy.

W domu gubernatora bez większych problemów dopuszczono ich do telefonu. Zadzwonili do głównej komendy miejskiej policji. Funkcjonariusz, najwyraźniej wyrwany z nocnej drzemki, z irytacją krzyzczał do słuchawki:

- Nic nie wolno robić! Nie interweniować! Obserwować i donosić o tym, co się dzieje. A poza tym dlaczego, do diabła, nikt z was nie ma telefonu komórkowego? Jeśli nic się nie wydarzy, to z samego rana jeden z profesorów powinien przyjechać osobiście do Sany, zdać ze wszystkiego relację i odebrać komórkę, którą dostanie w prezencie od komendanta. Że też nikt nie wpadł na pomysł, żeby kupić to proste urządzenie.

Po powrocie do obozu każdy poszedł do siebie. Na patio został Krzysztof, bo na niego spadł obowiązek pełnienia pierwszej warty. Spacerował teraz wzdłuż i wszerz wewnętrznego podwórza, z irytacją myśląc o przedłużającej się wizycie Rity w pokoju Petera. Wreszcie skrzypnęły drzwi i pojawiła się dziewczyna z włosami w nieładzie. Krzysztof jednym susem pokonał spory dystans i stanął przed nią w wyczekującej pozie.

- Co mam o tym myśleć? - zapytał z wyraźnym napięciem w głosie.

- Nic. Przecież widzisz, co on wyprawia. Boję się. Nie mam pojęcia, jak zareaguje na moją stanowczą odprawę. Łapie mnie za rękę, klęka i patrzy z takim wyrazem oczu... jakby zaraz miał paść na ziemię sztywny i nieprzytomny. Może histerycy bywają agresywni? Nic na ten temat nie wiemy. Niewykluczone, że on bardziej zagraża tobie niż mnie. Boję się. Po raz pierwszy mam do czynienia z facetem chorym na nerwy. Niech to diabli wezmą.

- Pozwalasz się całować?
- Ale skąd. Podejrzewam, że jest impotentem, bo ani razu nie próbował wykorzystać sytuacji. Może czekał na moją inicjatywę?
- Nie pleć. Przecież ma dziecko.
- Skąd wiesz, czyje to dziecko? Dlaczego jego żona nie wykazuje żadnego zainteresowania swoim mężem? Przecież jest zawiadomiona o jego załamaniu nerwowym. Pewnie to jakaś zimna ryba albo też ma serdecznie dosyć tego histeryka i z tego powodu ich związek cierpi na chroniczny stan przedrozwodowy.
- Jak długo masz zamiar pełnić straż u jego boku? Przecież to irytujące. Czy on nie pamięta już chwili, kiedy zobaczył cię w moim łóżku? Nic mu to nie mówi?
- Nie wiem, czy pamięta. Nie porusza tego tematu.
- Czyli mamy dwa romanse z jedną damą w tle. Sądzisz, że ja to zniosę?
- Przestań. On jest taki nieapetyczny.

Rita objęła czule Krzysztofa i ucałowała w sam czubek nosa. Szepnęła mu coś do ucha i od razu poszła do jego pokoju. Chłopak jeszcze trochę nadąsa-ny krążył pod swoim oknem, zaglądając co chwilę przez szpary w okiennicach. Kiedy światło zgasło, wziął do ręki latarkę i bawił się nią przez chwilę. Spojrzał na zegarek, potem w rozgwieżdżone niebo, westchnął i przymknął oczy.

Zanim zapadł w lekką drzemkę, usłyszał jakieś skrzypnięcie. Wstał natychmiast i zaczął nasłuchiwać. Z mroku wyłonił się Peter, który poszedł do łazienki, a potem ruszył w stronę pokoju Rity. Zapukał leciutko do jej drzwi raz, drugi i trzeci. Ponieważ nikt nie odpowiadał, poszedł do swojego pokoju i zgasił światło. Krzysztof odetchnął z ulgą.

Żadne odgłosy nie zakłócały ciszy. Żołnierze prawdopodobnie poszli dawno spać. Krzysztof szukał właśnie najlepszej pozycji do drzemki, kiedy przyszedł mu do głowy upiorny scenariusz. Wyobraził sobie, że żołnierze okrążają dom ze wszystkich stron. Zaraz wrzucą granat przez dach i po drabinach wejdą do środka. Był tak zasugerowany tą wizją, że w napięciu zaczął obserwować krawędzie dachu. Już widział wyraźny zarys głowy. Dopiero po chwili, kiedy udało mu się skoncentrować wzrok na jednym punkcie, odetchnął z ulgą. Niepokojący kształt okazał się nieszkodliwym kominem. Niczym niezmacony spokój trwał przez najbliższe dwie godziny. Kiedy Krzysztof znów zaczął zapadać w drzemkę, na patio pojawił się Mike. Zapewne zmiana warty odbyłaby się bez jednego słowa, gdyby przyjaciel nie zapytał:

- Nie masz mi nic do powiedzenia?
- A z czego tym razem mam się przed tobą tłumaczyć?
- Uważaj, teraz ważą się twoje losy. Od spokoju w bazie zależy, kiedy stąd wyjedziesz. Zdajesz sobie **Z** tego sprawę?
- Dość już mam tych pouczeń.
- Wiesz, ilu facetów zaliczyła Rita?
- Nic mnie to nie obchodzi. Zachowaj te rewelacje dla siebie.
- A wiesz, dlaczego to robi?
- Wiem. Przestań już. Wszystko wiem od niej samej.
- Zdajesz sobie sprawę z tego, że potrafi być ordynarna i rzucać mięsem nie gorzej niż przysłowiowy szewc, natomiast przy każdej okazji wszystkim opowiada o tym, jak świetnie jest wychowana. O czym to świadczy?

- Wiem, że jest bardzo źle wychowaną puszczał-ską. Ale to mi nie przeszkadza, rozumiesz? Przestań mnie pouczać. Pamiętasz? Kiedyś przyrzekaliśmy sobie, że żadna baba nigdy nas nie poróżni. A teraz do czego doszliśmy?

- Nie o babę tu chodzi, ale o los wyprawy w pierwszym rzędzie i o mój honor. Poręczyłem za ciebie i jak teraz wyglądam?

- Za Ritę też poręczyłeś?

- Przestań! Ona mnie nie interesuje. Tu chodzi o sprawę między tobą i mną.

- Pogadamy o tym jutro. Jestem bardzo zmęczony. Dobranoc. - Krzysztof poszedł do siebie, położył się w ubraniu obok Rity i natychmiast zasnął.

Z samego rana obudziło wszystkich głośnie kołatanie do drzwi. Gubernator osobiście złożył archeologom wizytę. Krzychał od progu, że w barakach wybuchł bunt żołnierzy, co naraziło cenne zbiory na niebezpieczeństwo. Zabrał obu profesorów na wizję lbkalną i zarządził, że od tego dnia magazyny będą zamykane na klucz. Archeolodzy mogą wchodzić do środka tylko od rana do wieczora. O zmierzchu przyjedzie strażnik i wszystko pozamyka.

Po powrocie do bazy profesorowie byli bardzo przygnębieni. Zbiory wprawdzie nie ucierpiały, ale w magazynie z żywnością prawie nic nie zostało. Najgorszy jednak był nakaz zamykania zbiorów na klucz, co nie dawało im spokoju.

- Więc to był podstęp, specjalnie przygotowane przedstawienie! - sapnął Morrison. - Chcieli poddać kontroli wyniki naszych badań i zrobili to bez większego wysiłku. Przy okazji żołnierze mieli niezłą zabawę.

- Trzeba wysłać kogoś do Sany. Niech sprowadzą pomoc.

Abduh przestępował z nogi na nogę, wreszcie nie wytrzymał.

- To na nic. Oni nie będą się mieszać w lokalne sprawy. A jeśli nawet, to w zupełnie inny sposób, niż panowie myślą. Trzeba zawiadomić policję, to pewne, i na Boga, kupcie telefon komórkowy. Nie pojmuję, że nikt z was o tym nie pomyślał. Czy panowie profesorowie sądzą, że tu panuje średniowiecze? W pewnym sensie tak, ale nie do końca. Od razu zawiozę panów do Sany. Nie traćmy czasu.

Morrison wydelegował Mike'a i Petera do rozmów z władzami, sam zamierzał podjąć przerwane prace i zachowywać się tak, jakby się nic nie stało. W tym dniu Rita miała filmować kamerą wideo ogólny widok miasta i najciekawsze miejsca w ruinach. Wszyscy ruszyli do swoich zadań, a delegacja pojechała do Sany po nowe zapasy żywności i po wsparcie ze strony miejscowej policji.

Krzysztof był w niedobrym nastroju. Chodził wolniej niż zwykle i często popadał w zamyślenie. Jego roztargnienie coraz bardziej przeszkadzało Ricie.

- Co z tobą? - zapytała wreszcie. - Przecież widzisz, że grunt pali się nam pod nogami. Trzeba zrobić jak najwięcej, zanim nas stąd wyrzucą.

Chłopak spojrzał na nią z wyraźnym zniecierpliwieniem. Burknął coś pod nosem i znów popadł w stan nadąsanej nieobecności.

- Jesteś zazdrosny? - indagowała z rozbawieniem Rita. - Naprawdę, kochanie, jesteś zazdrosny?

Krzysztof coraz mocniej zaciskał ręce na skórzanym mapniku. Wreszcie wybuchnął:

- Kto następny? Kogo jeszcze włączysz do zbioru uprzywilejowanych okazów? Oprócz mnie jest jeszcze Mike i dwu profesorów. Kto jeszcze wpadł ci w oko?

- No cóż. - Amerykanka zrobiła niewinną minę i z drwiącym uśmiechem wyrecytowała: - Życie nie jest romanssem, tylko szeregiem romansów. - W tym momencie dotarło do niej, że igra z ogniem. Zanim Krzysztof zdołał wykonać gwałtowny gest, rzuciła pojednawcze słowa: - Masz niewielkie poczucie własnej wartości. Jak możesz myśleć w ten sposób? Przecież kocham tylko ciebie. Czy to dotarło do twojej zakutej słowiańskiej głowy? Przestań! - Podeszła bliżej i wzięła go za rękę. Krzysztof wyrzucał z siebie bezładne słowa i opędzał się od dziewczyny jak od natrętnej muchy. Nie chciał uznać praw Petera. Był wściekły, bo nie zdołał zapanować nad uczuciem zazdrości, a to wprawiało go w jeszcze większą irytację. Nie chciał skrzywdzić dziewczyny, ale gwałtowny ruch ręki świadczył o tym, że przestaje panować nad sobą. Wy tłumaczył Ricie, że nie może skupić się na pracy po nieprzespanej nocy, i zaproponował powrót do bazy. Po krótkiej dyskusji ustąpiła. Szli ledwie widoczną wśród gruzów ścieżką w absolutnym milczeniu.

- Obawiam się, że nie jestem odpowiednim kandydatem na chwilową zabawkę - wycedził Krzysztof, przedrzeźniając Anglika. - Spośród wielu rozmaitych możliwości będę musiał wybrać pracę i skoncentrować się wyłącznie na niej.

- A ten list? Wczoraj dostałeś list, którego z pewnością nie przysłała ci mama. Przyznaj, masz w kraju dziewczynę, może nawet jesteś zaręczony,

a przede mną grasz rolę ognistego kochanka. Ja niczego nie ukrywam. Moje sumienie jest czyste jak łąza. Za to czuję przez skórę tę lwicę, która może lada moment wylądować na lotnisku w Sanie i dopiero wtedy zaczną się igrzyska. Przyznaj, mam rację?

Krzysztof odwrócił głowę w drugą stronę i uważnie studiował horyzont. Milczał. Nie chciał drażnić tego tematu. Stanęli przed domem w chwili, kiedy nadjechał samochód wysłany rankiem do Sany. Podróżnicy wysiedli z auta w świetnych humorach. Już z daleka machali telefonem komórkowym, który połyskiwał w słońcu metalicznym blaskiem.

Policja w Sanie zainteresowała się ich sprawą. Obiecano pomoc, a nawet interwencję u gubernatora. Nic jednak nie mogli poradzić na zamknięcie baraku z bezcennymi zbiorami. Natomiast dyrektor miejscowego muzeum chciał natychmiast zabrać pełne skrzynie i dostarczyć nowy zapas pustych. Peter powstrzymał te zapędy, nie chcąc wchodzić w kompetencje profesorów.

Wyglądało na to, że wszystko wraca do normy, tylko Krzysztof nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Krążył wokół Carllsona, który odzyskał dobrą formę i najwyraźniej zamierzał przy pierwszej okazji skorzystać z nabytych praw. Mike patrzył na zabiegi przyjaciela z dużym zniecierpliwieniem. Przed wyjściem na teren wykopalisk zabrał go do swojego pokoju i po raz kolejny próbował przemówić do rozumu.

Rozmowa trwała dość długo i nic z niej nie wynikało. Krzysztof bronił z uporem swoich praw i zachowywał się agresywnie. Mike w końcu zagroził, że odeśle Ritę razem z jej aparatem do Stanów.

- Toksyczne baby powinny smażyć się we włas-

nym sosie. Niech uwodzi facetów, którzy na to zasługują. Dlaczego dałeś się nabrać na słodkie oczka i pokrętną naturę nimfomanki? Przecież ona ma w swojej kolekcji co najmniej setkę takich idiotów jak ty. W katedrze Morrisona wszyscy o tym wiedzą i nikt nie traktuje jej poważnie. Żaden facet o zdrowych zmysłach nie pokazałby się z nią publicznie. Próbowałem ci to sygnalizować wiele razy, ale ty ogłuchłeś i oślepiełeś doszczętnie. Widzisz, co zrobiła z Peterem? Myślisz, że z nim nie spała?

- Przestań! - Krzysztof poderwał się z miejsca z rękami zaciśniętymi w pięści. - Nie chcę tego słuchać. - Ale musisz! Z porządnych, mądrych facetów robi kompletnych kretynów. Jeden trafia do psychiatry, a drugi zamierza pobić najlepszego przyjaciela. Opanuj się. Dla chwili przyjemności? Przecież żaden z was nie będzie zabiegał o jej rękę. A jeśli nawet, to zapłaci za to wielką cenę i po paru miesiącach zabawy wyląduje na bruku wyciśnięty jak cytryna. Pozbieraj się i dość tych bzdur. Peter z pewnością jeszcze dzisiaj dostanie to, na co czeka, a ty będziesz ostatnim durniem, jeśli zamierzasz walczyć o coś, co na to nie zasługuje.

Krzysztof siedział ze spuszczoną głową, tępo patrząc w podłogę. Wreszcie wstał, bez słowa wyszedł na patio, spojrzął w stronę pokoju Carllsona i bez wahania zapukał do jego drzwi. Zaproszony do środka, wszedł i już od progu zaczął mówić podniesionym głosem:

- Zostaw Ritę w spokoju. Odczep się od niej, słyszysz? To jest teraz moja dziewczyna i jak nie przestaniesz za nią łązić, to...

- Obawiam się, Krzysztofie, że nie wiesz co mó-

wisz. - Peter po swoimu cedził słowa. - Rita sama powinna decydować o tak niesłychanie ważnych dla niej sprawach. Chętnie wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia, ale obawiam się, że w niczym nie będę mógł ci pomóc.

- Czy ty nie rozumiesz, baranie, co tu się dzieje? Przecież widziałeś ją w moim pokoju, na moim łóżku, pod moim prześcieradłem! Nic ci to nie mówi?

Anglik zasłonił uszy rękami i kręcił głową nieprzytomnie, wytrzeszczając przy tym oczy.

- Odejdź! Nie będę tego słuchał! Wyjdź! Precz! -Napierał przy tym całym ciałem na nieproszonego gościa, popychając go w stronę drzwi. Ręce wciąż miał uniesione do góry, bo ani na chwilę nie odejmował ich od uszu

Krzysztof nie powiedział już ani słowa. Nie potrafił też uderzyć człowieka, który podskakiwał histerycznie w dziwnej pozie, a przy tym był zupełnie roztrzęsiony i bezbronny. Z niesmakiem opuścił nieprzyjazny teren i poszedł do swojego pokoju, gdzie padł na łóżko z zamiarem podjęcia absolutnego strajku. Nie chciał nikogo widzieć. Czuł obrzydzenie do pracy i miał pretensję do całego świata. Próbował zebrać myśli, żeby odzyskać spokój, ale nic mu z tego nie wychodziło. Emocje wciąż brały górę. Był urażony, obolały i nieszczęśliwy. Uderzył parę razy głową o drewniany kant łóżka, ale ból nie przyniósł mu żadnej ulgi. Nie mógł wziąć odwetu na Peterze, bo trudno się bić z karykaturą mężczyzny. Wszystkie argumenty wypadły mu z rąk. Wciąż miał przed oczami obraz Rity, nieuchwytniej i tajemniczej istoty, z którą nie mógł dojść do ładu. Nie potrafił zapanować ani nad nią, ani nad sobą. Nie chciał jej

stracić, a jednocześnie czuł, że wymyka mu się z rąk. Nie miał prawa do wyłączności, ale nie zamierzał z nikim dzielić się swoim skarbem.

Nikt nie zauważył nieobecności Krzysztofa, więc chłopak leżał w swoim pokoju nieindagowany przez uczestników wyprawy. Zasnął w końcu w pozycji embrionalnej z ręką pod głową zamiast poduszki. Dopiero gong wzywający na kolację wyrwał go z drzemki i zmusił do opuszczenia pokoju.

7

Następny dzień przyniósł zasadnicze zmiany. Profesorowie mimo pozornego braku zainteresowania doskonale wiedzieli, na co się zanoszą. Zdecydowanie Peter bardziej był im potrzebny podczas badań niż Krzysztof. Tym razem zgodnie zdecydowali, że Rita będzie robiła zdjęcia z Anglikiem, natomiast Polak został przydzielony do pomocy Shariffowi. Gwałtowny protest Krzysztofa został absolutnie zlekceważony. Nawet nie dopuszczono go do głosu.

Po śniadaniu wyszedł wzburzony na patio i w samotności przeżywał swoją porażkę. Mike nawet nie próbował go pocieszać. Przeszedł obojętnie obok przyjaciela, nie zwracając uwagi na jego wściekłą minę.

Rita w ogromnym kapeluszu wyszła ze swojego pokoju i zalotnie pomachała ręką. Podeszła do Krzysztofa i dotknęła jego ramienia z niewinnym wyrazem twarzy. Zajrzała mu w oczy, pytając: - Kochasz mnie, prawda? Nie przestawaj kochać. Wciąż jesteś piękny. Pamiętaj o tym. - Zanim Peter pojawił się w pobliżu, wsiadła do auta i z uwagą przeglądała zawartość przepastnej torby. Anglik już sunął w jej stronę odświeżony, radosny, z butelką wody mineralnej w ręku. Zrobiła mu miejsce obok siebie i wybuchnęła śmiechem, słuchając jego złośliwych komentarzy na temat ostatnich wydarzeń.

Krzysztof z trudem hamował złość. Powstrzymał go jedynie widok profesorów, którzy właśnie wychodzili z bramy. Wsiadł z nimi do terenowego auta, i przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Od rana pracował z pasją i powoli odzyskiwał spokój. Nadzorowanie prac było o wiele bardziej emocjonującym zajęciem od nanoszenia znaków na mapy. Każdy drobiazg wydobyty z gruzów był namacalnym świadectwem życia, jakie kiedyś tętniło w tym miejscu.

Tego dnia robotnicy przebili się do podziemnego przejścia i powoli odsłaniali zarysy jakiegoś pomieszczenia. Shariff nakazał usuwanie gruzu z miejsca, gdzie powinien znajdować się fundament jednej z monumentalnych kolumn. Właśnie tam zauważył zarys jakichś niezwykle fresków.

Krzysztof na zmianę z profesorem wchodzili do coraz głębszej jamy, żeby podziwiać stopniowo odsłaniane fragmenty dziwnej rzeźby. W pewnej chwili Krzysztof zapytał profesora, czy kolumna nie straci równowagi, jeśli robotnicy niechcący naruszą fundament, ale Shariff machnął tylko ręką i z uwagą oglądał wydobyte przed chwilą figurki wotywnie.

Chłopak na wszelki wypadek jeszcze raz wszedł do odsłanianej właśnie tajemniczej komnaty, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wprawdzie widać już było zarys fundamentu kolumny, ale ogromna część tkwiła jeszcze w ciasno zbitej masie gruzu. Uspokojony wskazał robotnikom właściwy kierunek i wyszedł na powierzchnię z dusznej pieczary.

Podczas sjesty powróciły niespokojne myśli. Położył się w nikłym cieniu, oparł stopy na kamieniu i jeszcze raz spróbował przemyśleć wszystko od po-

czątku. Ogarnęło go uczucie irytacji i ogromnego zniechęcenia. Przymknął oczy i szukał w pamięci czegoś, co pozwoliłoby mu odzyskać spokój. I wtedy jak na zawołanie pojawił się obraz Anny. Przesunął ręką po czole, jakby chciał zetrzeć z tablicy niepotrzebny napis. Uczucie przykrości narastało. Nie chciał myśleć o tym, co będzie po powrocie do Polski. Nie umiał jeszcze odpowiedzieć sobie na pytanie, czy będzie kontynuował związek z Anną. Jedno wiedział na pewno. W tej chwili zakochany był w Ricie. Anna powoli ginęła z pola widzenia. Próbował w pamięci odtworzyć rysy jej twarzy i przychodziło mu to z ogromnym trudem. Znów potrząsnął głową, odganiając niewygodne myśli.

Jakieś podniesione głosy wyrwały go z odrętwienia. Robotnicy zawzięcie dyskutowali. Stali w zwartej grupie wokół jednego z nich, który przemawiał jak na wiecu, z rozmachem gestykulując. Słuchacze wydawali pomruki niezadowolenia i co chwilę przerywali mówcy głośnymi komentarzami. Wkrótce rozmowa przemieniła się w bezładną wrzawę. Ręce robotników unosiły się do góry, jedne były zaciśnięte w pięści, w innych pojawiły się wyciągnięte z pochew noże. Kiedy krzyki zaczęły przybierać na sile, chłopak uniósł głowę i zaczął uważniej przyglądać się tej scenie.

Już rano zauważył, że wszyscy pracują wolniej niż zwykle i są czymś podekscytowani. Nie rozumiał ich języka, czuł jednak wyraźnie, że coś się za tym kryje. Spojrzał na Shariffa zajętego oglądaniem jakiejś kolorowej skorupy. Profesor nie odpoczywał nawet w porze sjęsty. Teraz podniósł głowę znad stołu i powiedział:

- Mam wrażenie, że oni rozmawiają o pienią-

dzach. Najwyraźniej gubernator im nie płaci, chociaż otrzymał od nas pokaźną sumę na ten cel. Trzeba to wieczorem wyjaśnić.

- Co on sobie myśli? - Krzysztof skoncentrował swoją złość na gubernatorze. - To bydlak! Oni tak ciężko pracują, a jak nam mówił Abduh, wszyscy od dawna nie mieli żadnej pracy. Przecież to oszust! Rozłóż nam całą robotę!

- Jak na razie, to pan rozkłada robotę. Przecież dobrze widzę, co się dzieje. Niby pracuje pan bardzo sprawnie, tylko po co te afery i romanse. Przecież każdy wie, że bez językoznawcy niewiele zdołamy. Wystarczy nam zmartwień i zagrożeń ze strony gubernatora, wojska i robotników. Wewnątrz obozu powinna panować zdrowa atmosfera sprzyjająca wyteżonej pracy. Czy wyście poszaleli? Upał odebrał wam rozum? Tu musi być spokój!

- I dlatego profesorowie zdecydowali odgórnie, komu ofiarować jedyną kobietę w obozie? Jak to nazwać, profesorze? Nie chcę używać obraźliwych słów, ale...

Shariff uniósł rękę, nakazując Krzysztofowi milczenie i stanowczo zaprotestował.

- Spokój! Proszę nic nie mówić, bo trudno będzie cofnąć niepotrzebne słowa. Nikt tu nie przydziela dziewczyn ani na dni, ani na godziny. Wybieramy tylko optymalne pod każdym względem rozwiązanie z merytorycznego punktu widzenia. Praca musi posuwać się naprzód, a pan wczoraj leniuchował przez całe popołudnie i jak dotąd nikt nie usłyszał stosownych wyjaśnień. Doszliśmy do wniosku, że współpraca pana z Ritą nie rokuje dobrze i tylko dlatego...

- Rozumiem.

- A od siebie prywatnie panu powiem, że szczęście, którego trzeba pilnować przez całą dobę, jest niewiele warte. Kiedyś trzeba się o tym przekonać. Jeśli pan nie radzi sobie ze swoimi problemami, próbujemy rozwiązać je zaocznie. I ostrzegam, to nasza pierwsza i ostatnia ingerencja, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Każecie mi wyjechać?

-Jeśli się okaże, że pańska obecność powoduje więcej szkód niż brak jednego, mówiąc między nami, najmniej potrzebnego współpracownika, to bez wahania podejmiemy taką decyzję. Jest pan tu wyłącznie dzięki Mikeowi, który się przy tym upierał. Nie mamy innego wyjścia. Albo stracimy językoznawcę, albo fotografa, może nawet ich oboje, albo pana wyślemy do ojczyzny. Prosty rachunek, prawda?

- Muszę to przemyśleć - bąknął Krzysztof.

- Tu nie ma o czym myśleć. Albo praca w pełnej koncentracji, albo...

- W porządku. Wszystko jasne. Co mam robić, profesorze? Zawołać już robotników?

Shariff wydał rozporządzenia i na terenie świątyni zapanował ruch taki sam jak przedtem. Krzysztof nie zadawał już zbędnych pytań. Biegał wśród robotników, w skupieniu przebierał wydobyty gruz i odsyłał zbędne kamyki na wyznaczone miejsce. Jama pod kolumną powiększała się z chwili na chwilę. Przed zmierzchem natrafili na zasypane wejście do sąsiedniego pomieszczenia. Trzeba było jednak przerwać pracę, bo nadszedł czas odpoczynku, o czym Jemeńczycy stanowczo przypominali. Auto zabrało parę skrzynek z cennymi znaleziskami prosto do baraku. Gong wzywający na posiłek

odezwał się wcześniej niż zwykle. Podczas kolacji Peter z przejęciem opowiadał o swoich sukcesach. Mimo wyraźnego zakazu poszedł z Ritą do wioski i dogadał się z właścicielami trzech domów. Pozwolono im wejść do środka i zrobić zdjęcia wielu bezcennych inskrypcji. Anglik był bardzo podekscytowany, w związku z czym mówił coraz wolniej. Rita wpadła mu w słowo. Teraz ona zaczęła beładnie opowiadać o nędzy, o wychudzonych dzieciach i szarych twarzach mężczyzn.

- Oni tu cierpią głód! - mówiła z coraz większą egzaltacją. - Dzieci są z pewnością niedożywione. Peter władczy gestem położył rękę na oparciu krzesła dziewczyny i bezceremonialnie odebrał jej głos.

- Udało nam się sfotografować nagrobek kapłana. To musiał być niezwykle ważny człowiek. Poborca podatków, jak wynika z napisu. Teraz płyta służy za stół w ogródku. To sprzęt wyjątkowo nieporęczny i niewygodny, za to z prawdziwego marmuru. Nakrywają go tekturą, żeby kubeczki się nie przewracały na wypukłych literach. A potem znaleźliśmy podmurówkę z przepyszny rzędem półksiężyców. Ta z kolei służy teraz za podstawę schodów. Oto fantastyczne odkrycia dokonane dzięki naszej wspaniałej artystce.

Profesorowie słuchali z najwyższą uwagą. Zadali jeszcze mnóstwo szczegółowych pytań. Carllson odpowiadał, cedząc jak zwykle słowa, ale widać było, że sprawia mu to ogromną satysfakcję. Nikt nie zwracał uwagi na Krzysztofa, który milczał i rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę Rity. Ta z kolei udawała, że niczego nie zauważa, pochłonięta bez reszty zajmującą rozmową.

Nagle do jadalni wbiegł Abduh i bez ceremonii przerwał ożywioną dyskusję.

- Znowu zabierają żywność! Tym razem kradną nasi robotnicy, bo im nie płacą za prace przy wykopaliskach. Co robić?

- A żołnierze? - zapytał Morrison.

- Udają, że nie widzą. Czym was jutro nakarmię?

Shariff zdecydował, że należy zadzwonić do gubernatora. Wziął telefon komórkowy i tubalnym głosem stanowczo zażądał interwencji. Niekoronowany władca nie chciał się tym zająć. Zapytany o pieniądze, mruknął coś o poważnych kłopotach finansowych. Potem stwierdził, że wypłacił ludziom sporą zaliczkę. Wszystkim kieruje wyznaczony nadzorca. To z pewnością on zagarnął większość pieniędzy dla siebie. Zirytowany Shariff zakończył rozmowę i zaczął chodzić po jadalni tam i z powrotem.

- Dziki kraj! Pełna samowola! - pokrzykiwał Morrison. - Nic nie możemy zrobić. Nie mam dodatkowych funduszy na robotników. Co najwyżej z własnej kieszeni mogę dorzucić parę dolarów.

- Mowy nie ma, profesorze - wrzasnął Shariff, który dobrze wiedział, że taki gest zmusi go do podobnej deklaracji. - Zadzwonimy do UNESCO i zażądamy pieniędzy na nieprzewidziane wydatki. Trzeba tylko mądrze wszystko przygotować. To w końcu nie nasza wina. Chyba że cierpi pan na nadmiar gotówki. Zaraz się tym zajmę. A potem mamy dwa wyjścia, albo sami będziemy płacili robotnikom, albo zrobimy na terenie bazy nieduży skład żywności, żeby mieć wszystko pod kontrolą.

- A jeśli zaczną niszczyć nasze cenne zbiory albo napadną na bazę? - wtrącił Morrison.

- Nie róbmy z nich dzikusów. To naprawdę biedni, zdesperowani ludzie. Pogadam jutro z nadzorcą. A teraz do dzieła. Ja zajmę się wysianiem faksu w tej sprawie, wy pójdziecie do ciemni, bo jeszcze dziś chcę zobaczyć te zdjęcia, a reszta ma wolne.

- A żywność? - spytał nieśmiało Abduh.

- Niech kradną. Nie wyglądamy z domu, nie śledzimy, jesteśmy ślepi i głusi. Nie ma innego wyjścia. Morrison pokiwał tylko głową i poszedł do swojego pokoju. Za nim podreptał Shariff. Krzysztof siedział jak przedtem bez ruchu, wpatrując się w deski prowizorycznego stołu. Natomiast Peter był w wyjątkowo dobrym nastroju. Wyprowadził Ritę na środek jadalni i oświadczył:

- Będzie tango. Teraz ja chcę mieć tango, tu i teraz. Bez róży w zębach, za to z tobą w ramionach.

-Uklonił się nisko teatralnym gestem i ruszył w tany ze śmiejącą się Ritą. Tańczył fatalnie, nie wyczuwał rytmu. Tak naprawdę chciał tylko zademonstrować swoje prawa do dziewczyny i wykonać prawidłowo odchylenia od pionu, przy których ostatnio popełnił gafę. Wyglądało na to, że musiał ćwiczyć w pokoju, kiedy go nikt nie widział.

Krzysztof patrzył na tę scenę z najwyższą odrazą, czując się ośmieszony przed Ritą i Mike'em. Zachowanie Carllsona było wręcz prowokacyjne. Czuł się bardzo pewnie.

- *Ostatnie tango w Paryżu* też już przerobiłeś? -zapytał półgłosem Krzysztof.

- Oczywiście - cedził przez zęby Peter. - Bardziej jednak cenię sobie *Kamasutrę*. Znasz to? Wdzięk, wyrefinowanie i prawdziwa sztuka osiągnięcia najwyższej rozkoszy. Cóż może o tym wiedzieć prowincjonalny Słowianin?

Krzysztof zerwał się z miejsca i już prawie wymierzał cios w środek twarzy rywala, kiedy do jadalni wpadł Abduh z telefonem komórkowym w ręku.

- To do Krzysztofa. Dzwonią z Polski.

Chłopak nie zdążył jeszcze ochłonać, kiedy usłyszał radosny głos Anny. Wyszedł na patio, żeby nikt mu nie przeszkadzał.

- Tak, to ja, Anno. Jak mnie tu znalazłaś?

- Potrafię więcej, niż myślisz.

- Słuchaj uważnie, Anno - przerwał jej ostro. - Nie możesz teraz tu przyjechać. Zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Zagroza nam wojsko, robotnicy i tutejszy gubernator. Nie mogę cię narażać. W każdej chwili mogą nas porwać, pozabijać, wykończyć i będą zupełnie bezkarni.

- Posłuchaj, Krzysiu...

- Nie przerywaj. To bardzo ważne. W żadnym wypadku nie wolno ci ryzykować. Masz czekać na mnie w Komorowie. Wygląda na to, że jeśli wyjdę z tego cało, to wrócę o wiele wcześniej, niż przewidywałem. Może to nastąpić lada moment, bo chcą mnie wygryźć z ekipy. Atmosfera okropna, a wszystko skrupia się na mnie.

- Krzysiu, pozwól mi...

- Nie przerywaj! Nie kupuj biletu na samolot, rozpakuj walizkę i zrób konfitury z wiśni, które tak lubię. Lada moment będę z powrotem.

- Narozrabiałaś?

- Ale skąd. Przecież znasz mnie dobrze. Wszyscy są nielojalni, nikt nawet nie próbuje mnie zrozumieć, a ja tak się staram i pracuję za dwóch, a nawet za trzech ludzi. Niekompetencja i brak profesjonalizmu. Przeklinam dzień, w którym podjąłem decyzję

wyjazdu. To był najgorszy pomysł, w jaki dałem się wciągnąć.

- Jednak...

- Zapomnij o Jemenie, o podróży, o wszystkim najlepiej zapomnij i podlewaj róże.

- Uspokój się, Krzysiu. Już za późno!

- Na co za późno? Kupiłeś bilet? To zwróć go w kasie. Straty pokryję z własnej kieszeni. Zrób to z samego rana.

- Za późno, głuptasie. Ja już tu jestem. Dzwonię z Sany. Bardzo się stęskniłam za tobą. Przyjedź po mnie z samego rana.

- Co? - Krzysztof usiadł na ziemi z wrażenia. - To wracaj do Warszawy najbliższym samolotem. I uważaj na taksówki, bo mogą cię porwać. Tu wszyscy chodzą z bronią za pasem. To dziki kraj.

W tym momencie poczuł, jak ktoś wyjmuje mu telefon z ręki. Nad nim stał Mike, który od dłuższej chwili przysłuchiwał się rozmowie.

- Anno, tu Mike. Jutro rano przyjedziemy po ciebie do Sany. Pamiętasz mnie?

- Doskonale pamiętam. Co się dzieje z Krzysiem? Nie poznaję go. Dziwnie ze mną rozmawiał.

- To upał. Nie myśl o tym. Masz kapelusz i okulary słoneczne? Jeśli nie, to wszystko kupimy jutro na targu. Przydałaby się też jakaś lekka sukienka z długimi rękawami. Zajmiemy się tym z samego rana. A teraz idź spać i czekaj spokojnie. Dobranoc.

Kiedy wyłączył telefon, chwycił Krzysztofa za rękę, pomógł mu wstać z ziemi i wycedził przez zęby:

- Obawiam się, że powinienem dać ci w zęby, zalotniku z bożej łaski.

Krzysztof zrobił krok w stronę ściany. Wtulił głowę

w ramiona i skurczył się w sobie. Mimo mroku, jaki panował na patio, widać było jego przerażone oczy.

- Nie wiem, co robić. Pomóż mi, Mike. Wpadłem w panikę. Ona już tu jest. Jeśli po nią nie pojedę, gotowa wsiąść do byle taksówki i jeszcze ją ktoś porwie. A ja... ja nie wiem, co jej powiedzieć.

- Jak to co? Prawdę. Musisz z nią porozmawiać. Nie wiem, jak wygląda twoja prawda, i szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć, ale pojedę z tobą do Sany. I jeszcze jedno ci powiem, jeśli skrzywdzisz Annę, to będziesz miał ze mną do czynienia.

- Może pojedziesz sam? Namów ją do wyjazdu. Niech tu nie przyjeżdża. Niech wraca do Polski. Zrób coś! Pomóż mi! Na miłość boską, ratuj!

Mike spojrzał uważnie na Krzysztofa, odwrócił się i bez słowa ruszył w stronę pokoju Morrisona. Zapukał i stojąc w progu, poprosił o pozwolenie wyjazdu do Sany. Krótko zreferował sprawę, informując profesora o wizycie niespodziewanego gościa z Polski.

- Co ona robi? Czym się zajmuje?

- Studiuje historię sztuki.

- Mądra?

- Bardzo.

- I pewnie ładna? - Morrison zrobił do Mike'a oko.

- To rzecz gustu. Ja uważam, że wyjątkowo ładna.

- Nie widzę żadnego problemu. Jedźcie po dziewczynę z samego rana. Każda para rąk i bystrych oczu jest teraz na wagę złota. Dopilnuj tylko, żeby miała odpowiednie stroje. Nie chcę tu żadnych poparzeń ani uwag robotników.

- Dziękuję, profesorze. - Mike zamknął drzwi i ruszył w stronę kuchni, żeby zawiadomić Abduha o porannych planach. Krzysztof szedł za nim krok w krok.

Na kuchennym stole piętrzyły się talerze po kolacji. Abduh siedział na swoim posłaniu i pisał list. Na widok przyjaciół wstał, przeprosił za bałagan i zaproponował im coś do picia. Na wieść o wyprawie do Sany wydał okrzyk radości. Rzucił zaczęty list i zakomunikował:

- Moja żona spodziewa się dziecka. Muszę wpaść na chwilę do domu. Czyba nie macie nic przeciwko temu?

- Ale skąd. - Mike poklepał Jemeńczyka po ramieniu. - Gratulujemy ci, chłopie. Życzę ci syna, który będzie tak samo zaradny i dzielny jak ty. Mamy do załatwienia parę pilnych spraw w mieście, więc damy ci tyle czasu, ile zechcesz. Tylko zakupy musisz zrobić razem z nami, bo nikt się tak dobrze nie targuje jak ty.

Krzysztof milczał i przestępował z nogi na nogę. Chciał jak najszybciej wyciągnąć Mike'a z kuchni, ale ten rozsiadł się wygodnie i wcale nie zamierzał wychodzić. Wypytywał Abduha o rodzinę, o dom i życie w mieście. Jemeńczyk chętnie opowiadał o wszystkim, wyraźnie spragniony serdecznej rozmowy. W końcu zapytał o gościa z Polski.

Mike bez wahania powiedział, że jadą po narzeczoną Krzysztofa. Abduh zerwał się ze swojego łóżka.

- Jak to? A Rita?

- No właśnie. Rita. Nic nie jest tak proste, jakby się wydawało. Ale to problem Krzysztofa. Albo sobie z tym poradzi, albo nie. Nie możemy mu pomóc. To będzie dla niego egzamin dojrzałości. Musi wyprostować pogmatwane ścieżki.

- A może, Krzysztofie, zostaniesz w Jemenie? Na upartego można tu mieć nawet cztery żony. Trzeba

tylko przejść na islam i mieć dużo pieniędzy. Bo widzisz, to my płacimy rodzinie dziewczyny. Po długich targach dochodzimy do rozsądnego kompromisu. Rodzinie należy się zwrot kosztów, jakie poniosła na wychowanie córki. Wiesz, ilu w Sanie jest kawalerów, których nie stać nawet na jedną żonę? Nie pracują, nie zarabiają i są skazani na samotne życie u boku swojej rodziny. To upokarzające. Ja kiedyś nieźle zarabiałem w Arabii Saudyjskiej, ale potem nas stamtąd przegonili i wszystko się urwało. Zdażyłem w ostatniej chwili zarobić na posag za żonę.

- A skąd ta magiczna liczba? - zapytał Mike. - Dlaczego cztery, a nie pięć?

- Nie wiesz? Tak powiedział Mahomet. Jeśli mężczyzna umie zapewnić utrzymanie czterem kobietom i potrafi wszystkie sprawiedliwie traktować, to ma prawo do tylu żon. Za czasów Mahometa samotna niewiasta miała ciężkie życie. Ona i jej dzieci nie radziły sobie bez męskiej opieki. Podczas wojen ginęło wielu mężczyzn. W ten sposób Mahomet usiłował zadbać o wdowy po bohaterach. Jego słowa są prawem, które obowiązuje do dnia dzisiejszego, tyle, że na cztery żony stać tylko bardzo zamożnych ludzi. Ja mam jedną i z pewnością nie będę mógł sobie pozwolić na drugą.

- A haremy? Myślałem, że można mieć dziesiątki, a nawet setki żon - wyrwał się Krzysztof.

- Kto ci takich bzdur naopowiadał? Oczywiście haremy istnieją, ale na taki luksus może sobie pozwolić jedynie wielki bogacz. On też może mieć tylko cztery żony, natomiast tak zwanych konkubin ile dusza zapagnie. One również są chronione prawem, tyle że ich dzieci nie dziedziczą po ojcu. Dzięki temu

majątki nie ulegają rozdrobnieniu. Ojciec dba o nie, zapewnia im wykształcenie, daje nazwisko, ale majątek zostaje w rodzinie. Widzę, że miałbyś ochotę na takie życie.

- Daj spokój. Nie mogę się uporać z dwiema dziewczynami, chociaż żadna nie jest moją żoną.

-Krzysztof znów próbował naprowadzić rozmowę na nurtujący go problem. - Pomóżcie mi, proszę. Anna nie może tu przyjechać. Nie dam sobie z tym rady. Trzeba ją odesłać do kraju.

- Musisz z nią porozmawiać. Sam zdecyduj, co jej powiesz. - Mike stanowczo obstawał przy swoim.

-Ja nie będę zabierał głosu na ten temat. Wręcz przeciwnie. Słyszałeś, co powiedział profesor? Anna przyda się na terenie wykopalisk i z pewnością będzie to dla niej ciekawe zajęcie. Przyjechała tu z Polski na własny koszt tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć, a ty od razu chcesz ją wypchnąć na lotnisko. To nie w porządku. Musi tu przyjechać. Jeśli ty nie chcesz się nią zajmować, to ja wezmę ją pod swoją opiekę.

-Ale zrozum, Anna to taka niewinna dziewczyna. Z pewnością zasługuje na...

- Pewnie. Boisz się o dom w Komorowie i spadek po Połońskim? O co ci chodzi? Ona nie zasługuje na takiego drania jak ty. Im szybciej się o tym przekona, tym lepiej dla niej.

- Chcesz mi ją odebrać?

- Nie muszę. Ona sama dokona właściwego wyboru. Nie ukrywam, Anna bardzo mi się podoba, ale byłbym gruboskórnym idiotą, gdybym teraz zaczął zabiegać o jej względy. Będzie jej potrzebna opieka i wsparcie, a ja jestem gotów zaofiarować jej każdą pomoc.

- Ty, mój najbliższy przyjaciel, wykręcisz mi taki numer?

- Nie mieszaj do tego przyjaźni. Wykręciłeś już tyle numerów w tak krótkim czasie, że doprawdy nie wiem, na co liczysz. Mimo to wszystko jest w twoich rękach i tylko od ciebie zależy, w którą stronę potoczą się losy Anny. Przysięgam, będę stał na uboczu tak długo, dopóki nie przeciągniesz struny. Potem wkroczę i rozegram to po swojemu.

Abduh przyglądał się chłopcom z zainteresowaniem. Wtrącali do rozmowy polskie zdania, więc tracił wątek i nie mógł nadażyć za nimi. Wreszcie Mike wstał, dając sygnał do wyjścia.

- Masz czas do rana. Przemyśl wszystko jeszcze raz i zrób tak, jak ci sumienie dyktuje. Chodźmy spać! Wyszli na patio. W pokojach profesorów jeszcze paliło się światło. U Rity i Petera było ciemno.

Krzysztof poczuł ukłucie w sercu, ale bez wahania ruszył w stronę drzwi i wszedł do pustego pomieszczenia. List Anny leżał na podłodze. Z koperty wypadło małe kolorowe zdjęcie, którego przedtem nie zauważył. Była to fotografia jego dziewczyny z małym kociątkiem na rękach. Upozowana na *Damę z łasiczką* patrzyła z radosnym uśmiechem wprost w obiektyw. Niesforne włosy jasną aureolą otaczały jej głowę. Krzysztof usiadł ze zdjęciem w dłoni. Był zagubiony i nie mógł pozbierać myśli. Powróciły ciepłe uczucia, jakimi obdarzał jeszcze niedawno swoją narzeczoną. Kochał ją nadal, ale nie umiał wyrzec się Rity.

W tym momencie usłyszał ciche pukanie do drzwi. Zerwał się i otworzył je szeroko. W progu stała Rita w zwiewnej nocnej koszulce.

- Już o mnie zapomniałeś, mój piękny?

Zanim zdołał odpowiedzieć, wspięła się na palce i zaczęła go czule całować. Chwycił ją w ramiona i niechcący zaczepił trzymaną w ręku fotografią o koronkę nocnego wdzianka. Rita odwróciła się i wyjęła mu z rąk mały kartonik. W chwili kiedy rzucała zdjęcie na biurko, dostrzegła kątem oka twarz nieznajomej.

- Co to? Twoja dziewczyna? A więc miałam rację. Narzeczona.

- Hm, tak. Narzeczona. Miałaś' rację. I do tego wszystkiego jeszcze jedna rewelacja. Poznasz ją jutro. Przyleciała do Sany i jedziemy po nią z samego rana.

- Więc to tak? - Rita podeszła do łóżka i odsunęła prześcieradło. - Kochasz ją?

- Sam nie wiem.

- A mnie kochasz?

- Przecież wiesz o tym lepiej niż ja sam.

- Więc gdzie problem? Powiesz jej, jak sprawy stoją, i niech wraca do Polski albo zajmie się Mike'em, Abduhem czy ja wiem zresztą kim. Profesorowie też są do wzięcia. Wystarczy tylko trochę koło nich pochodzić.

- Przestań, to nie pasuje do Anny.

- Panienska z dobrego domu, prawda? Ja też jestem z dobrego domu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Wiem, jak się zachować w towarzystwie. I będę o ciebie walczyła, nie przebierając w środkach. Jeśli o to chodzi, to niech szlag trafi wszystkie dobre maniery. Jesteś mój i z nikim nie zamierzam się dzielić. Chodź tu, stań koło mnie i przytul mnie mocno. Ty kochasz mnie, a ja ciebie i wszystko inne nie ma żadnego znaczenia. Pozwól sprawom toczyć się własnym torem.

- Gdzie byłaś przed chwilą?

- Jak to gdzie? Pod prysznicem. Jesteś zazdrosny, mój piękny? O wodę, która spływała po moich pierśsiach? Nie musisz, chociaż to pięknie brzmi.
- Nie o to chodzi. Wdzięczyłaś się do Petera przez cały wieczór. Na mnie zupełnie nie zwracałaś uwagi. Jakbym dla ciebie był powietrzem. Co mam o tym wszystkim myśleć?
- Daj spokój. Musisz mieć do mnie zaufanie. Od razu zauważyłam, że coś się dzieje za naszymi plecami. Mnie przydzielili do Petera, a ciebie do Shariffa. Wiem, co to znaczy. Jesteśmy na zakręcie. Albo ty, albo ja, albo oboje jednocześnie stracimy robotę. Mówię, jak jest. Nie mogę sobie pozwolić na taki numer. Potrzebuję pieniędzy. A przy okazji nie chcę stracić kontaktu z tobą. Jeżeli teraz wyślą cię do Polski, to możemy się nigdy więcej nie zobaczyć. Rozumiesz? Więc muszę myśleć za nas dwoje i grać wyznaczoną mi rolę.
- To jeszcze nie powód, żeby...
- Milcz! Ani słowa więcej.
- Będiesz adorowana dzień i noc przez Petera, a od czasu do czasu...
- Przestań! On najwyżej może mnie potrzymać za rękę albo pogłaskać po włosach. Nic więcej. To przecież tak niewiele znaczy.
- Dla mnie znaczy więcej, niż myślisz. Dostaję furii na myśl o tym, co się dzieje, kiedy siedzisz w jego pokoju. Przecież to wariat. Sama widziałaś. I to podkreślanie wyłącznego prawa do ciebie. On robi ze mnie idiotę i śmieje mi się prosto w nos. Miałbym

ochotę zmiążyć go jednym ciosem, tak żeby została z niego tylko mokra plama.

- Nie masz powodu do zazdrości. Ani powodu, ani prawa do wypominania mi tych niewinnych gestów. Skup się teraz na czym innym. To ja powinnam być zazdrosna o ciebie. Jutro przyjeżdża twoja narzeczona. Jak mam się czuć w tej sytuacji? Jeżeli jesteś ze mną, będę o ciebie walczyła. Nie ustąpię. Więc jak, jesteś ze mną?

- Chcę być z tobą. Bardzo chcę być z tobą, ale nie chciałbym zranić Anny. Nie wiem, jak to zrobić.

- Zostaw to mnie, chociaż ty też masz tu pewną rolę do odegrania. Musisz to jej powiedzieć. To twoja sprawa, a ja zatroszczę się o resztę.

Długo jeszcze omawiali strategię działania na najbliższe dni. Krzysztof uspokajał się i coraz bardziej nabierał pewności siebie. Teraz już wiedział, że tylko Rita może mu zaofiarować silne wsparcie i ten szczególny rodzaj bezpieczeństwa potrzebny każdemu, kto nie jest pewien własnych uczuć. Zmęczeni rozmową i spokojni o najbliższą przyszłość zasnęli około północy.

Z samego rana Rita ukradkiem wymknęła się z pokoju Krzysztofa tuż przed przyjściem Mike'a.

Abduh wcześniej niż zwykle przygotował śniadanie i już biegał wokół samochodu, którym mieli wyruszyć w drogę. Włożył czystą galabiję, w której prezentował się znakomicie. Widać było, że chce zrobić na swojej rodzinie jak najlepsze wrażenie.

W drodze do Sany usiłował zabawiać pasażerów rozmową, ale chłopcy milczeli i odpowiadali tylko półsłówkami. Kiedy już widać było miasto, Krzysz-

tof zamilkł zupełnie. Był blady mimo opalenizny i wyraźnie wytracony z równowagi. Opracowana nocą przy pomocy Rity strategia teraz straciła swój wdzięk i chłopak czuł się bardziej zagubiony niż poprzedniego dnia.

Auto skręciło w ulicę, przy której stał hotel. Przed wejściem spacerowała Anna w białej sukience. Trzymała w ręku torbę z lnianego płótna. Jasne włosy wymykały się spod kapelusza. Wyglądała wyjątkowo świeżo i ładnie. Kiedy dostrzegła chłopców, jej twarz rozświetlił radosny uśmiech. Biegła na spotkanie lekko, niemal unosząc się w powietrzu. Najpierw padła w ramiona Krzysztofa, który przytulił ją do siebie i zza pleców dziewczyny spoglądał bezradnie na przyjaciela. Potem serdecznie ucałowała w policzek Mike'a i pozdrowiła Abduha.

Zgodnie z obietnicą wysłali Jemeńczyka do jego rodziny, a sami ruszyli na poszukiwanie kawiarenki. Mike powiedział, że ma coś ważnego do załatwienia na mieście i zostawił ich sam na sam przy kawie i miejscowych ciasteczkach.

- Tęskniłam. - Anna wyciągnęła rękę przez stół i dotknęła dłoni Krzysztofa. - Nie mogłam się doczekać. Co tu się dzieje?

Chłopak znów zaczął opowiadać o niebezpieczeństwach, jakie zagrażają wszystkim uczestnikom wyprawy, Anna słuchała z zainteresowaniem, ale nie wyglądała na przestraszoną, zaczął więc opowiadać o ludziach, każdemu przypinając jakąś łatkę. Wyglądało na to, że wszyscy są złośliwi, niekoleżeńscy, niesprawiedliwi i nieznośni. Atmosfera w bazie okropna, a na zewnątrz banda niebezpiecznych szaleńców.

- Chcę być przy tobie, Krzysiu. Trzymając cię za

rękę, niczego się nie obawiam - przerwała mu Anna.

Dopiero teraz zaczął mówić o Ricie, która doprowadziła Anglika do szaleństwa.

- To ciekawe. Chętnie poznam tę niezwykłą osobę. Może nauczę się czegoś nowego. Tobie też przydałaby się odrobina szaleństwa z mojego powodu. To lepsze od niepokoju o moje bezpieczeństwo.

Krzysztof nie zdołał przerazić Anny ani zniechęcić jej do dalszej podróży. Kiedy Mike po godzinie zjawił się w kawiarni, dziewczyna wstała i jak gdyby nigdy nic oświadczyła:

- Chodźmy do hotelu po moją walizkę. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam wszystkich osobiście. A najbardziej interesuje mnie Rita. Jeszcze nigdy nie widziałam dziewczyny, która umie doprowadzać chłopaków do szaleństwa.

Mike uniósł w górę brwi z najwyższym zdumieniem, nie śmiał jednak komentować tego, co usłyszał. Przed hotelem czekał już na nich ogromnie zadowolony Abduh z tobołkiem świeżo wypranych ubrań. Razem pojechali po zakupy, a potem wyruszyli w drogę do Maribu.

Przyjechali w porze sjeisty, kiedy w bazie nikogo nie było. Krzysztof wniósł rzeczy Anny na patio i nie wiedział, co z nimi zrobić. Spoglądał rozpaczliwie na Mike'a, ale ten niczego mu nie ułatwiał. W końcu razem z Abduhem ustalili, że umieszczą Annę w jednym z pustych pokoi znajdujących się w pobliżu wejścia. Zaraz otworzyli okna, Abduh starł kurze, przyniósł materac, koc i prześcieradła, pokazał, gdzie jest łazienka, a potem poszedł do swoich spraw. Mike też gdzieś się zawieruszył.

Anna odświeżona po prysznicu wbiegła do poko-

ju Krzysztofa, pachnąca i promienna jak zwykle. Stała za plecami chłopaka siedzącego przy prowizorycznym biurku, objęła go za szyję i zaczęła całować, szepcząc czułe słowa. Odwrócił się i chwycił ją za rękę.

- Nie jestem ciebie wart. - Zakryła mu ręką usta. -Musimy iść na teren wykopalisk. Przedstawię cię profesorom. Mają jakieś plany związane z twoją osobą. Liczą na pomoc.

- Czy ja mogę się na coś przydać? Przecież tak niewiele umiem.

- Zobaczymy. - Krzysztof wstał i od razu ruszył do wyjścia, bojąc się, że Anna znów będzie chciała przytulić się do niego, co mogłoby doprowadzić ich dalej, niżby należało. Za nic nie chciał do tego dopuścić. - Idziemy. Weź kapelusz, okulary i wodę mineralną z kuchni od Abduha. Czekam na ciebie przed domem.

W drodze na teren wykopalisk beładnie opowiadał o ruinach świątyni, o wielkiej tamie i dziwnych obyczajach miejscowej ludności. Najwyraźniej profesorowie uzgodnili wcześniej swoje stanowiska i plany związane z nieoczekiwanym gościem, bo Sha-riff nawet nie próbował demonstrować swojej niechęci do kobiet. Było wręcz przeciwnie. Przywitał ich serdecznym uściskiem dłoni i osobiście oprowadził Annę, dopuszczając ją nawet do komnaty pod posadzką. Dziewczyna była ogromnie przejęta. W świetle lampy dostrzegła podstawę ogromnej kolumny. Spojrzała pytająco na profesora, ale ten od razu uprzedził jej pytanie.

- Patrzysz moja panno na tę rysę u dołu fundamentów? To nic takiego. One stoją tu prawie trzy ty-

siące lat i byle rysa z pewnością kolumnom nie zaszkodzi.

- Ale tam, na górze, pracują ludzie. I pan, profesorze, też może być zagrożony.

- Uciekłbym stąd od razu, gdyby tu było niebezpiecznie. Nikogo nie narażam, a siebie najmniej. Bądź spokojna, dziecko. Widziałas te dzwoneczki wydobyte dzisiaj z gruzów? Piękne. - Twarz profesora z miejsca stała się uduchowiona. - Jestem pewien, że wkrótce dotrzemy do skarbcza. Chyba nikt tam przed nami nie wchodził. Jest szansa na znalezienie niewyobrażalnych skarbów. Cały świat będzie o tym mówił.

Anna powoli pokonywała podziemny korytarz. Z ulgą odetchnęła świeżym powietrzem w cieniu monumentalnych kolumn, które wyznaczały prostokątny dziedziniec prowadzący na teren świątyni. Dalej był duży okrągły plac otoczony potężnym murem. Słońce zdążyło już rozgrzać kamienne płyty. Wokół panowała niezmacona cisza. Dziewczyna spojrzała w górę, przytrzymując kapelusz.

- To wspaniałe miejsce. Z pewnością mieszkały tu kapłanki, natchnione panny, które przepowiadały przyszłość.

- To raczej byli kapłani. Ale u jakiegoś greckiego podróżnika, który tu dotarł w porę, znalazłem wzmiankę o świętych dziewicach - mówił z przejęciem Shariff, wpatrując się w Annę z wyraźną aprobatą.

Krzysztof przeglądał z uwagą zawartość kosza, wysypaną na duży stół, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Dał znak robotnikowi, który zgarnął ze stołu gruz i odniósł niepotrzebny już nikomu ładunek na wyznaczone miejsce. Potem podszedł do profesora z pytaniem:

- Przyda się panu nowy pracownik?
- Myślałem, że pani przyjechała tu tylko z wizytą. Idźcie teraz do Morrisona. Szczerze mówiąc, tego rodzaju decyzje zależą wyłącznie od niego. Mam nadzieję, że nie będzie się pani tu nudziła. Ruszyli wąską ścieżką pod górę. Anna była zachwycona i szczęśliwa. Szła lekko i przez cały czas z ożywieniem mówiła o swoich wrażeniach. Zza zakrętu wyłoniła się para idąca w ich stronę. Rita obejmowała Petera jedną ręką, a drugą przytrzymywała torbę z aparatem. Na widok Krzysztofa lekko oddepchnęła swojego towarzysza, poprawiła kapelusz i z daleka pomachała ręką.
- To Rita, prawda? - zapytała Anna.
- Tak - odparł wyraźnie zaniepokojony Krzysztof. Nieuchronne spotkanie miało nastąpić już za chwilę i nic nie mogło temu zapobiec. Anna bez większych problemów przeszła na angielski i serdecznie uścisnęła dłoń artystki. Rita obrzuciła ją taksującym spojrzeniem i zwróciła się do Krzysztofa.
- Narzeczona?
- Tak. - Jęknął chłopak.
- No więc, witaj w domu. Zaraz wprowadzę cię we wszystko. To jest nasz językoznawca, Peter. Ukłoń się, Angliku. Przed tobą stoi prawdziwa Słowianka. Krzysztofa już znasz, więc nie muszę go przedstawiać, choć doprawdy miałabym na to ogromną ochotę. - Zrobiła taneczne pas i odwróciła się tyłem do wszystkich. Zaraz jednak zapanowała nad sobą i robiąc niewinną minę, zapytała:
- Kiedy ślub?
- Za dwa miesiące, prawda Krzysiu? - powiedziała niczego nieświadoma Anna.

Chłopak zaczerwienił się po same uszy. Nawet opalenizna nie mogła ukryć jego zmieszania.

- Więc to tak? - drażyla Rita. - A ja myślałam, że *Ostatnie tango w Paryżu* może trwać wiecznie. No cóż. Widzisz, Anno, tych dwóch panów? Zgadnij, który jest do szaleństwa zakochany we mnie?

- To chyba jasne?

- Niezupełnie, moja mała. Zrobimy szybki test na inteligencję. Chyba nawet tym razem nie trafisz do celu.

- Czyżby Krzysztof? - zapytała Anna z wyraźnym zdumieniem.

- Nie zgadłaś. Obaj.

- Żartujesz, Rito. Krzysztof z pewnością powiedziałby mi o tym. Przecież nie jechałabym tak daleko, gdyby...

- Oczywiście, że żartuję. Lubię, kiedy świat wiruje wokół mnie, i jestem zazdrosna o każdego adoratora. Nie martw się, mała. Dobrze zrobiłaś, przyjeżdżając tutaj. Do tej pory byłam jedyną kobietą w tłumie panów. Teraz obie weźmiemy ich w karby i zaczną chodzić jak w zegarku. - Poglądziła Annę po rozwichrzonych włosach.

- Włóż kapelusz, bo dostaniesz udaru. - Anna posłusznie nasunęła kapelusz na czoło i spojrzała na Ritę uważnie. - Umawiam się z tobą na plotki po kolacji. Przyjdź koniecznie do mojego pokoju. Mam jeszcze kropelkę koniaku. Będę czekała. A teraz my idziemy w swoją stronę, a wy w swoją. Pa.

Anna stała bez ruchu, patrząc w ślad za oddalającą się parą. Potem spojrzała pytająco na Krzysztofa.

- Ile w tym prawdy? Powiedz. Mam wrażenie, że jesteś nieco odmieniony. Myślałam o tym przed

chwilą. Zrzucałam winę na klimat, na nowe otoczenie i związane z tym napięcie. Ale teraz zaczynam mieć wątpliwości.

- Przestań, Anno. Nie zwracaj sobie tym głowy i nie wierz w ani jedno słowo tej dziewczyny. Zawsze opowiada niestworzone rzeczy. Tu nikt nie słucha jej paplaniny.

- Peter słucha bardzo uważnie i jest w nią wpatrzony jak w obraz. To on wylądował w szpitalu z miłości do tej panny?

- Tak. To on. Zwariowany histeryk. Czy wiesz, że w Londynie ma żonę i dziecko?

Anna była wyraźnie zgorzona. Przestała pytać

o Ritę, bo dochodzili właśnie do stanowiska Morrisona. Drugi profesor przyjął gościa równie serdecznie, jak pierwszy. Dla nich to był koniec niepokoju w bazie, a przy okazji przybyła im dodatkowa para rąk do pracy. Anna szybko odzyskała równowagę

i z zainteresowaniem słuchała relacji uczonego, który z przejęciem opowiadał o wykopaliskach.

Odesłał ich potem do domu, żeby dziewczyna spokojnie zaaklimatyzowała się w nowym otoczeniu.

Wieczorem przy kolacji wszyscy prawili komplementy Annie. Tylko Peter i Rita byli zajęci wyłącznie sobą. Mike uważnie obserwował Krzysztofa i w końcu doszedł do wniosku, że przyjaciel nie stanął na wysokości zadania i zataił prawdę. Siedział po drugiej stronie stołu, mając doskonały widok przed sobą. Podziwiał naturalny wdzięk Anny, jej uśmiech, pogodne usposobienie i serdeczny stosunek do wszystkich. Od razu zjednywała sobie sympatię i uznanie. Zadawała mądre pytania, słuchała uważnie odpowiedzi i była ogromnie ciekawa wszystkiego, co

dotyczyło wykopalisk. Profesorowie zaakceptowali ją od razu, ukrywając jednocześnie swój nieco lekceważący stosunek do Krzysztofa wyłącznie dlatego, żeby nie urazić dziewczyny.

- Ma pan szczęście - nie wytrzymał w końcu Morrison. - Takich dziewcząt już nie ma. Gdybym był młodszy, to kto wie...

Anna roześmiała się, słysząc te słowa. Rita nie mogła tego nie zauważyć. Podeszła bliżej i położyła rękę na ramieniu rywalki.

- Nigdy nie należy się zniechęcać zbyt wcześnie, prawda moja mała? A swojego chłopaka nie spuszcza z oka ani na moment. Już ja wiem, co on potrafi. Wierz mi, to niezłe ziółko.

Anna znów spojrzała z niepokojem na Krzysztofa i odpowiedziała z wahaniem w głosie:

- On sam wie, co jest najważniejsze, i potrafi odróżnić ziarno od plew.

Amerykanka puściła jej ramię i podeszła do Petera. Teraz już bez żenady okazywała mu względy. Od czasu do czasu sprawdzała jednak, czy Krzysztof widzi, co ona wyprawia.

Widział i zaciskał szczęki ze złości. Nic nie mógł zrobić. Był w pułapce. Mike uśmiechał się z rozmarzeniem, wpatrzony w Annę, czego nawet nie próbował ukrywać ani przed nią, ani przed przyjacielem. Kolacja trwała dłużej niż zwykle. Abduh przygotował wspianiały deser, żeby uczcić przyjazd miłego gościa. Dopiero późnym wieczorem towarzystwo zaczęło powoli opuszczać jadalnię. Carllson od dłuższego czasu próbował wyprowadzić Ritę, ale ona z uporem trwała na stanowisku. Wreszcie wstała i podeszła do Anny.

- Jesteśmy umówione na plotki, pamiętasz?

Anna wstała, gotowa wyjść z nią od razu. Amerykanka rzuciła panom powłóczyście spojrzenie i wyprowadziła swoją ofiarę, z rozmachem zamykając drzwi. W jadalni zapadła cisza. Profesorów już nie było. Została tylko młodzież. Peter lekceważąco spoglądał na swojego rywala.

- Obawiam się, że długo będziesz musiał czekać na narzeczoną. Kto wie, o czym teraz rozmawiają.

Nie palą cię uszy? - Anglik jak zwykle cedził słowa przez zęby.

- Obawiam się, że i ciebie zaczną palić uszy, jak ci je naderwę - nie wytrzymał Krzysztof.

- Spokój, panowie. Skoro sam nic nie powiedziałeś Annie, to teraz jesteś zdany na lojalność Rity. Nie dałbym za to złamanego grosza - powiedział Mike.

Przerzucali się mniej lub bardziej udanymi komentarzami co najmniej przez pół godziny. Nagle ktoś gwałtownie otworzył drzwi. W progu stała Anna. Była blada i wyraźnie wytrącona z równowagi.

Powiedziała tylko dwa słowa:

- Jutro wyjeżdżam! - I pobiegła do swojego pokoju.

- Idź za nią! - krzyknął Mike. - Teraz nie można zostawiać jej samej. Zacznie płakać, może sobie zrobić krzywdę. Nie wiadomo, co ta wariatka jej naopowiadała.

- Nie mogę. Zrób to za mnie. Nie mam jej nic do powiedzenia.

- Ale ona z pewnością chce widzieć tylko ciebie. Ze mną nie będzie rozmawiała. Idź natychmiast, bo zrobię wszystko, żebyś wyjechał jutro razem z nią. Rusz się wreszcie!

Krzysztof siedział jak przymurowany do stołu. Mi-

ke machnął ręką i pobiegł za Anną. Nie było jej w pokoju. Obszedł więc całe patio, zajrzał do łazienki, ale i tam jej nie znalazł. Wybiegł przed dom i zobaczył sylwetkę dziewczyny biegnącej w stronę ruin. Wolał ją, krzyczał, ale Anna na nic nie reagowała. Ruszył biegiem w ślad za nią. Dopędził ją przy tamie, chwycił za rękę i mocno przytrzymał.

- Przestań! Nie można zachowywać się w ten sposób. On nie jest tego wart.

- Wiem, a jednak kocham go nadal i nic nie umiem na to poradzić. Nie mogę tu zostać. Nie chcę na nich patrzeć. Nie chcę rozmawiać z tą ordynarną dziewczyną. Chcę do domu.

Mike otoczył ją ramionami. Płakała jak małe dziecko wtulona w jego rękaw. Szloch wstrząsał jej drobnym ciałem. Chłopak gładził Annę po włosach, po ramionach i plecach z ogromną czułością. Przyjmowała ten gest za wyraz serdecznego współczucia. Jednak Mike oprócz serdecznej troski odczuwał również ogromną radość, trzymając ją w ramionach.

Po chwili wziął ją za rękę i poprowadził ścieżką do bazy. Po drodze tłumaczył, że nie może oddalać się od domu, bo w okolicy nie jest bezpiecznie. Żołnierze z jednostki mogliby ją skrzywdzić. Włóczą się tu również podejrzani osobnicy, którym gubernator zlecił śledzenie każdego członka ekipy. Mogliby nie zapanować nad sobą, widząc samotną dziewczynę.

Wracali razem objęci w pół. Mike otaczał Annę ramieniem, a ona oparła rękę na jego biodrze, odruchowo łapiąc wspólny rytm. Nie pytał jej o nic, tylko spokojnie opowiadał o życiu w bazie i poza nią. Kiedy weszli na patio, Krzysztof z ożywieniem dyskutował o czymś z Ritą pod drzwiami jej pokoju.

Anna weszła do siebie. Na progu odwróciła się i powiedziała:

- Dziękuję ci. Jesteś naprawdę kochany. Szkoda, że muszę wyjechać. Wielka szkoda. Nie mogę jednak postąpić inaczej, bo takie są moje obyczaje.

- Nie cytuj mi teraz wielkich pisarzy, tylko raz jeszcze zastanów się nad moją propozycją. Pokonałaś tyle tysięcy kilometrów i chcesz zmarnować najwspanialsze wakacje w życiu? Machnij ręką na Krzysztofa i Ritę. Zostań tu dla mnie i dla profesorów. Będiesz naszą asystentką. Gwarantuję ci ciekawą pracę i mnóstwo wspaniałych przeżyć. Niczego mu nie ułatwiał. On na to nie zasługuje.

- Pomyślę o tym. Dobranoc, Mike. Spij spokojnie. Nie będę robiła żadnych głupstw. Jestem dorosłą i odpowiedzialną osobą. Wierzysz mi?

- Wierzę.

Drzwi zamknęły się z cichym skrzypnięciem. Po chwili światło zgasło i Mike został sam na ciemnym placyku. Krzysztof i Rita zniknęli z pola widzenia. Wokół panowała cisza. Z kuchni wyszedł Abduh i szeptem przywołał Mike'a do siebie.

- Coś się dzieje w jednostce wojskowej. Był tu jeden żołnierz, z którym jestem trochę zaprzyjaźniony. Chodzą słuchy, że gubernator coś knuje. Jeszcze nie wiem co, ale robi się gorąco. Oni myślą, że wy już wiecie, jak się dostać do skarbów ukrytych w ruinach. Legenda o tych skarbach przekazywana była z pokolenia na pokolenie. Nie mają pojęcia, na czym polegają wykopaliska. Ja już wiem, bo spędziłem z wami sporo czasu. Ale mnie nikt nie uwierzy. Pomyślą tylko, że jestem z wami w zмовie.

- Czy według ciebie może nam coś zagrażać?

- Nie jestem pewien, ale moim zdaniem musimy się mieć na baczności. Może to tylko plotki, jakie krążą wśród znudzonych żołnierzy. Jeśli jednak jest w tym trochę prawdy, to grozi wam ogromne niebezpieczeństwo.

- Chyba przesadziłeś, kochany.

- Obym przesadzał, jak mówisz. Trzeba uprzedzić profesorów. Powinni o tym wiedzieć.

Mike spojrzał w stronę ich pokoi. W oknach było ciemno. Odłożył więc rozmowę do następnego dnia i poszedł spać.

W obozie zapanowała cisza. Lekki podmuch wiatru poderwał z ubitej ziemi odrobinę pyłu.

8

Słoneczny jak zwykle poranek zaczął się od zamieszania. Przy śniadaniu Anna przeprosiła profesorów i zapowiedziała swój wyjazd do Sany. Nie pomogły żadne namowy i zaklęcia. Dziewczyna z uporem obstawała przy swoim. Wytrącony z równowagi Krzysztof miotał się z kąta w kąt i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Mike obiecał, że odwiezie Annę na lotnisko. Patrzyła na niego z serdeczną wdzięcznością, traktując jednocześnie Krzysztofa jak powietrze. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Pożegnała się ze wszystkimi, nawet swojemu byłemu narzeczonemu powiedziała coś w rodzaju „żegnaj” i poszła spakować rzeczy.

Zanim Abduh przygotował samochód do drogi, od strony ruin przybiegł zdyszany nadzorca robotników.

- Chodźcie szybko i weźcie ze sobą telefon. Zaraz dojdzie do strasznego nieszczęścia!

Wskoczyli do samochodu i ruszyli, zabierając ze sobą zdumioną Annę. Od strony świątyni dochodziły krzyki. Na miejscu okazało się, że Morrison po raz pierwszy od wielu dni przyszedł obejrzeć miejsce pracy egipskiego kolegi i na widok odsłoniętych fundamentów kolumny dostał szału.

- To się zaraz zawali! - krzyczał. - Trzeba ewakuować ludzi. Niech nikt nie wchodzi na ten plac!

Proszę natychmiast zabrać stąd robotników!

Shariff był innego zdania. Twierdził, że wystarczy zasypać pękniętą podstawę kolumny i wszystko będzie dobrze.

- Czy pan oszalał? Żadna ekipa budowlana nie podejmie się naprawienia szkód, jakich pan narobił. Tu będą potrzebne dźwigi i ciężki sprzęt, nie mówiąc już o cemencie i kłamrach. W każdej chwili kolumna może runąć w trudnym do przewidzenia kierunku. Stały tu prawie trzy tysiące lat, dopóki nie dobrał się do nich utalentowany Egipcjanin.

Shariff był wściekły, jednak za wszelką cenę próbował zapanować nad sobą.

- Tu nic się nie stanie. Za to dokonałem wielkiego odkrycia. Czy pan słyszy, profesorze? Znalazłem wejście do grobowca! Właśnie pod tą kolumną jest głęboka nisza i podziemie pełne kości i czaszek. Jak tylko poszerzymy otwór, dostaniemy się do środka. Jestem pewien, że za komorą grobową jest wejście do skarbcza. Czytałem przekaz historyczny z tamtych czasów, według którego skarbów pilnowali dostojni zmarli! Tu mamy coś w rodzaju ossuarium, czyli składnicy kości. Jeszcze tylko parę kroków i...

Anna i chłopcy stali w pewnym oddaleniu, patrząc na robotników, którzy z ogromną satysfakcją przysłuchiwali się kłótni profesorów. Robili przy tym miny i machali rękami, przedrzeźniając ich gesty. Nagle ziemia zadrżała, czemu towarzyszył potężny trzask. Naruszona kolumna powoli odchyliła się od pionu, unosząc w górę kawał posadzki i tumany pyłu. Profesorowie odskoczyli na bok. Stojący w pobliżu nich robotnicy, zaczęli z wrzaskiem uciekać.

Kolumna oparła się o sąsiedni filar i przez chwilę tkwiła nieruchomo w miejscu. Kiedy Morrison zro-

bił krok do przodu, następny huk rozdarł powietrze. Fundament drugiego filaru nie wytrzymał naporu. Baza kolumny wyskoczyła w górę, powodując jej upadek na następny filar. Teraz nastąpiło gwałtowne przyspieszenie. Osiem kolumn z hukiem przewracało się po kolei, upadając jedna na drugą. Wybuchom towarzyszył wrzask robotników i rozpaczliwe krzyki profesorów. Piękny portyk z piątego wieku p.n.e. został raz na zawsze okaleczony. Rumowisko roztrzaskanych kolumn powoli wyłaniało się z tumanów pyłu. Jeszcze słyhać było odgłos opadających kawałków gruzu, gdy powietrze przeszły rozdzierający krzyk bólu. Jeden z robotników został trafiony odłamkiem betonu w rękę i teraz krzyczał, jakby go żywcem odzierali ze skóry.

Shariff podbiegł w jego stronę, zdjął koszulę, urwał kawałek materiału i fachowo ucisnął właściwe miejsce. Obandażował rękawem niegroźną na szczęście ranę i kazał zanieść Jemeńczyka do samochodu. Mike i Anna podbiegli, ofiarowując swoją pomoc. Morrison trzymał się za głowę i jęczał głośno.

- Boże, zmiłuj się nad nami! Takie zniszczenia, takie szkody. Bezpowrotna strata. Co za wstyd! Skandal na skalę międzynarodową! Bezcenny zabytek!

Przed wejściem do świątyni z fantazją zahamował samochód gubernatora, w otoczeniu wojskowej świty. Wszyscy wbiegli na placyk, który teraz wyglądał żałośnie. Potrzaskane filary tworzyły artystyczny nieład, który nikomu nie przemawiał do wyobraźni.

- Profesorze Morrison, aresztuję pana w imieniu prawa. To pan jest kierownikiem tych badań?

- Tak, niestety gubernatorze, to ja jestem kierownikiem tego nieszczęścia - powiedział z godnością profesor.

- W takim razie zapraszam do auta. Może pan iść dobrowolnie albo w kajdankach. Wybór należy do pana.

- Pójdę sam. Proszę mi nie pomagać. Takie nieszczęście. Wracajcie do bazy, kochani, i zawiadomcie, kogo trzeba - powiedział do zebranych współpracowników i zgarbiony bardziej niż zwykle poszedł w stronę samochodu gubernatora.

Wszyscy byli wstrząśnięci. Tymczasem z oddalonego stanowiska badań Morrisona zdążyli przybiec Peter, Krzysztof i Rita. Stali teraz bezradnie wpatrzeni w powalone kolosy i próbowali ochłonać z wrażenia. Dopiero po dłuższej chwili ruszyli pieszo w stronę bazy, gestykułując i rozprawiając po drodze. Shariff tłumaczył się gęsto i za nic nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za katastrofę. Wciąż powtarzał, że to nie miało prawa się wydarzyć.

Przez jakiś czas szli za nimi robotnicy z koszami na plecach, wkrótce jednak rozpierzchli się bez słowa pożegnania.

W bazie zapanowała nerwowa atmosfera. Mike przejął kierowanie zespołem, bo Shariff zamknął się w pokoju i w samotności przeżywał swoją klęskę. Zaraz po zawiadomieniu policji w Sanie Mike zarządził zebranie uczestników wyprawy.

W jadalni zjawili się wszyscy oprócz profesora. Anna też usiadła przy stole i z uwagą słuchała, nie włączając się do dyskusji. Mike zaczął mówić o zagrożeniu, nie ukrywając tego, co usłyszał poprzedniego dnia od Abduha. Poważnie brał pod uwagę celowe uszkodzenie fundamentu kolumny przez ludzi wynajętych na polecenie gubernatora. Prawdopodobnie aresztowanie profesora było z góry zaplanowane,

o czym świadczył fakt, że samochód z miejscowym władcą przyjechał do świątyni podejrzenie szybko. Policja w Sanie obiecała natychmiastową interwencję, z góry nie rękując za skutki. Radzili zachowanie ostrożności oraz podjęcie własnych prób negocjacji z tutejszym gubernatorem. Wszyscy zaczęli mówić naraz. Nawet Krzysztof usiłował przekrzyczeć swoich oponentów. Każdy miał inny pomysł na uwolnienie Morrisona. Mike w obecności zespołu zadzwonił do siedziby gubernatora. Wysłuchał spokojnie jakiś wrzasków, po czym zadał kilka rzeczowych pytań. Wreszcie zapowiedział swoją wizytę i zażądał widzenia z profesorem. Kiedy odłożył słuchawkę, gwar w jadalni wybuchł ze zdwojoną siłą. Mike gestem nakazał ciszę i zaczął mówić.

- Jadę tam. Obiecali, że będę się mógł z profesorem zobaczyć. Trzeba przygotować jakieś niezbędne leki i rzeczy. Ale nie za dużo, bo pomyślą, że już pogodziliśmy się z jego długą nieobecnością. Gubernator powiedział, że ranny robotnik jest w ciężkim stanie. Morrisona oskarżono o próbę zamordowania człowieka. Teraz czekają na wieści ze szpitala. Nie wierzę w ani jedno słowo. Peter, pan pojedzie ze mną, na wypadek, gdybym nie mógł się porozumieć z naszym gubernatorem. Muszę rozpocząć pertraktacje. I to od razu.

Abduh już wyprowadził samochód na drogę. Anna weszła do pokoju profesora i uważnie przejrzała jego leki. Z wprawą wybrała środki nasercowe i uspokajające, zapakowała do skórzanej torby podręcznej dwie koszule i ręcznik i wybiegła na patio. Z kuchni wzięła dwie butelki wody, parę owoców i kilka drobnych ciastek. Podała to wszystko Mi-

ke'owi i wyjęła z auta swoje bagaże, które leżały tam od rana. Teraz nie mogło być już mowy o wyjeździe do Sany. Pomachała ręką chłopcom, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Ritą.

- Gniewasz się? Wolałabyś żyć w nieświadomości?

- Nie gniewam się. Jestem ci wdzięczna, ale teraz nie mam ochoty na rozmowę. Wybacz. - Anna przeszła obok, patrząc rywalce w oczy z pogardą i obojętnością. Odwróciła się jeszcze i rzuciła przez ramię: - Uratowałam mi życie. Cóż, każdy ma to, na co zasługuje.

Pobiegła do siebie, żeby włożyć świeżą sukienkę. Po drodze spotkała Krzysztofa. W milczeniu przeszła obok, omijając go wzrokiem. Dopiero w pokoju wtuliła twarz w prześcieradło i zaczęła płakać. Uczucie zawodu i krzywdy sprawiało jej niemal fizyczny ból. Nie było nikogo, kto mógłby ją pocieszyć, pogłaskać po głowie i przytulić. Była małą, bezradną dziewczynką zagubioną na pustyni zapomnianej przez Boga i ludzi.

Po godzinie zapukał do jej drzwi Mike.

- Jak się miewasz, maleńka? - zawołał od progu. - Mam dobre wiadomości. Może jutro wypuszczą profesora. Niewiele mógł mi powiedzieć, bo stale nas ktoś pilnował. Wiem tylko, że chcieli od niego dostać mapę z planami terenu badań. Z pewnością żądali też informacji o bajecznych skarbach ukrytych w ruinach. Biedny Morrison trzyma się dzielnie. Prosił, żeby ci podziękować za leki. Skąd się na tym tak dobrze znasz?

- Moja babcia chorowała na serce. Stąd cała moja wiedza.

- Rozumiem - dodał Mike i zamilkł. Spojrzał na dziewczynę siedzącą na krześle tyłem do okna. Była jeszcze blada, w oczach czaił się smutek, ale widać było, że za wszelką cenę chciałyby to ukryć.

-Widzisz, Anno, w tej chwili nie możesz jechać do Sany. Jest zbyt niebezpiecznie. Rozmawiałem z policją. Powiedzieli mi, że nikt nie powinien wychodzić poza teren bazy, dopóki nie wyjaśni się sprawa Morrisona. Nie ma mowy o żadnych podróżach. Po okolicy mogą wędrować grupy uzbrojonych żołdaków, działających na polecenie gubernatora. Tak mi powiedzieli, malutka, i zamierzam dopilnować osobiście, żebyś była bezpieczna. Musisz z nami zostać jeszcze przez jakiś czas, chociaż nikt nie wie, jak długo to potrwa. Czy to dla ciebie duży problem? Dasz radę?

- Nie martw się. Jestem dorosła. Popełniłam błąd, zbyt szybko obdarzając zaufaniem człowieka, którego prawie nie znałam. Teraz muszę ponieść konsekwencje. Słusznie mi się to należy. Nie chcę widzieć Krzysztofa, ale skoro nie ma innego wyjścia, będę siadała razem z wami do stołu i nikt nie ucierpi z powodu mojej niechęci do jednego ze stołowników. To nie jest w końcu takie ważne. Martwię się o profesora. Musiał przeżyć ogromny wstrząs podczas katastrofy w świątyni. Jeżeli ma kłopoty z sercem, to trzeba mu zapewnić spokój i opiekę. Areszt i śledztwo z pewnością nie wyjdą mu na zdrowie. Niepokoi mnie to tak samo jak ciebie.

- Anno - Mike podszedł i wyciągnął do niej rękę -wierz mi, jestem całym sercem po twojej stronie i dręczy mnie to, że tak niewiele mogę dla ciebie zrobić. Ale jestem obok o każdej porze dnia i nocy. Gdybyś się czuła czymkolwiek zagrożona, przyjdź do mnie bez chwili wahania.

- Dziękuję. - Dziewczyna uścisnęła wyciągniętą rękę i uśmiechnęła się. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- To nieodpowiednia chwila, ja wiem, nie powinienem, nie mogę...

Anna ruchem ręki nakazała mu milczenie, przeczuwając, co Mike chce powiedzieć. Chłopak patrzył na nią z czułością i zachwytem:

- Jesteś czystym światłem - wyszeptał cicho, odwrócił się i wyszedł na patio. Jeszcze przez chwilę słychać było chrzęst kamyczków pod jego stopami.

Rankiem wszyscy zebrali się w jadalni i w milczeniu popijali kawę. Zjawił się nawet Shariff, który po raz kolejny próbował zdjąć z siebie odpowiedzialność za katastrofę, ale nikt nie chciał go słuchać. Mike, jako chwilowy kierownik wyprawy, sprawdzał się znakomicie. Wydawał polecenia, błyskawicznie podejmował decyzje, uspokajał i pocieszał.

Na końcu stołu siedziała trójka milczących obserwatorów. Między Peterem i Krzysztofem był tylko jeden ruchomy punkt - Rita z kubkiem kawy w ręku. Próbowwała rozruszać przygarbionych adoratorów, ale oni nie reagowali na jej prowokacje. W końcu wstała i przysiadła się do Anny.

- No i jak, mała? Zrezygnowałaś z podróży?

- Chwilowo - odpowiedziała dziewczyna zdawkowo, dając do zrozumienia, że nie jest zainteresowana kontynuowaniem rozmowy.

- Wiesz, w dzieciństwie nauczono mnie dobrych manier. Widzę, że ciebie nikt nie dopilnował. - Anna milczała, wpatrzona w kubeczek z kawą. - Myślisz, że śpiam z nimi dwoma?

- Wybacz, Rito, nie interesują mnie intymne szczegóły twojego życiorysu.
 - Nie bądź taka zakłamaną. Ja jestem szczerą do bólu, bo nie mam nic do ukrycia. Żaden z tych facetów nie przekroczył progu mojego pokoju. Nie cierpię rozrzuconych łachów i śmierdzących męskich skarpetek.
 - Z twoich słów wynika, że w dzieciństwie nie byłaś nazbyt pilną uczennicą. - Anna odstawiła kubek z kawą. - Być może miałaś roztargnionych nauczycieli, którzy zapomnieli o wielu sprawach.
 - Chodzi ci o skarpetki?
 - O całokształt, Rito. Wybacz mi, nie chcę być niegrzeczna, ale rozmowa z tobą niczego nie wyjaśnia i niczemu nie służy. Uśmiechnij się teraz, bo nie chcę cię narazić na kompromitację w tym towarzystwie. Niech myślą, że gwarzymy po przyjacielsku. A teraz posłuchaj: nie wchodź mi więcej w drogę, bo przestanę dbać o twoje dobre samopoczucie.
 - Co ty sobie myślisz, smarkulo? - wycodziła przez zęby Amerykanka. - Jeszcze zdążę dobrać ci się do skóry.
 - Doprawdy? Już to zrobiłaś i szczerze mówiąc, jestem ci za to wdzięczna. W gruncie rzeczy uratowałaś moją, jak to mówisz: „skórę” i nigdy nie przestanę cię za to błogosławić. Każdy ma to, na co zasługuje. A przy okazji kup sobie podręcznik dobrych manier i sprawdź, czy w dzieciństwie nie wyrządzono ci krzywdy.
- Rita wydała z siebie coś w rodzaju fuknięcia, odsunęła krzesło z hałasem większym, niżby wypadało, i wstała, potrącając stół. Kubeczek z kawą Anny za-kołysał się niebezpiecznie. Podtrzymany w porę

zręczną ręką, uronił tylko parę kropel ciemnego płynu, które teraz utworzyły na stole niewielką kałużę. Abduh, obserwujący tę scenę z uwagą, natychmiast podszedł z papierowym ręcznikiem w dłoni i wytarł skutki drobnego starcia między rywalkami.

- Myślałem, że krew się poleje - szepnął do Anny. -A tymczasem połała się kawa i trochę jadu kobry. Nagle wszyscy poderwali się od stołu, słysząc pisk opon hamującego przed domem auta. Do jadalni wszedł strażnik, który z szacunkiem holował profesora. Posadził Morrisona na krzesło, przeprosił i natychmiast odjechał w stronę osady.

Bezładnie zadawane pytania zawirowały w powietrzu. W końcu Mike uciszył podniecone towarzystwo i sam zaczął pytać. Profesor był wytrącony z równowagi, ale szczęśliwy z powodu odzyskanej wolności. Mówił o wielogodzinnym śledztwie, które nic nie miało wspólnego z katastrofą w świątyni i zranieniem jednego z robotników. Pytali go głównie o wyniki prac na terenie wykopalisk. Chcieli wiedzieć dokładnie, co oznaczają tajemnicze napisy na kamieniach.

- Peterze, nie powiedziałem im, że tylko pan potrafi to odczytać, bo czułem przez skórę, że od razu pana aresztują. Powiedziałem im, że tworzymy zespół, który może dojść do wiarygodnych ustaleń tylko wtedy, kiedy będziemy mieli odpowiednie warunki do pracy badawczej. Potrzebny nam jest święty spokój i pomoc, a nie utrudnianie życia. Obiecałem im informacje o wynikach badań na bieżąco, zaprosiłem gubernatora na nasze narady naukowe i zrobiłem wszystko, żeby nabrał do nas zaufania. Jego chytre oczka podczas śledztwa unikały mojego wzroku.

- Czy on rzeczywiście jest przekonany o tym, że my szukamy ukrytych w ruinach skarbów? - zapytał Mike.

- Jak najbardziej. Nie obchodzą go nasze wykopaliska. On chce się dostać do mitycznego skarbcza świątyni i z pewnością będzie nas pilnował jeszcze dokładniej niż dotąd. Główny punkt oskarżenia okazał się niegroźny. Zraniony Jemeńczyk szybko odzyskuje zdrowie i nie wnosi skargi. Wszystko zależy od gubernatora. Z jakichś jemu tylko znanych powodów zostałem oczyszczony z zarzutów i wypuszczony na wolność. Katastrofa w świątyni nie obchodzi ich wcale. Nie padło na ten temat ani jedno zdanie, choć między nami mówiąc, stało się coś strasznego. Gdybym był za to w pełni odpowiedzialny, żądałbym dla siebie co najmniej dożywocia.

Mike zreferował swoje podejrzenia. Shariff skwapliwie włączył się do dyskusji. Razem ustalili, że uszkodzenie fundamentu kolumny musiało się stać poza ich świadomością. Egipcjanin gestykulując wołał:

- Sam mówiłem robotnikom, żeby wydobywali gruz w innym miejscu. Ilekroć jednak schodziłem na dół, okazywało się, że kopią pod kolumną. Na pewno byli w zмовie z gubernatorem.

- To już nie ma znaczenia. - Morrison odebrał mu głos. - Ponieważ mamy być pilnowani ze zdwojoną czujnością, zapowiedziałem gubernatorowi, że jutro cała ekipa pojedzie naszym terenowym autem do świątyni, bo zamierzamy nakręcić film dokumentalny w miejscu, gdzie wydarzyła się katastrofa. To ważne. Będą nas z tego potem rozliczali. Rito, pani zabierze kamerę wideo i z samego rana zrobimy parę ujęć,

które być może oczyszczą nas z zarzutów. Kiedy odpocznę, zrobimy przegląd naszych dotychczasowych zdobyczy. Dziś mamy święto. Nie wychodzimy na teren wykopalisk. Każdy zbiera swój dorobek i przynosi do mojego pokoju. Wieczorem, po kolacji odbędzie się narada. A teraz dziękuję wam za pomoc, troskę o moją osobę i skuteczne działanie.

Przez cały dzień uczestnicy wyprawy snuli się po niewielkim patio, zaglądając do różnych pokoi. Jedni siedzieli przy komputerach, przegrywając dane na dyskietki, inni porządkowali zebrane materiały. Skanery u obu profesorów pracowały na najwyższych obrotach. Tylko Anna nie mogła sobie znaleźć miejsca. W drodze do kuchni po kolejną butelkę wody mineralnej niechcący zderzyła się z Krzysztofem.

- Wybacz mi - powiedział cicho. - Wybacz i zrozum.

Przeszła obok niego, udając niczym niezmaconą obojętność. Miała ochotę zadać mu wiele pytań, żeby zrozumieć, dlaczego ich miłość zanikła bez śladu tak szybko. Czowała jednak, że taka rozmowa sprawi jej tylko ból i niczego nie wyjaśni. Trzeba te pytania zostawić bez odpowiedzi, odsunąć na krańce świadomości i zająć się czym innym. Kiedyś przestaną ranić i odejdą w niepamięć.

Anna weszła do swojego pokoju, zwinęła się w kłębek na łóżku i zaczęła toczyć ze sobą zaciekle spór. Zmęczona i zniechęcona zasnęła nie wiadomo kiedy. Obudził ją dopiero gong wzywający na kolację. Przed deserem przygotowanym w dniu dzisiejszym ze szczególną starannością Abduh pochylił się nad Morrisonem i długo mu coś tłumaczył na ucho. Profesor zbladł i zarządził ciszę.

- Spokój! - krzyknął stanowczo, wywołując powszechne zdumienie, bo nigdy nie pozwalał sobie na despotyzm. - Cisza! Abduh powiedział mi właśnie coś niesłychanie ważnego. Nie możemy tego lekceważyć. Mów, przyjacielu. Stań tu przy mnie i powiedz głośno to, co mówiłeś mi przed chwilą na ucho.

- No więc, tak - zaczął niepewnie Abduh. - Mam tu takiego dalekiego krewniaka. Służy w wojsku stacjonującym w barakach. Kiedy państwo jedli kolację, wpadł do mnie i powiedział, żebym przed świtem dał stąd nogę. Uciekł, znaczy się. Do jednostki dotarł rozkaz, że rano mają nas porwać. Nas, to znaczy was. Beze mnie, jeśli w porę ucieknę. Ma być ostro. Czyszczą teraz broń. Gubernator chce mieć albo wszystko, albo nic. Zamierza torturować ludzi, żeby wydobyć informacje o skarbach. Z całą pewnością nikt nie wyjdzie z tego żywy. On nie chce, żeby wiadomości o skarbie dostały się w niepowołane ręce. Nikogo nie zamierza oszczędzić. Będzie prowadził śledztwo aż do skutku, a potem na pustynię i kula w łeb.

- A skąd wiesz, że twój kuzyn nie zmyśla? - zapytał Mike.

- Możecie mi nie wierzyć. U nas obowiązuje solidarność rodzinna. On miał obowiązek ostrzec mnie w porę. Zresztą, to kuzyn mojej żony. Gdybym zginął, jego rodzina musiałaby wziąć na utrzymanie moje dzieci. Powtarzam, nie musicie mi wierzyć. Ja w tej chwili złamałem obowiązujące mnie zasady. Powinienem milczeć, a nocą uciec ukradkiem i nie zawracać sobie tym głowy. Mogłem nawet odjechać samochodem, zostawiając was na łasce gubernatora. Ale między wami jest parę osób, które szczerze polubiłem i nigdy bym sobie nie darował tego, że skazałem na

śmierć przyjaciół, nie ostrzegając ich w porę.

- Przyznaj się, dbasz o swoją pensję, której nie miałby kto wypłacić? - wtrąciła cynicznie Rita, ale zebrani natychmiast ją uciszyli.

- Myli się pani. Pieniądze są ważnej nie przeczę, ale najważniejszy jest honor. Chcę wiedzieć, profesorze, co zamierzacie zrobić. Jestem z wami i po waszej stronie. Jeśli jednak zamierzacie tu zostać, to śniadanie musicie zrobić sobie sami.

- Dzwonimy do Sany. Muszą przysłać pomoc! - zawołał Krzysztof.

- Po co, dlaczego? - wtrącił Shraiff. - Jakie mamy dowody? Kuzyn z kuzynem porozmawiał w kuchni, a my z tego powodu wzywamy oddział wojska? Nikt nam nie uwierzy. Jesteśmy w głupiej sytuacji.

- I jeszcze jedno - wtrącił Abduh. - Jeśli do tutejszej jednostki dotrze informacja o tym, kto was uprzedził, to mój kuzyn może to przypłacić życiem i zapewne ja także. Zaryzykowałem dla waszego bezpieczeństwa i liczę na to, że nikt mnie nie zdradzi.

Morrison z podziwem popatrzył na Abduha, potem objął go serdecznie i przytulił do piersi. Lampa pod sufitem zakołysała się od podmuchu wiatru, który wtargnął do pokoju. Wszyscy byli wzruszeni tą sceną. Kiedy doszło do wzajemnego poklepywania się po ramionach, co oznaczało koniec braterskiego uścisku, podniosła ciszę zmaciły pewne obawy pytania.

- Co robimy, profesorze? Jak teraz z tego wybrnąć? Co nas czeka?

- Spokój! - krzyknął Morrison - Nie czas na uzalanie się nad sobą. Musimy się stąd wydostać i uchronić bezcenne materiały, bo nie wiadomo, kiedy następna ekipa podejmie badania w tym miejscu.

Na

szczęście wszystko już mamy na dyskietkach. Zrobimy tak. Dziś jeszcze każdy przygotowuje małeńki podręczny bagaż. Tylko niezbędne rzeczy, a więc paszporty, karty kredytowe, trochę dokumentacji i odzież na zmianę. Rita bierze kamerę i filmy, Anna też coś dostanie. Reszta rzeczy zostanie na miejscu. Lepiej pożegnać się z nimi raz na zawsze. Życie jest cenniejsze. Rano wsiądziemy do auta, kobiety w środek, i ruszamy w stronę świątyni. A kiedy uda nam się ominąć wojsko, popędzimy ile sił w motorze prosto do Sany. Nie widzę innego wyjścia.

- Będą strzelać - ostrzegł Abduh.

- Bardzo dużo zależy od twoich umiejętności. Musisz wyczuć moment, kiedy wrzucić następny bieg, żeby się za wcześnie nie zorientowali. Wszystko w rękę Boga. Jeśli opatrzność czuwa nad nami, to wyjdziemy z tego cało. A teraz do roboty.

Krzątania na patio trwała bardzo długo. W jadalni ustawiano podręczne torby, przydzielone każdemu z osobna. Wszystko, co najważniejsze, było już spakowane. Nikt jednak nie kładł się spać, bo strach i podekscytowanie spędzały sen z powiek. Mike wpadł na chwilę do Anny.

- Słuchaj, płomyczku - zwrócił się do niej czule i przytulił do siebie ostrożnie. - Bardzo się boję o ciebie. Pamiętaj, siedzisz w środku i na dany znak padasz na podłogę. Ma ciebie nie być. Słyszysz? Żadnego podnoszenia głowy, dopóki nie odwołam alarmu. Wszystko się dobrze skończy, zobaczysz. Wyjdziemy z tego cało. Będzie co opowiadać wnukom. - Roześmiał się nerwowo i pocałował Annę w czoło. Potem wyszedł, żeby jeszcze raz sprawdzić, jak przebiegają przygotowania do ewakuacji.

jadalni siedzieli obaj profesorowie i nerwowo popijali wodę mineralną. Shariff oparł głowę na rękę i wodził wzrokiem po ścianach. Pokryte wapnem deski były lekko przykurzone. W rogu pajak pracowicie powiększał swoją sieć, nie zwracając uwagi na panujące wokół zamieszanie.

- Pracowita bestia - powiedział profesor i wskazał ręką misterną pajęczynę. - A moja robota poszła na marne. Już byłem tak blisko epokowego odkrycia. Akurat dzisiaj przyszła odpowiedź z UNESCO.

Mają dla nas dodatkowe fundusze. Teraz to bez znaczenia. - Machnął ręką i wypił następny łyk wody.

- Jeśli istnieje życie pozagrobowe, to królowa Saba zapewne teraz się cieszy. Skutecznie przeszkodziła mi w pracy.

- A może jest zupełnie inaczej? - wtrącił Morrison. - Niewykluczone, że czuwa nad nami i zechce jutro udzielić nam wsparcia. Jeżeli wyjdziemy z tego cało, to...

- Myśli pan, profesorze, że ona mogła mieszkać właśnie w tym mieście?

- To możliwe. To nawet całkiem możliwe. Na moim stanowisku dotarłem do ogromnych magazynów. Nie wiadomo, co tam przechowywano. Jeśli jednak były to słynne wonności, należy przypuszczać, że mieszkał tam wielki bogacz. Miliarder na dzisiejsze warunki. Musiał być kupcem dysponującym niesłychanymi możliwościami finansowymi. Takich rezydencji na wzgórzu są setki, a może nawet i tysiąc, jeśli nie więcej. Opis w Biblii jest chyba nieco przesadzony, ale kto wie, to niewykluczone, że władczyni mogła dysponować ogromnymi skarbami, jeśli żyła właśnie tu, w mieście Marib. Przecież tutejsi kupcy docierali do żyznych okolic w promieniu dwustu, trzystu kilometrów. Sprowadzali stamtąd wszystko, czym mogli han-

dłować z ludźmi żyjącymi na północy Półwyspu Arabskiego. Jeśli do tego dodać towary sprowadzane z Indii, to już nic więcej nie trzeba. Królowa Saba mogła wyruszyć do króla Salomona z darami, których wartość przekracza naszą wyobraźnię.

- No tak - westchnął Shariff. - Mogliśmy dokonać epokowego odkrycia. Przez to całe zamieszanie straciliśmy niepowtarzalną okazję. Ale miejscowy gubernator też nie będzie miał z tego żadnego pożytku. Katastrofa na długie lata pogrzebała wejście do grobowca, a więc i skarbiec, o ile tam był w istocie.

- Ja również wszystkiego nie zbadałem - wtrącił Morrison. Myślę, że miał tam pracownię jakiś miejscowy specjalista od figurek wotywnych. A może to był domowy ołtarzyk? Teraz już się tego nie dowiem. Wczoraj dotarłem do wewnętrznych drzwi. Któż może wiedzieć, co było w następnym pomieszczeniu? Szkoda, że akurat w tym momencie musimy zakończyć prace wykopaliskowe. Wielka szkoda.

- Nie było czasu na dokładne zbadanie pozostałości ogromnej tamy. A to mogłoby mieć dla nas istotne znaczenie - mówił dalej Shariff. - Tama piętrzyła ogromne ilości wody. Czy pan próbował wyobrazić sobie tę katastrofę? Wyłom w ścianie tamy musiał wywołać falę uderzeniową, która zapewne dotarła na wysokość dwu trzecich wzgórza. Mieszkający tam ludzie i zwierzęta nie mieli żadnych szans na przeżycie. Prawie wszystkie domy do tego poziomu zostały dosłownie w ciągu paru chwil zalane i w poważnym stopniu uszkodzone. Przeżyli tylko ci, którzy mieszkali najwyżej.

- Zaraz, zaraz! - zawołał Morrison. - To znaczy, że zarówno świątynia, jak i badany przeze mnie dom znalazły się pod wodą. Czy pan wie, profesorze, co to

znaczy? Gdybyśmy dotarli głębiej, do piwnic albo do podziemi, moglibyśmy natrafić na pomieszczenia nietknięte ludzką ręką od tamtego czasu. Garstka ludzi, sto, no powiedzmy dwieście, a nawet trzysta osób, nie mogło zabrać stąd wszystkiego, co nadawało się jeszcze do użytku. Z pewnością brakowało zwierząt, które były niezbędne do dźwigania ładunku.

- No tak! Ma pan rację! Jeśli nawet plądrowali zrujnowane domy po opadnięciu fali, to nie mogli zabrać wszystkiego. A fala była tak silna, że zmyła orną ziemię w promieniu kilkunastu kilometrów. Reszta zamieniła się w pustynię, kiedy w kanałach zabrakło wody.

- Ale - wtrącił Morrison - wieść o katastrofie szybko się rozniosła po bliższej i dalszej okolicy. Z pewnością przez wiele lat przyjeżdżali tu poszukiwacze łatwych zdobyczy i dokładnie przetrząsali cały teren. Mimo to mam nadzieję, że zostały jakieś nietknięte piwnice i składy zasypane przez gruzy.

- Ale my już tego nie sprawdzimy. Nie tym razem, niestety. Mam jednak nadzieję, że uda nam się wrócić tu kiedyś i dokończyć rozpoczęte dzieło.

- Życzmy sobie tego nawzajem, profesorze - dorzucił Morrison. - Trzeba mieć nadzieję, że nie wszystko stracone. Teraz musimy się skupić na dniu jutrzejszym, żeby w bezpieczne miejsce przewieźć naszą młodzież i cenne wyniki badań. Szkoda mi trochę mojego komputera. Niby martwy przedmiot, a jednak przepracowaliśmy razem wiele godzin. Na szczęście twardy dysk udało się wyjąć z mojego biedaka bez przeszkód. Teraz muszę go porzucić na pastwę losu. Czuję się tak, jakbym opuszczał żywe stworzenie.

- Dostanie pan nowy służbowy komputer od swojej uczelni. Proszę się nie martwić. Teraz najważniej-

sze jest to, żebyśmy wyszli z tej afery cało. Reszta nie ma większego znaczenia.

Profesorowie gwarzyli jeszcze przez godzinę w idealnej zgodzie. W obliczu nieoczekiwanego końca wyprawy znaleźli wspólny język i zapewne mogliby zostać przyjaciółmi, gdyby nie to całe zamieszanie.

Do jadalni wszedł Abduh. Teraz pozwalał sobie na bardziej bezceremonialny sposób bycia. Przetarł ścierką stół, potem oparł dłonie na blacie stołu i spojrzał na profesorów.

- Panowie, ja muszę się upewnić. Żadnych zmian nie będzie, prawda? Ruszamy zaraz po śniadaniu?

- Oczywiście. Niczego nie zmieniamy. Pana również musimy prosić o zostawienie tu swojej torby podróży. Nie można wzbudzać żadnych podejrzeń. Bagażnik jest niewielki. Zmieszczą się tam tylko pudła z dyskietkami, twardy dysk i kilka drobiazgów.

- A co będzie, jeśli przestrzelą nam oponę? - rzucił z niepokojem Shariff.

- Niech pan natychmiast wypluje te słowa. Wszystko w ręku Boga. Musimy mieć nadzieję, że nie trafią ani w oponę, ani w żadnego człowieka. Ja dziś jeszcze pomodłę się za pomyślność naszej ucieczki, a i panom radzę porozmawiać z waszym Bogiem.

- Zrobimy to z pewnością. - Morrison podniósł się z trudem i ruszył w stronę wyjścia. - Musimy sobie z tym poradzić. Potrzebujemy dużo szczęścia. Dobranoc panowie. Obyśmy jutro wieczorem znów mogli sobie życzyć dobrej nocy.

Światła w pokojach gasły po kolei. Peter snuł się jeszcze w pobliżu drzwi Rity, ale nie śmiał zapukać. W końcu zrezygnował i poszedł do siebie. Ostatni dzień pobytu w mieście Marib dobiegł końca.

9

Już o świcie ekipa zebrała się w jadalni. Wymięte twarze świadczyły o tym, że nikt tej nocy nie zmrużył oka. Pospiesznie pili kawę, rezygnując ze śniadania, bo Peter swoim omdlewającym basem przypomniał, że postrzał w wypełniony jedzeniem brzuch może być śmiertelny. Rita bez makijażu wyglądała okropnie. Azjatyckie kości policzkowe były bardziej widoczne niż zwykle. Przetłuszczone rzadkie włosy spadały na czoło, odsłaniając skórę czaszki. Tylko ciemne oczy żywo przeskakiwały z jednej osoby na drugą, szukając ratunku w chwili najwyższego zagrożenia.

Abduh już dolewał benzyny do baku i sprawdzał gaźnik. Uczestnicy wyprawy zdenerwowani, spięci do granic wytrzymałości wsiadali do auta po kolei. Otwarty samochód terenowy przeznaczony dla sześciu osób, z trudem pomieścił siódmkę. Annę usadowiono niżej, na stopach pozostałych pasażerów. Rita demonstrowała kamerę filmową, żeby każdy nawet z dużej odległości mógł się zorientować, jaki jest cel ich podróży. W oddali widać było oddział żołnierzy na wielbłądach. Z pewnością obserwowali ich przez lornetki.

- Tylko proszę zachowywać się naturalnie - przypomniał profesor. - W imię boże, ruszamy!
Auto powoli potoczyło się po drodze, wzbijając tuman kurzu. Teraz musieli wyminąć oddział żołnierzy,

którzy odcinali ich od drogi prowadzącej w stronę SaI ny. Tuż przed szosą wznosiło się wzgórze ze świątynią i monumentalną tamą. Żołnierze byli coraz lepiej widoczni. Nie wiadomo, jakie mieli rozkazy, ale Abi duh musiał ryzykować. Wjechał w sam środek stada wielbłądów. Wojacy uśmiechali się szyderczo z wysokości swoich wierzchołków. Uważnie badali wzrokiem wnętrze auta. Nie było tam jednak niczego podejrzanego, prócz Anny usadowionej w dziwnym miejscu. Abduh powiedział coś do dowódcy i wskazał na kamerę. Rita od razu uruchomiła aparat i zaczęła filmować dowódcę i wojsko. Na dany znak żołnierze zrobili przejście i samochód powoli wyjechał ze strefy zagrożenia. Krzysztof i Peter przyjaźnie machali rękami do żołnierzy, którzy niespiesznie podążali ich śladem.

- Abduh, powoli przyspieszaj - powiedział Morrison. - Jeszcze jesteśmy w zasięgu strzału.

- Muszę uważać. Dodam gazu, kiedy na chwilę znikniemy za ruinami, żeby za wcześnie nie poznali naszych zamiarów.

- Masz rację. Już wyciągamy mosiężną płytę z bezcenną inskrypcją, żeby zakryć twoje plecy i głowę. Niestety, tylko ty nie możesz się całkiem schować. Teraz wszyscy muszą pochylić głowy, a panowie będą osłaniali Abduha tym mosiężnym pancerzem. Ruszaj i nie rozglądaj się na boki!

Jemeńczyk wrzucił trzeci bieg i wcisnął gaz do dechy. Zmęczony życiem samochód wydał z siebie potężny jęk i posłusznie zerwał się do biegu na granicy swoich możliwości. W bocznym lusterku Abduh obserwował reakcję żołnierzy. Oddział od razu ruszył w pościg za nimi z bronią ustawioną do strzału.

Pierwsze kule zaczęły padać tuż za samochodem.

- Szybciej! - krzyczeli wszyscy, kuląc się za plecami kierowcy.

- Nie da rady! To stary grat! Spokojnie, wielbłądy nas nie dogonią.

Następne kule zaczęły wyprzedzać samochód lub padać tuż obok niego. Jedna trafiła w klamkę od drzwi, które otworzyły się i zwisały teraz z boku, uderzając rytmicznie w karoserię.

- Szybciej! - wrzasnął Shariff. - Zaraz nas wybiją jak kaczki!

Kula trafiła w uszkodzone drzwi auta i odbita rykoszetem zraniła Petera w ramię. Shariff założył mu fachowo opatrunek uciskowy, ale krople krwi spadły na sukienkę Rity.

- Obawiam się, że jestem ranny - powiedział Anglik Wyglądało na to, że zaraz zemdleje. Anna otworzyła butelkę z wodą i pokropiła jego twarz.

- Dziękuję - jęknął cicho i zamilkł. Strzelanina za nimi nie milkła ani na chwilę. Kule coraz rzadziej docierały w pobliże auta, co oznaczało, że odległość między uciekinierami i oddziałem żołnierzy stale się powiększa. Mike, siedzący obok kierowcy przechylił się w stronę Anny, wziął ją za rękę i nie puścił, aż do chwili, kiedy Abduh krzyknął zwycięsko:

- Jesteśmy uratowani! Już nas nie dogonią! - Z radości uniósł ręce, puszczejąc kierownicę. Auto trafiło na jakiś kamień i o mało nie wypadło z szosy. Abduh błyskawicznie zapanował nad sobą i nad pojazdem.

- Chwała Bogu, że nie trafili w oponę. Byłoby po nas.

- Jak nie będziesz uważał, to zaraz złapiemy gumę i natychmiast nas dogonią! - zawołał profesor, siadając znów w normalnej pozie.

Potem wyprostował się Krzysztof podtrzymujący Ritę i ranny Peter. Tylko Anna została na swoim miejscu. Mike zaproponował, żeby przeszła do przodu, robiąc jej miejsce obok siebie. Wszyscy pomagali w tej przeprowadzce, żeby dziewczyna podczas szybkiej jazdy nie wylądowała na drodze. Odetchnęli z ulgą, bo nawet tak niewielki ciężar na stopach podczas pokonywania stu kilometrów byłby niewątpliwie uciążliwy.

Podmuch wiatru rozwiewał siwe włosy profesorów, przeczesywał niesforną czuprynę Anny i posklejane potem kosmyki Rity. Siedzieli wyprostowani, odczuwając ogromną ulgę i radość. Mike objął ramieniem Annę i szepnął jej do ucha:

- Warto żyć dla takiej chwili, maleńka. - Przytulił ją do siebie, a ona położyła głowę na ramieniu chłopca. Wiatr poruszał jej włosami, które delikatnie muskały twarz Mike'a.

Dotarli do Sany, nie napotykając po drodze na żadną przeszkodę. Na policji już na nich czekano. Poszły w ruch telefony, faksy i telegramy. Uratowanych niemal cudem członków wyprawy umieszczono w hotelu, dając im dla ochrony paru funkcjonariuszy. Następnego dnia mieli rozjechać się po świecie, każdy do swojego kraju.

Teraz jednak czekały ich przesłuchania i spotkanie z dziennikarzami. Profesorowie poszli do swoich konsulatów, a potem spotkali się w muzeum, żeby uzgodnić szczegóły przetransportowania wykopanych skarbów do Sany. Musieli wszystko zostawić na łasce swoich prześladowców. Mieli jednak nadzieję, że tutejsi historycy zdołają je odzyskać. W tej sprawie nie mogli zrobić nic więcej.

Potem przyszedł czas na zawiadomienie rodzin o niespodziewanym powrocie. Uczestnicy wyprawy umieszczeni w pokojach hotelowych, odwiedzali się teraz, wymieniając na bieżąco informacje i refleksje. Na korytarzu panował nieustanny ruch. W porze sjeisty do Morrisona zadzwonił konsul i zapowiedział swoją wizytę w towarzystwie amerykańskiego dziennikarza. Zaofiarował pomoc finansową, bo wiedział już, że uczestnicy wyprawy stracili wszystkie rzeczy osobiste. Profesor był tym gestem ogromnie wzruszony, natomiast mniej ucieszyła go perspektywa spotkania z przedstawicielami prasy. Wiedział jednak, że informacja o próbie porwania archeologów musi trafić do gazet, bo to ułatwi mu wyjaśnienie przyczyn niepowodzenia badań. Morrison zawiadomił wszystkich o konieczności stawienia się w jego pokoju o godzinie siedemnastej.

Anna siedziała na brzegu fotela. Naprzeciw niej stało lustro w ozdobnej ramie. W głębi pyszniło się ogromne łóżko nakryte barwną tkaniną. Zaciągnięte żaluzje przepuszczały niewiele światła. Panował tu półmrok i cisza przerywana jedynie dobiegającymi zza drzwi odgłosami kroków i przyciszonych rozmów.

Anna była jeszcze w szoku. Próbowwała zapanować nad drżeniem rąk. Odruchowo spojrzała w lustro. Wpatrywanie się w odbicie własnej twarzy uspokoiło ją na krótką chwilę. Zaraz jednak przypomniała sobie, że podczas dramatycznej ucieczki z Maribu Krzysztof osłaniał własnym ciałem Ritę, a potem trzymał ją za rękę i patrzył na nią w ten szczególny sposób, jaki Anna zapamiętała z czasów, kiedy jeszcze byli razem. Znowu poczuła ukłucie w sercu i za-

częła uzalać się nad sobą. Dwie łzy spłynęły po jej policzkach.

Została już zawiadomiona o spotkaniu z konsulem i wiedziała, że musi zapanować nad swoimi emocjami. Ręce Anny wciąż jeszcze drżały, a ona sama nie miała w tej chwili ani siły, ani chęci, żeby zadbać o własny wygląd. Kiedy bez entuzjazmu rozważała, czy wziąć prysznic i włożyć na siebie nieświeżą już sukienkę, bo nic innego nie zdołała zabrać z bazy w Maribie, ktoś delikatnie zapukał do drzwi.

W progu stał Mike z niewielką paczką w ręku.

- Kupiłem ci na targu taką zwyczajną szatkę, bo wiem, że nie masz nic na zmianę. Powinnaś wziąć prysznic i przygotować się do spotkania. Anno, co z tobą? - Podszedł do jej fotela.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się bezradnie.

- Nie mogę zebrać myśli. Trochę jestem zagubiona. Nie chciałabym wracać z Krzysztofem do Polski tym samym samolotem. Nie wiem, co robić. Poradź mi.

Chłopak ukląkł i wziął ją za rękę.

- Nie myśl o tym, proszę. Ja już prawie wszystko załatwiłem. Morrison wyraził zgodę na moje krótkie wakacje. Jadę do Polski razem z tobą. Odwiozę cię pod sam dom, jeśli mi pozwolisz. Możemy zresztą zostać tutaj przez parę dni albo wyjechać jutro do Rzymu lub do Wenecji, czy ja wiem zresztą gdzie? A może do Paryża, jeśli masz na to ochotę? Szkoda twoich wakacji. Wydałaś na podróż tyle pieniędzy i nie masz z tego nic, poza zmartwieniami. Co o tym myślisz?

Anna uśmiechnęła się i położyła dłoń na ręku Mike'a.

- Jesteś naprawdę niezastąpiony. Chyba jednak byłabym marnym towarzyszem podróży. Jeszcze się nie otrząsnęłam **Z** tego koszmaru.

- Ale pusty dom też nie jest najlepszym miejscem na zmaganie się ze sobą i zmartwieniami. Nie podejmuj jeszcze ostatecznej decyzji. Ja tylko teraz, w tej chwili, bardzo mi zależy... - Mike zaplątał się we własnych słowach. Nie chciał urazić Anny swoją natarczywością. Spuścił więc głowę i milczał. Dziewczyna lekko musnęła ręką jego włosy i powiedziała:

- Już ci mówiłam, że jesteś niezastąpiony. Ale zrozum, nie mogę ci ofiarować nic więcej prócz przyjaźni. A to, co chcesz dla mnie zrobić, odrobinę wykracza poza te ramy. Ruszymy razem w podróż, spędzimy wspólnie kawałek wakacji, ty jako mój opiekun i pocieszyciel, a stąd już krok do...

- Niczego nie oczekuję. Nigdy nie byłem i nie będę natarczywy. Zaczekaj. To nie tak. Nie chcę kłamać. Powiem wprost, bo każde niewłaściwe słowo zabrzmi teraz fałszywie. Podziwiam cię od pierwszej chwili, od momentu, kiedy przestąpiłem próg twojego domu w Komorowie. Ta pełna wdzięku chmurka nad twoim czołem, poważne spojrzenie i beztroski śmiech, nie wiem, nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Myślałem o tobie niemal bez przerwy, wiedząc, że jesteś dla mnie niedostępna, jako narzeczona mojego przyjaciela. Nie mam zamiaru dłużej tego ukrywać. Jesteś dla mnie bardzo ważna, ważniejsza niż wszystkie inne dziewczyny, ale za nic nie chciałbym cię urazić ani zranić, narzucając się z niewczesnymi wyznaniem. Potraktuj mnie jak opiekuna albo adoratora, najlepiej jak przyjaciela, który pragnie jedynie tego, żebyś zaczęła się uśmiechać i cieszyć życiem. Czy możesz to zrozumieć?

- Mike, dobrze wiesz, że zaledwie przed chwilą przeżyłam ogromny zawód. Zostałam oszukana przez człowieka, który zapewniał mnie o swoim głębokim uczuciu przez cały miesiąc. Ciebie znam jeszcze krócej i rozumiem, proszę, nie mam powodu, by nie zaufać ci od razu, ale przecież...

- Wszystko rozumiem. A jednak kiedy patrzę na ciebie, mam wrażenie, że znamy się od niepamiętnych czasów. Być może wynika to stąd, że czekałem na ciebie przez całe życie. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam taką istotę jak ty. - Mike ucałował rękę Anny z największą czcią. - Pozwól mi troszczyć się o ciebie przez najbliższe dni, kiedy nie powinnaś być sama. Chcę, żebyś odzyskała w pełni równowagę i spokój. Mnie wystarczy tylko możliwość patrzenia na ciebie, rozmawiania z tobą i świadomość, że znów możesz być sobą. Kiedy będziesz zupełnie bezpieczna, odejdę. Przysięgam, nie zamierzam cię zadrećać moim, jak widzisz, beznadziejnym uczuciem. Zniknę natychmiast i pojawię się tylko na twoje wyraźne życzenie.

- Mike, jesteś niesamowity. Przecież od wielu lat mieszkasz w Stanach. Jak zamierzasz roztaczać nade mną opiekę? Zresztą z pewnością masz tam jakieś dziewczyny. Bądź poważny. Twoje słowa mają dla mnie ogromne znaczenie. Nie ukrywam, jestem troszkę próżna. Sprawiają mi przyjemność twoje komplementy i zachwyty. Ale dobrze wiesz, że to igranie z ogniem. A ja jestem sama, zdana wyłącznie na własne siły. Nie chcę ryzykować, że znów się zakocham, bo istnieje taka możliwość, a potem zostanę sama.

- Istnieje taka możliwość? - Mike z promiennym uśmiechem chwycił Annę za obie ręce. - Precz z rozsądkiem. Jesteśmy dorośli i nigdy się nie dowiemy, czym jest prawdziwe szczęście, jeśli będziemy unikali ryzyka. A cóż to za ryzyko? Wycieczka do Wenecji

i wólczega po okolicznych wyspach z dobrym przyjacielem lub znajomym, jeśli wolisz, nie jest niczym ryzykownym. Wszędzie są ludzie, a ja jestem niegroźnym facetem, który nigdy nie był we Włoszech. Obejrzymy razem jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, a potem polecimy samolotem do Warszawy. Nie bądź tak strasznie, przeraźliwie rozsądna. Proponuję ci tylko parę dni świetnej zabawy w moim towarzystwie. Oczywiście z osobnymi pokojami w hotelu. Przecież to cywilizowany świat, o czym ci przypominam, gdybyś nie ufała mi do tego stopnia. Rozmawiali tak prawie do wpół do czwartej. Opór Anny powoli tracił na sile. Nie miała ochoty wracać z dalekiej podróży do pustego domu, który z oddalenia sprawiał wrażenie przygnębiającego grobowca. Puste pokoje, uważne oczy babci spoglądającej z portretu, zaniedbany ogród i niepokojąca cisza. Wszyscy znajomi rozjechali się w różne strony. Na dobrą sprawę nie miałyby nawet z kim porozmawiać.

Mike nakłonił Annę, żeby wzięła prysznic i włożyła nową sukienkę. Zostało tylko pół godziny do spotkania z profesorem.

O piątej po południu wszyscy stawili się w pokoju Morrisona. Profesorowie wciąż jeszcze byli w nieco niedbałych, roboczych ubraniach. Krzysztof wszedł razem z Ritą. Anna odruchowo spojrzała w ich stronę. Trzymali się za ręce jak para nastolatków. Tuż za nimi wbiegł do pokoju Carllson. Jego zazwyczaj grzecznie przylizane włosy, tym razem były w nieładzie. Stanął za krzesłem Rity i powiedział jej coś na ucho. Z ogromnym trudem nakłonił ją do wyjścia na korytarz. Po pięciu minutach wrócili razem.

Amerykanka była uśmiechnięta i odprężona. Usiadła teraz w innym miejscu, tuż obok Petera. Konsul z dziennikarzem spóźniali się nieco, więc zajęci rozmową profesorowie nie zwracali uwagi na wędrowni młodzieży. Po chwili Krzysztof podszedł do Rity i teraz on zmusił ją do rozmowy na osobności. Wyszli razem na korytarz, skąd docierały do pokoju odgłosy burzliwej rozmowy. Wkrótce wrócili na swoje miejsca. Rita była zirytowana. Demonstracyjnie zajęła krzesło obok Petera. Krzysztof z trudem panował nad sobą. Ręce mu drżały, a na twarz wystąpiły czerwone plamy. Mike pochylił się w stronę Anny i cicho komentował:

- Zobacz, tam się odbywa targ. Peter miał zapewne więcej do zaoferowania. Rozumiesz coś z tego? Jestem pewien, że obiecał jej ślub po natychmiastowym rozwodzie z żoną, dom w Londynie, pozycję towarzyską i zapewne dostęp do konta w banku. Krzysztof stracił przewagę. Patrz i baw się dobrze, dziękując losowi, że w porę cię doświadczył, a właściwie uratował.

Na biurku profesora zabręczał telefon. Morrison zapewnił kogoś, że zaraz przekaze informację. Odłożył słuchawkę i zakomunikował:

- Przyjechała żona Petera. Musi pan zaraz zgłosić się w recepcji. Chwilowo zwalnię pana z zebrania. Proszę jednak wrócić tu najdalej za kwadrans.

Anglik zbladł jak płótno i natychmiast zerwał się z krzesła. Stracił pewność siebie. Na myśl o spotkaniu z żoną najwyraźniej wpadł w panikę. Drżącym głosem przeprosił wszystkich i potykając się o własne nogi, wyszedł z pokoju. Rita też straciła pewność

siebie. Rzucała tylko nerwowe spojrzenia w stronę Krzysztofa, szukając czegoś w torebce. Drzwi, szarpnięte energicznym ruchem, otworzyły się nagle. Na progu stała wytworna pani w średnim wieku i spokojnie zakomunikowała, że jest żoną Carlssona. Nie zwracając uwagi na to, że w pokoju odbywa się spotkanie, oznajmiła piękną angielszczyzną, że natychmiast zabiera męża do Londynu. Peter nie będzie mógł wziąć udziału w zebraniu, więc przyszła przeprosić profesorów w jego imieniu. Zły stan zdrowia absolutnie uniemożliwia mu kontynuowanie pracy. Rana na rękę wymaga interwencji chirurga, więc zaraz po wizycie u lekarza pojedą na lotnisko. Profesor Morrison z pewnością wie, jak się z jej mężem skomunikować w razie potrzeby. Na koniec przeprosiła za przerwanie narady, pożegnała wszystkich i wyszła.

Rita siedziała z otwartymi ze zdumienia ustami. Po chwili bąknęła jakieś niezrozumiałe słowo i wybiegła z pokoju, wpadając niemal w objęcia nadchodzącego właśnie konsula. Zbiegła piętro niżej do pokoju Anglika i bez pukania wtargnęła do środka. Peter w pozycji półleżącej spoczywał na fotelu, a jego wytworna żona wzywała właśnie przez telefon lekarza.

Na widok Amerykanki Peter wykonał jakiś nieskoordynowany ruch ręką, jakby chciał ją wyprosić z pokoju. Był bardzo zdenerwowany. Wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Nie był w stanie mówić, a tym bardziej podejmować jakichkolwiek decyzji.

Zona Carlssona odłożyła słuchawkę i z wyraźnym zdumieniem zwróciła się do Rity.

- Co pani tu robi? Nie wzywałam nikogo z obsługi hotelowej.

- Jak to? Peter, powiedz o co tu chodzi. Przecież

przed chwilą proponowałeś mi małżeństwo. Co to wszystko znaczy?

- Małżeństwo? - Żona Petera uniosła w górę brwi. - On ma niezwykle romantyczną naturę, ale zapewne nie poinformował pani, że po rozwodzie zostanie bez domu i bez konta w banku. Mój ukochany mąż ma pewną słabość. Lubi łatwe kobiety i wyścigi konne. Przed wyjazdem do Jemenu narobił tyle długów, że sama się zastanawiam nad przyszłością naszego związku. Nie jest pani ani pierwszą, ani ostatnią kandydatką na jego żonę, współwłaścicielkę domu, który niestety należy do mnie, i bankowego konta, którego ten bohater po prostu już nie ma. Uważam temat za wyczerpany. A teraz proszę, albo pani przejmie opiekę nad nim i zabierze go ze sobą do Stanów, bo mam wrażenie, że rozmawiam z Amerykanką, albo zechce mi nie przeszkadzać w wypełnianiu moich obowiązków.

- Peter, czy to prawda? - zapytała zdumiona Rita. Mężczyzna kiwnął głową potakująco i przymknął oczy, udając bardzo cierpiącego.

- Zabierzesz mnie do Stanów? - spytał słabym głosem. - Może dostanę pracę na uczelni Morrisona? W końcu jestem specjalistą w rzadko spotykanej dziedzinie. Jakoś sobie poradzimy.

- A ty wszystko, co zarobisz, przepuścisz na wyścigach? Nie mam zamiaru cię utrzymywać, mój drogi. A teraz spadam. Cześć! - Amerykanka wyszła na korytarz, trzaskając drzwiami.

Jej złość jeszcze się nie rozładowała, mimo to od razu zaczęła opracowywać strategię odzyskania Krzysztofa. Nie wiedziała jeszcze, jak mógłby zarabiać pieniądze w Stanach, miała jednak nadzieję, że razem coś wymyślą.

Szła korytarzem po miękkim chodniku. Po drodze minęła inkrustowany stolik z piękną wazą. Miała ogromną ochotę potłuc tę irytująco barwną ozdobę. Podeszła bliżej i z rozmachem zrzuciła wazę na podłogę. Zamiast spodziewanego brzęku tłukącej się porcelany usłyszała jedynie głucho uderzenie o marmurową posadzkę. Piękne naczynie było zrobione z plastiku.

- Wszystko tu jest fałszywe! - warknęła ze złością i kopnęła swoją ofiarę, która potoczyła się pod przeciwległą ścianę.

Powoli szła w stronę pokoju Morrisona. Stała na progu w chwili, kiedy dziennikarz zadawał rzeczowe pytania Mike'owi. Chłopak odpowiadał spokojnie i wyczerpująco, referując przebieg wydarzeń podczas ucieczki z terenu wykopalisk.

Rita usiadła obok Krzysztofa i szepnęła mu coś na ucho. Chłopak odsunął się i patrzył na nią z wyraźną irytacją. Amerykanka ponowiła atak. Tym razem również bez efektu. Wreszcie poprosiła go o chwilę rozmowy na osobności. Wyszli, nie przerywając konferencji prasowej.

Na korytarzu dziewczyna chwyciła chłopaka za rękę i od razu zaproponowała mu podróż do Las Vegas.

- Weźmiemy szybki ślub i ruszymy do Kalifornii. Z moim aparatem i twoją urodą podbijemy cały świat. Co ty na to?

- A ty pobiegiesz potem za pierwszym lepszym dobrze ustawionym facetem? Zapomnij o tym. Najlepiej zapomnij też o mnie. Co przed chwilą wyprawiałaś? Czy przyszło ci do głowy, co ja przeżywam? Czy choć przez moment pomyślałaś o tym? Gdzie podziały się czułe słowa i zaklęcia? Zwodziłaś i jego, i mnie jednocześnie. Wiesz, kim ty jesteś?

- Milcz! Byłam tylko z tobą. Nie musisz mi wierzyć, ale tak było naprawdę.
 - Nie chciała się rozwieść z żoną? Zabrała go jak bezwolną kukłę, a ty sobie z nią nie poradziłaś? A teraz potulnie wracasz do mnie? Jak daleko sięga twój cynizm? Gdzie są uczucia? A może to tylko zabawa, granie na uczuciach ludzi, którzy ulegają twojemu zwodniczemu urokowi? Bardzo mnie zraniłaś. Dziś osłaniałem cię własnym ciałem, byłem gotów zginąć za ciebie, a ty...
 - Kocham cię za to. Jesteś wspaniała. Weź mnie za rękę. Pójdę za tobą wszędzie.
 - Zamieszkaś w małym pokoiku w Warszawie i będziesz żyła z mojej skromnej pensji?
 - Oczywiście. Znajdę sposób, żeby zbudować na tym szczęście dla nas obojga. Albo ty pojedziesz ze mną do Stanów i zamieszkaś w moim niewielkim pokoiku. Pożyjemy trochę z mojej skromnej pensji, dopóki nie znajdziesz pracy. A potem zobaczymy.
 - Nie żartuj. W Polsce mam rodzinę i pracę. Niczego się jeszcze nie dorobiłem. Nie mam pieniędzy w banku. Stać mnie tylko na skromne kawalerskie życie. Nic więcej.
 - A po co więcej? Ja nie mam wielkich potrzeb. Robię świetne zdjęcia i bez problemu znajdę pracę w jakimś kolorowym piśmie. Nauczę się języka i bez trudu podbiję twój słowiański kraj.
 - A ja będę zgadywał, z którym z moich kolegów jeszcze się nie przespałaś?
- Rita wymierzyła chłopakowi siarczysty policzek. Głowa Krzysztofa gwałtownie zmieniła położenie. Na twarzy zostały czerwone ślady palców.
- Przepraszam - powiedział potulnie bez większe-

go przekonania. -Bardzo dotknęło mnie twoje zachowanie. Nie powinienem jednak... Rita położyła palec na jego ustach.

- Nie powinienes. To pewne. Nie wiem, czy będę dobrą żoną. Nie mam wprawy. Rozumiesz? Jeszcze nigdy nie byłam żoną. Ale będę się starała. Wierz mi. A teraz wracamy na zebranie.

- Nie mogę iść z taką twarzą - jęknął Krzysztof.

- Poczekamy jeszcze chwilkę. Chodź do mojego pokoju. Zrobię ci zimny okład.

Zaraz za progiem Rita zaczęła całować obolałe miejsce na twarzy chłopaka. Powoli zbliżali się w stronę łóżka, na którym w końcu usiedli i zatopili w pieszczotach, zapominając o reszcie świata. Dopiero zmierzch przywrócił ich do rzeczywistości. Zerwali się niemal jednocześnie. Krzysztof włożył w pośpiechu ubranie.

- Trzeba kogoś zapytać, co wynikło z tego zebrania. Może dostaliśmy jakieś pieniądze na drogę.

- Jedziesz ze mną czy ja z tobą? - zapytała leniwie Rita.

- Jedźmy prosto do Las Vegas. Tylko pamiętaj, że ja nie mam pieniędzy. Bierzesz to na siebie?

- Biorę. A teraz idź zasięgnąć języka. Krzysztof nieco chwiejnym krokiem wyszedł na korytarz. Po chwili natknął się na Shariffa, który z małą torbą na ramieniu szedł w stronę schodów. Archeolog spojrzał pełnym nagany wzrokiem na chłopaka i rzucił przez ramię:

- Ma pan szczęście, że wyprawa skończyła się przed czasem. Nieodpowiedzialnych szczeniaków trzeba z punktu stawiać przed sądem albo unikać jak ognia. Mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Krzysztof nie wiedział, co odpowiedzieć. Na szczęście Egipcjanin szybko zbiegł po schodach i znikł za zakrętem. Chłopak podszedł do barierki, żeby popatrzeć w ślad za profesorem, i wtedy zobaczył Petera schodzącego na dół w towarzystwie żony. Anglik niósł niewielki neseser i torbę przewieszoną przez ramię. Przez cały czas mówił coś do swojej towarzyszki potulnym, pojednawczym tonem. Wyglądało na to, że on również opuszczał hotel przed wyjazdem na lotnisko. Krzysztof odetchnął z ulgą i ruszył w stronę pokoju Morrisona.

Profesor przyjął go chłodno.

- Tu jest koperta z niewielką gratyfikacją za poniesione straty. Jest pan wolny, młodzieńcze. Proszę sobie zabukować bilet. Myślę, że nic więcej nie mam panu do powiedzenia. Żegnam więc i życzę szczęścia. Jeśli pan spotka Ritę, proszę jej powtórzyć, że ona również powinna się do mnie zgłosić. To wszystko.

Krzysztof uniósł brwi i zaczerpnął powietrza, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale pożegnalny gest profesora zakończył rozmowę. Ukłonił się więc, powiedział „dziękuję” i wyszedł.

Na korytarzu wpadł na Annę, która szła z Mike'em, śmiejąc się z jakiegoś żartu. Zatrzymał ich pytaniem:

- Jedziesz do Stanów, Mike? Może polecimy razem? Bo widzisz, wybieram się z Ritą do Las Vegas.
- Kiedy ślub? - zapytał przyjaciel.
- Nie wiem. Zaraz. Jak tylko dolecimy.
- Gratuluję. Ja się wybieram do Polski. Z Anną oczywiście. Sądzę, że w tej sytuacji nie muszę pytać cię o zgodę.
- Nie musisz. A tobie życzę szczęścia - Krzysztof zwrócił się do Anny.

- Wzajemnie - powiedziała ze zdawkowym uśmiechem na twarzy. - Baw się dobrze.

Kiedy odszedł, obejrzała się, żeby zapamiętać tę chwilę. Raz jeszcze zobaczyła na tle jasno oświetlonej ściany zarys głowy, tak niegdyś bliskiej i kochanej. Krzysztof wszedł do pokoju Rity i zamknął za sobą drzwi.

Mike wziął Annę za rękę i pociągnął za sobą spokojnym, ale stanowczym gestem. Zbiegła w dół po schodach szybciej, niż zamierzała, jakby chciała jak najprędzej uciec od bólu, jaki jej zadano.

Wieczór spędzili z Abduhem, który był niezaprzeczalnym bohaterem dnia. Obiecano mu specjalną nagrodę za uratowanie archeologów, co chciał uczcić razem ze swoimi nowymi przyjaciółmi.

Serdeczna rozmowa trwała bardzo długo. Przed rozstaniem Jemeńczyk prosił o listy i pocztówki, a przede wszystkim o pamięć. Ruszyli w stronę hotelu, położonego w nowoczesnej części Sany, machając mu na pożegnanie.

Anna szła w milczeniu. Wreszcie powiedziała cicho, jakby do samej siebie:

- A miało być tak pięknie.

- Przecież jest pięknie - wtrącił Mike. - A będzie jeszcze piękniej, jeśli zechcesz rozejrzeć się dookoła. Spójrz na to miasto, którego istnienia nikt z nas nie podejrzewał. Wiedziałem coś niecoś o Sanie, ale nie przypuszczałem, że jest taka niezwykła i piękna. Jak nierealny sen. I ty jesteś jak ze snu, jasna i czysta jak płomień.

- Wybacz. Zamiast cieszyć się tym, że tu jestem, wciąż oglądam się wstecz i pozwalam na to, żeby cios, jaki mi zadano, ranił mnie dalej bez końca. Trudno nad tym zapanować. Ale nie chcę stać w miejscu.

Pragnę, chcę, muszę oderwać się od przeszłości i zacząć wszystko od nowa.

- Więc zacznij zaraz, natychmiast. Daj mi rękę, zamknij oczy i pozwól, że przez chwilę będę cię prowadził. A kiedy je otworzysz, będziemy już po drugiej stronie ulicy, tam, gdzie wciąż świeci słońce. Anna uśmiechnęła się, patrząc prosto w oczy Mi-ke'a. Podała mu rękę i poszli razem w stronę centrum miasta. Za nimi biegła gromadka umorusanych dzieci, pokazujących sobie palcami dziwnie ubranych Europejczyków. Tłum gęstniał coraz bardziej. Zaczynała się magiczna pora dnia, kiedy odrobina chłodu przywraca ludziom chęć do życia.